

Baxter George Owen

Biały brat

I. WIDZOWIE

Dla Billa Tenney'a siła znaczyła więcej niż cnota. Sam był siłaczem. Nie polował na bawoły, nie strzelał do antylop, nie stawiał czoła indiańskim wojownikom. Nie zasługiwał więc na miano junaka z prerii. Ale był doskonałym strzelcem i mistrzem od burd, zwłaszcza gdy przychodziło do walki na noże.

Wyglądem przypominał wilka leśnego. Wąski w biodrach, barczysty, z lekka przygarbiony, miał wielką głowę i twarz wąską, wydłużoną na podobieństwo pyska. Wąskie wargi nie kryły zębów. Zapadnięte policzki nie godziły się z atletyczną budową. Naturę też miał wilczą. Umiał się czaić i czekać odpowiedniej pory. Ale niech skoczył z zasadzki!!...

Pędził leniwe życie złodzieja i włóczęgi. Ostatnio nosił w pasie dwadzieścia funtów skradzionego złotego piasku i okruchów. Stały ucisk tego ciężaru na brzuch użyczał mu pewności siebie. Na nieszczęście inni zwietrzyli, co się święci. Ukradł to złoto na faktorii nad rzeką Tulmak i ponieważ wiedział, że bractwo z równin miało sławę cierpliwych tropicieli, był w strachu, że pościg może za nim ściągnąć aż tutaj, do Fortu Marstona nad Tulmakiem, gdzie rzeka zaczynała być spławna.

Początkowo zamierzał zaszyć się gdzieś na równinie. Gdyby to uczynił, zszedłby z widowni i uchronił się przed niebezpieczeństwem.

Ale ciekawość może skusić nawet wilka, a właśnie przez ciekawość Bill zaplątał się w tarapaty.

Zresztą całe miasto było ciekawe. Wszyscy żołnierze z fortu, z wyjątkiem nielicznych wart, zlecieli się do przystani. Trochę z boku wojskowi otaczali kołem majora Artura Marstona, podrygującego na ognistym karoszu. Major umiał pozować. Ilekroć koń się uspokajał, dostawał dyskretnie ostrogą pod brzuch. Publiczność cywilna przedstawiała obraz barwniejszy, niż w jakimś wschodnim bazarze. Miejscowi obywatele: karczmarze, zawodowi szulerzy i sklepikarze mieszały się z traperami, handlarzami skór i Indianami. Tych ostatnich było ze dwudziestu. Pookręceni w derki, świecili malowanymi twarzami. Jakże było nie umalować się na taki uroczysty dzień. Wszak miano witać statek „Minnie P. Larsen”, wiozący sławnego Czerwonego Sokoła z równie sławnym Białym Koniem. Na pokładzie znajdował się również ojciec Czerwonego Sokoła - Wiatronóg, morderczy wróg Szejenów.

Statek tydzień stał na mieliźnie niedaleko od fortu i jeźdźcy dawno już przywieźli wieści o ładunku i pasażerach. Nowina rozeszła się po preriach, ściągając Indian. Gdyby „Minnie” spóźniła się jeszcze o kilka dni, czerwonoskórzy stawiliby się w przystani setkami, gdyż Biały Koń miał już sławę legendy od kilku lat głośniejszą w faktoriach i przy ogniskach.

Z imieniem głośniego ogiera łączyła się historia Rusty'ego Sabina, rudowłosego białego, którego w dzieciństwie porwali Szejenowie i wychowali pod plemiennym zawołaniem Czerwonego

Sokoła. On to po wielkich trudach upolował Białego Konia. To nie było wszystko. Później, jako pierwszy wojownik Szejenów, Czerwony Sokół wyprawił się na wojenną ścieżkę przeciwko potężnemu nieprzyjacielowi swego plemienia Wiatronogowi-Sabinowi, ale nic z tego nie wyszło, gdyż w trakcie walki stary Sabin poznał w młodzieńcu rodzzonego syna.

Takie rzeczy zdarzały się na preriach wiele razy, ale nigdy dotąd nie skupiło się tyle niespodzianek losu na głowie jednego człowieka. Toteż gdy za zakrętem rzeki ukazały się dwa buchające dymem kominy parostatku, wśród publiczności wybuchła wrzawa okrzyków i wiwatów.

„Minnie” szła pod prąd lekko i szybko póki się nie znalazła w wąskim przesmyku poniżej doków Fortu Marstona. Tu ścieśnione wody zwały się na nią z szumem, zalewając dziób. Od szturmu fal i zdwojonej pracy maszyn wielkie złote litery napisu migotały jak żywy płomień.

Statek zwolnił i widzowie zaraz wypatrzyli na pokładzie jasną sylwetkę Białego Konia, już gotowego do lądowania. Na widok cudnego konia Bill zeskoczył z pieńka, na którym siedział i, wyciągając szyję, jął patrzeć wilczym wzrokiem. Młody chłopak, który stał obok, aż podskoczył z zachwytu. Bill - przeciwnie - z wrażenia oniemiał.

Jakiś głos zaszemrał w jego duszy. W jednej chwili postanowił, że ten koń będzie jego. Z takim biegunem mógłby gwizdać na wszelkie pościgi. Byłby wolny na ziemi, jak sokół w powietrzu.

Młodzieniec, stojący obok, mówił:

- To Czerwony Sokół - to Rusty Sabin. To czarownik Szejenów. Tak, to on - on! Długie, rude włosy, rozwiane na wietrze. To ten co stoi przy Białym Koniu. Patrz! Trzyma rękę na grzywie.

W porównaniu ze wspaniałym ogierem Rusty Sabin wyglądał dość niepokaznie. Billowi nozdrza zadrgały. Jeżeli Bill Tenney był wilkiem, to Rusty mógł uchodzić za kojota. Bill czuł, że wyszedłby z walki zwycięsko. Już - już wyciągał wielkie łapy do uzdy rumaka.

Paplanina młodzieńca skierowała jego uwagę na inne szczegóły obrazu. Obok Białego Konia stały prócz Czerwonego Sokoła jeszcze cztery osoby. Ogromny mężczyzna - z pewnością ojciec Rusty'ego postrach Szejenów. Tak, tak. Dwaj ostrzyżeni Indianie obok Billa zaczęli wykrzykiwać i gestykulować.

- To Poni - zauważył młodzieniec. - Cieszą się, że widzą Sabina. To ten, którego Szejenowie nazwali Wiatronogiem. Pod jego przewodem Poni wzięli wiele skalpów szejeńskich. Ale spójrz na tamtych długowłosych Szejenów. I oni się radują.

- Słyszałem, że Szejenowie polują daleko stąd na północ - zauważył Bill.

- Tak. Ale kumają się z Komańczami i wciąż się odwiedzają. Ci, co tam stoją - to naprawdę Szejenowie. Poznać po wzroście. Na równinach nie ma roślejszego ludu prócz Osagów, ale u tych wszystko idzie w nogi.

- Jeżeli to są Szejenowie - pytał Bill Tenney - to powiedz mi, co gada ten, co dmucha dymem w ziemię i w niebo. O, teraz trzyma fajkę prosto.

- Nie bardzo rozumiem ich mowę. Zaczekaj. Może co pochwyć... Prosi Wielkiego Ducha - żeby wywiódł szczęśliwie Czerwonego Sokoła z czarodziejskiej łodzi białych i zaprowadził z powrotem do plemienia. Trzeba ci wiedzieć, że ten Czerwony Sokół - ten Rusty Sabin - uchodzi wśród Szejenów za wielkiego czarnoksiężnika - znachora.

- Czarnoksiężnika - znachora? Jak to? - dopytywał się Tenney, ciekawy wszelkich wiadomości. Nie mógł przewidzieć, co mu się przyda w zamachu na Białego Konia, na którego już patrzył jak na swoją własność.

- Nie wiem - mówił gorączkowo młodzieniec - ale Szejenowie wierzą, że na żądanie Czerwonego Sokoła Manitou spuszcza deszcz i każe wiać wiatrom.

- Kto są ci troje, obok Sabinów? - pytał dalej Tenney.

- To musi być rodzina Lesterów. Opowiadają, że zabrał ich z sobą na południe, bo stary choruje na płuca. To pewnie ten stary, chudy. Ta stara przy nim - jego żona. A ta młoda to dziewczyna Rusty'ego. O! jak dumnie trzyma głowę - widać, że ładna. Szczęśliwy hultaj ten młody Sabin, zdobył sobie najpiękniejszego konia i najładniejszą dziewczynę w całej krainie.

- Już się pobrali?

- Nie wiem.

- Można mieć i można stracić - mruknął Tenney przez zęby.

W miarę jak statek zbliżał się walcząc z naporem żółtych wód, od brzegu odbijały liczne czółna i płynęły na kraj gładkiej wody, gdyż ciekawscy chcieli przyjrzeć się pasażerom co prędzej z bliższej odległości.

Bill nie miał własnego czółna, ale w mig je sobie „wypożyczył”.

- Bill Tenney nie uważał systemu „pożyczkowego” za naganny.

Ze skraju gładkiej wody widział pokład jak na dłoni. Z łatwością utrzymywał się na tej samej wysokości co statek. Widział zbite grupki emigrantów ze Wschodu, spoglądających z przestachem na Fort. Marstona, jako na wrota do rozległego Dzikiego Zachodu. Nie dziw, iż zaczęli żałować, że nie zostali na swoich kamienistych farmach w Nowej Anglii. Ale Bill nie zważał ani na nich, ani na kupców i ludzi z prerii, dających się rozróżnić po odzieży. Całą jego uwagę pochłaniały wspaniały Biały Koń.

Za dni wolności wielki mustang był królem prerii. Polowali na niego biali na wyborowych koniach, ganiały za nim całe plemiona Indian. Aż wystąpił Rusty Sabin i złowił go pieszo, w pojedynkę.

Bill Tenney zaczął się przypatrywać właścicielowi konia. Rusty był mężczyzną zaledwie dwudziestokilkuletnim, o rudych włosach, i chudej, opalonej, bynajmniej nie urodziwej twarzy. Wzrost odrobinę więcej niż średni, ramiona barczyste, ale reszta ciała drobna i szczupła. Prawda, że mali ludzie dokazali nieraz wielkich rzeczy, nawet na Zachodzie, gdzie wszystko jest na wielką miarę, ale ten nie

robił wrażenia bohatera i zdobywcy. Twarz miał łagodną, prawie marzycielską i uśmiech zdolny obudzić ufność dziecka.

Cienka warga Billa wyduła się grymasem szyderczej pogardy. Wbrew sławie Czerwonego Sokoła, wbrew wzięciu u Szejenów, gotów był przysiąc, że ten rozgłos musiał się opierać na fałszywych pozorach, że został zdobyty, jak to mówią „psim swędem”.

Co innego Wiatronóg. Ten naprawdę wyglądał na godnego swojej sławy, na człowieka niezwykłego.

W tym momencie rozważań Billa „Minnie” znalazła się w niebezpieczeństwie, a do niego los się uśmiechnął, los, który czasami sprzyja opryszkom.

II. ODWAGA ŁOTRZYKA

W miejscu, gdzie prąd rwał najszybciej, sterczał z dna pień drzewa, dostający bez mała do powierzchni, tak że naokoło tworzył się gwałtowny wir. Sternik „Minnie” wykręcił przezornie w bok. Wszystko poszłoby dobrze, gdyby nie to, że dziób statku za bardzo skręcił. Siła prądu zrobiła resztę. Statek wykonał nagły obrót, zatrzymał się, przechylił silnie na bok (wrzask wzbił się z pokładu), i wpadł na niewidoczną mieliznę.

Bill słyszał trzeszczenie spojeń. Gdy statek się przechylał, zobaczył pokład prawie w całej szerokości jak ścianę. Z wielkiej piramidy paki waliły się przez burtę w wodę. Ludzie przewracali się i poślizgiwali wśród krzyków trwogi. Ale Bill patrzył tylko na Białego Konia. Ogier zachwiał się i upadł, ale natychmiast skoczył na nogi jak kot i runął wysoko przez burtę w sam środek nurtu.

Nad wrzawę na pokładzie wzbił się głos rozpaczony i Rusty Sabin skoczył za koniem. Bill Tenney zrozumiał, że koń i pan są zgubieni.

Ludzie na pokładzie też to zrozumieli i zachowali się odpowiednio, bo gdy Wiatronóg chciał się rzucić za synem, kilku mężczyzn dopadło do niego, skutkiem czego utworzył się skłębiony stos ciał.

Wioślarze w czółnach nie mogli pośpieszyć z ratunkiem. Znali siłę prądu i wiedzieli, że dno rzeki jeży się ostrymi pniami, na które cienkie czółna z brzoźowej kory nadziałyby się niechybnie. Trzymali się więc gładkiej wody i wrzeszcząc podążali za rozbitkami dla samej ciekawości. Daleko poniżej przystani wynurzyła się z piany głowa Białego Konia z różowymi chrapami, jasna jak płat mokrego atlasu. Uszy - na ten widok Bill dostał bicia serca - uszy stały prosto.

Wielki koń nie okazywał cienia strachu. Walcząc z prądem usiłował mężnie wydostać się na spokojną wodę. Może nabrał odwagi od pana, którego głowa również pokazała się na chwilę na powierzchni. Ale bystry nurt musiał w końcu pokonać i zwierzę, i człowieka. Obie głowy zniknęły. Biały Koń biegun, który mógł uskrzydlić łotrowskie ambicje Billa, ginął oto w odmętach.

Bill Tenney był skończonym łotrem, zdolnym do wielu więcej przestępstw niż te, których dokonał, ale przy tym wszystkim człowiekiem nieustraszonej odwagi. Toteż, nabrawszy powietrza w płuca, machnął wiosłem i ruszył na środek rzeki.

Co zamierzał zrobić ten zawodowy złodziej i niewątpliwie kandydat na mordercę? Trudno powiedzieć, gdyż w tej chwili nie

myśl w nim działała, lecz uczucie. Jednym pchnięciem wiosła wyrwał się spomiędzy widzów na scenę tragedii. Odwaga sprawiła, iż znalazł się na wysokości zadania. Rzeka chciała pochłonąć trzy istnienia i tylko on mógł uratować siebie, Rusty'ego i konia siłą i zręcznością z dodatkiem szczęścia.

O Sabina Bill się nie troszczył. Płynął do konia. Klęcząc w środku czółna, ratował równowagę potężnymi pchnięciami wiosła.

Posuwał się bardzo szybko. Koń i pan znikli i znów się wynurzyli. Człowiek był bliżej, ale i koń niezbyt daleko. Nagle Bill, oślepiiony chciwością, poznał, że nie zdoła uratować cudnego rumaka. Postąpił jak człowiek, który nie umiejąc pływać rzuca się na ratunek tonącemu. Bo jakże mógł chwytać konia i jednocześnie kierować czółnem?

Tuż przed nim wystrzeliło z wody ostre drewno, niby pysk rekina. Skierował się w bok, bó by się nadział jak na nóż. W tej chwili młody Sabin dostrzegł ogiera i uczepił się grzywy. Długie rude włosy młodzieńca unosiły się na wodzie ciemnymi pasmami. Wir porwał obu i zniósł dalej na środek rzeki.

Są rzeczy gorsze od śmierci, na przykład utrata drogiej sercu istoty. Ta myśl przemknęła mętnie Billowi przez głowę. Już widział, że nie da rady, ale jeszcze próbował walczyć z nurtem. Jeżeli miał utonąć, lepiej było umrzeć bliżej konia i człowieka. Podobno złych czeka piekło, ale może ten Sabin, mężny, dobry i miłosierny, pociągnąłby go za sobą do raj.

I to mu przeszło przez mózg, ale najsilniej działał ślepy upór pierwszego zachcenia. A może się jeszcze uda!

Prąd znosił go zbyt szybko. Za chwilę będzie obok nich. Bill zahamował silnie, aż fala zalała czółno.

Rozpaczliwie natężona twarz Rusty'ego Sabina wypłynęła nad wodę. Czółno było przy nim. Wyciągnął rękę i uchwycił się rufy. Drugą ręką trzymał się grzywy. Bill Tenney zrozumiał, że losy ich sprzęgły się, że teraz albo zginą razem, albo się razem uratują.

Nie doznawał trwogi. Patrząc z bliska na Sabina, którego łagodny, marzycielski wygląd uderzył go już z daleka, wyczuł w nim nagle tajemniczą siłę, która sprawiła, że i biali i czerwonoskórzy mieli go za wielkiego człowieka. Rusty, biały Indianin, łączył w sobie przymioty obu ras.

Zrozumiawszy to, ogromny Bill Tenney wyteżył wszystkie siły, żeby skierować dziób czółna pod prąd.

Mocne jesionowe wiosło gięło mu się w rękach jak trzcina. Do takiej roboty zdałoby się żelazne. Za każdym uderzeniem drętwy dreszcz przebiegał ramiona, sięgał karku, przenikał do mózgu. Brzeg zamglił się. Inne czółna, sunące blisko brzegu w dół rzeki, zacierały się i ginęły mu z oczu.

Prąd znosił wściekle trzy sprzężone ze sobą istnienia. Pierwszy lepszy pień, a będzie po nich. „Boże...” - dyszał Bill Tenney.

Zapomniał, co ma za sobą. Zapomniał, co go skłoniło do tego niebezpiecznego przedsięwzięcia. Wiedział tylko, że musi zepchnąć tańczący dziób czółna na skraj nurtu, na gładką wodę. Bóstwo ciężkiej

pracy jest ślepe. Człowiek nie potrzebuje go czcić myślą. Cały kult polega na wysiłkach. Bill wielbił w tej chwili tego boga w ślepym zapamiętaniu.

Znaleźli się na zakręcie. Woda pieniała się i ryczała coraz gwałtowniej. Szum jej wdzierał się w duszę Billa, odpryski chlustały po rozpalonej twarzy. Koszula popękała mu na piersiach i pod pachami.

Słyszał nikłe głosy, ale nie były to głosy nadziei. Już nie widział brzegu. Oczy wylażyły mu na wierzch. Z wytężenia szczyrzył zęby i wykrzywił się w ohydny grymasie.

Raptem twarda obręcz ogarnęła go za ramiona, przygwoździła ręce do boków, wżarła się w ciało. Nim zrozumiał, że mu rzucono linę, przechylił się silnie w przód.

Przytrzymał się boków czółna. Przed nim wibrowała naciągnięta rzemienna plecionka. Spostrzegł, że jest na samym skraju nurtu. Tam, gdzie prąd zbliżał się na zakręcie do brzegu, ludzie weszli jak najdalej się dało w spokojną wodę, i zarzucili na niego lasso.

Oprzytomniał. Tłum na brzegu powiększał się szybko. Grzmiały donośne wiwaty. Od Fortu Marstona galopowali jeźdźcy.

- Cholera! - mruknął do siebie Bill Tenney.

- Zdaje się, że wyszedłem na bohatera. Miał ochotę wybuchnąć drwiącym śmiechem. Obejrzał się. Głowa Białego Konia sunęła za czółnem. Sabin w dalszym ciągu trzymał się rufy ręką zbielełą z wysiłku, drugą holując ogiera za grzywę. Wyratowali się. Billa opuściły siły. Z trudem wyszedł z czółna. Pomimo, że pracował

rękami, kolana się tak pod nim ugiwały, że ledwo mógł stać. Przybiegli ludzie. Oczy im błyszczały, usta się śmiały. Patrzyli na Billa z podziwem i serdecznością. Znikły wzajemne nienawiści, złość i zawiść, narażenie życia dla ratowania bliźniego przepełniło wszystkich duchem braterstwa.

Bill Tenney z trudem powstrzymywał się od szyderstwa. Ci ludzie myślą, że porwał się na bohaterski czyn bez powodu, nie wiedzą, że głównym celem jest kradzież konia.

Ba! Jeszcze go ukradnie. Nic straconego!

Wielki ogier stanął na brzegu, jaśniejąc w słońcu jak posąg ze srebra. Łeb miał nisko schylony, gdyż ręka pana wplątana w grzywę ciągnęła go do ziemi. Druga zaciskała się na rufie.

Tenney stwierdził z dziwnym zainteresowaniem, że Rusty Sabin jest nieprzytomny. Pomimo tego, ręce które uratowały Białego Konia były zaciśnięte kurczowo, ostatkiem sił. Trzeba je było powoli i z trudem otwierać.

III. BOHATER MIMO WOLI

Z tłumu wyszli dwaj ogromni Szejenowie, których pokazywano Billowi obok doków. Inni ratownicy schylali się nad zemdlonym, ale ci ich odepchnęli, jakby oni mieli pierwszeństwo. Jeden, prawdziwy olbrzym - nagi do pasa, tylko w mokasynach i nogawkach skórzanych - schylił się i podniósł Sabina. Potężne mięśnie na rękach i piersiach Szejena wystąpiły wypukłe jak w brązie. Stanął prosto niby posąg bohatera i przemówił głosem urywanym ze wzruszenia. Któryś z białych ludzi tłumaczył cicho słowa, nie dla tłumu, lecz dla siebie, ale

Bill słyszał i nigdy nie zapomniał tej przemowy, która zasługiwałaby raczej na miano modlitwy.

- Wielki Duchu - co tam czynisz po drugiej stronie gór? Podnieś głowę i zobacz, co się stało? Patrz, na moich rękach leży chłodne ciało Czerwonego Sokoła. Oddaj go nam, Manitou. Czyż nie jest synem twego ducha?

Nim przebrzmiały ostatnie słowa, Rusty Sabin - Czerwony Sokół - poruszył się w potężnych objęciach Indianina. Ten postawił go natychmiast na ziemi. Czerwony Sokół zachwiał się. Żeby nie upaść, przytrzymał się mokrej grzywy Białego Konia. Ogier poderwał nagle łeb i zarżał, aż po całym jego gładkim, lśniącym tułowiu poszło drzenie.

Na głos konia Rusty Sabin podniósł głowę, strząsnął włosy z twarzy i chwilę rozglądał się naokoło nieprzytomnym wzrokiem. Zobaczywszy Billa postąpił w jego stronę. Tenney zauważył, że koń idzie za panem jak pies, niosąc wysoko łeb nad jego głową i patrząc, kogo to pan ma witać.

- Żeby ten koń za mną tak chodził i na innych tak patrzył! - pomyślał w duszy złodziej.

Dwaj Szejenowie szli w pewnym oddaleniu za Sabinem. Zachowanie się ich zdradzało, że byli świadkami cudu, że Wielki Duch, naprawdę wskrzesił swego wybrańca. Więc patrzyli z zachwyceniem na białego człowieka, zwanego Czerwonym Sokołem. Po ich twarzach Bill Tenney poznał jasno, iż zabranie konia takiemu

człowiekowi byłoby zaiste ciężkim przedsięwzięciem. Przecież ci Szejenowie - bohaterzy” nie ludzie - byli gotowi oddać zań życie.

Rusty Sabin stanął przed Billem i podniósł rękę. Uniósłszy nogę, tupnął nią lekko w ziemię. Twarz miał bladą i cały ociekał wodą. Ale oczy mu błyszczały.

Powiedział coś gardłowym narzeczem, z którego Bill nie zrozumiał ani słowa. Raptem spostrzegł się i zaczął mówić po angielsku w taki sposób, jakby tłumaczył swoje myśli z innego języka.

- Byłem zgubiony i Podwodny Lud ogarnął mnie rękami - rzekł nawiązując do swoich szejeńskich wierzeń religijnych. - Biały Kon bieży prędzej od wiatru, a siła jego jest jak siła górskich kozic, skaczących po górach. Gdy pluśnie do rzeki, spienione wody uciekają przed nim w pośpiechu. A on, bijąc kopytami w twarde dno, wyskakuje na drugi brzeg.

Ale i Biały Koń poczuł na sobie ręce Podwodnego Ludu. I jego Podwodny Lud chciał wciągnąć w toń. Nad naszymi głowami kołowało niebieskie niebo i złota tarcza słońca. Dech, drogi ciała człowieka, zaczynał nas opuszczać. I w tej chwili, gdy strach owiał wszystkich ludzi, ujrzeliśmy jednego, który nie uląkł się i pospieszył nam z ratunkiem. Czółno jego sunęło po wodzie jak ptak powietrzny, mieszkaniec pobraża. Jak wodny ptak, który śpiewa, gdy woda pryska. Wiosło uderzało w fale jak skrzydło ptaka. Twarz radowała się wśród płynnej grozy.

Przyplłynął do nas. Podał rękę. Potężną siłą wyciągnął nas na brzeg. Tchnął z powrotem w nasze nozdrza miły dech - powietrze,

które jest życiem; Oddał nam błękitne niebo, wiatr, lotne chmury, szeroką zieloną ziemię i bawoły, które się pasą na jej łąnie.

Tu urwał opowieść, zaczerpnął tchu, wyprostował się i dokończył krótko głosem z głębi serca wyciągając, rękę:

- Bracie mój!

Bill Tenney trochę się spóźnił. Przede wszystkim przesadnie poetycki styl Czerwonego Sokoła zbił go z tropu, a następnie tknęło go, że to nie jest zwykłe powitanie, że podanie ręki temu człowiekowi będzie jakimś uroczystym zobowiązaniem. Zobowiązania i świętości grały znikomą rolę w życiu Billa. Jednak zawahał się z obawy przed płomiennymi oczyma Sokoła.

Raptem przypomniał sobie, że musi ukraść konia temu człowiekowi, że wobec tego przyjaźń jego bardzo mu się przyda. Więc nagłym ruchem pochwycił wyciągniętą rękę.

Czerwony Sokół odplacił się zdumiewająco silnym uściskiem. Bill, choć mocny jak tur, o mało nie krzyknął. Wariaci odznaczają się nadmierną siłą. Czyżby ten dziwny typ miał źle w głowie?

Nie, uśmiecha się i patrzy bardzo spokojnie. Ledwie ich ręce się zetknęły, ochłonął z ekstazy.

- Jestem bardzo szczęśliwy - powiedział. - Na świecie jest więcej ludzi, niż dzikich kaczek, choćby zaciemniały niebo niezliczonymi stadami. Ale przyjaciół jest niewielu.

Nastąpiła nowa ceremonia, którą Rusty Sabin odbył z miną prawie tak uroczystą jak pierwszą. Zwróciwszy się do dwóch Szejenów, przedstawił ich Billowi. Opryszek nie zrozumiał ich imion.

Wiedział tylko, że został im zaprezentowany. Z pobliżnionych twarzy Indian domyślił się, że musieli być sławnymi wojownikami.

Ciało olbrzyma, nagiego po pas, bielało sześcioma wielkimi szramami. Drugi był prawdopodobnie tak samo udekorowany, ale miał na sobie skórzaną opończę. Każdy ujął Billa za prawicę zwyczajem białych i potrząsnął nią gwałtownie po kilka razy, po czym Odstąpił wielkim krokiem w tył. To też było ważne. Bill Tenney odczuł najwyraźniej, że całe plemię Szejenów ofiarowuje mu przyjaźń.

IV. ŻOŁNIERZ

Od chwili, gdy „Minnie” wpadła na mieliznę, zaszło dużo innych zdarzeń. Przede wszystkim „Minnie”, silna parowa maszyna, która tętniła w niej jak serce, naprostowała się od razu i już bez przeszkody dobiła do przystani. Tutaj przycumowano ją do doku, który stosował się do nagłych zmian poziomu wody.

Zanim jeszcze statek unieruchomiono, kilku pasażerów wyszło na dok. Jako pierwszy z ogromną lekkością wyskoczył olbrzym.

Major Artur Maraton od razu zwrócił na niego uwagę. Major, choć dopiero przekroczył trzydziestkę, zdążył już zyskać rozgłos. Może jego sława stała na mocniejszych nogach w Waszyngtonie niż na równinach Zachodu, bo miał w stolicy wpływowych przyjaciół, którzy umieli chodzić w jego interesach. W każdym razie udało mu się uzyskać zgodę władz na budowę fortu swego imienia, które to wyróżnienie rzadko spotyka wojskowych za życia.

Zresztą trzeba przyznać, że odznaczył się w walkach z Indianami. W tym względzie miał za zasadę „gruntowną robotę”. Wierzył zgodnie ze starą przypowieścią, że Indianin może być dobry tylko po śmierci, i działał w myśl swoich przekonań. Wspecjalizował się w nocnych atakach na indiańskie wioski i wzorem czerwonoskórych liczył wszystkie skalpy bez względu na pochodzenie.

Jeżeli grad kul, kierowanych jego wolą poraził przypadkiem dzieci lub kobiety, major roztkliwiał się, ale nigdy nie omieszkął wciągnąć wszystkich poległych na listę „strat nieprzyjacielskich”.

Podkomendni serdecznie go nienawidzili, ale i bali się go.

Major potrafił świetnie wybierać pozycje w terenie, ale jeszcze, sprawniej wypatrywał ładne buzie. Postać Maisry Lester na pokładzie nadpływającego statku od razu przykuła jego uwagę. Miał pod ręką dobrych informatorów i zanim jeszcze Biały Koń skoczył przez burtę, major już wiedział dokładnie, z jakich, osób składa się interesująca grupa obok Rasty'ego Sabina. Wiedział, że to młody Sabin rzucił się za ogierem. Wiedział również, że olbrzym, który chciał skoczyć za młodzieńcem i został przytrzymany siłą wielu rąk, był ojcem śmiałka.

Ale to wszystko niewiele obeszło majora. Najwięcej zajęła go rozpacz Maisry. Amanta porwały fale. Będzie jakiś czas lała łzy bóleści, a potem... - Major, jak każdy dobry strateg umiał patrzeć daleko w przyszłość. Toteż już widział się u boku tej kasztanowatowłosej piękności w udanych zalotach.

Wszystko to trzeba wziąć pod uwagę, żeby zrozumieć, dlaczego major nic nie powiedział, gdy stary Sabin, wybiegłszy na bulwar, zepchnął z konia żołnierza i sam skoczył na siodło. Olbrzym pogalopował na porwanym koniu brzegiem rzeki, a major za nim. Kary wałach majora długimi skokami prędko dogonił zbiega. Niektórzy z widzów myśleli, że major zaatakuje złodzieja. Ale nie... Jechał dalej, gdyż zobaczył, że na zakręcie dzieją się dziwne rzeczy.

Widział, że jakiś odważny szaleniec w czólnie holuje do brzegu konia i człowieka. Widział, że inni wioślarze, pędząc z prądem gładką wodą, trzymają się przezornie z dala od nurtu. Widział na brzegu zbiegowisko pieszych i konnych. Potem stracił wszystko z oczu.

Kawał drogi musiał przeć wolno po miłkim piachu. Gdy za zakrętem widok się otworzył, zobaczył, że Rusty Sabin już stoi na brzegu i rozmawia ze swoim wybawcą.

Major stracił humor. Czarowne sceny, w których występował, jako pocieszyciel, kusiciel i kochanek, rozwiały się w nicość. W jednej chwili nienawidził Rusty'ego Sabina głęboką, cichą nienawiścią. Młokos był bliski śmierci i nagle odzyskał dwa skarby, z których posiadania był sławny, najpiękniejszą dziewczynę i najwspanialszego konia na preriach.

Major odczuł to jako zniewagę losu. Jego własne życie i sława przygasły, w porównaniu z bogactwem tego młodzieńca. A przecież w świecie sprawiedliwie urządzonym takie rzeczy nie powinny się zdarzać. Oficer armii Stanów Zjednoczonych powinien mieć we wszystkim pierwszeństwo nad cywilami.

Dziwnym może się wydać, że major zapłonął tak gwałtownymi uczuciami w stosunku do ludzi, z którymi dotąd, nie zamienił ani słowa. Ale od lat używał w swoim, rejonie nieograniczonej władzy, a niewielu ludzi, którym przypadła w udziale wielka władza, potrafi się oprzeć pokusie tyranii.

Zawód ustąpił miejsca rozwadze. Nie mogąc od razu pozbyć się rywala, major mógł przynajmniej za jego pośrednictwem zapoznać się z dziewczyną. Podjechał więc do grupy, zeskoczył z siodła i stanął przed Billem. Opryszek miał wilczą twarz i niebezpiecznie chytre spojrzenie. Mimo to major porwał go za rękę z serdecznym wylaniem.

- Pięknie się spisałeś, przyjacielu. Twój czyn powinien być uwieczniony na brązowej tablicy. Przyniósłbyś zaszczyt każdemu narodowi. Powiedz mi swoje nazwisko, bo chcę je zapamiętać.

Przez chwilę złodziej, i oficer mierzyli się oczyma. Złodziej pomyślał, że major musi być przebieglejszy niż można poznać na pierwszy rzut oka.

- Nazywam się Bill Tenney - powiedział. - Nic takiego nie zrobiłem. Samo się zrobiło.

Major roześmiał się na tę skromność i zwrócił się z wyciągniętą ręką do Rusty'ego Sabina.

- Słyszeliśmy tu o tobie, Sabin - zaczął. - Sława twoja i konia dotarła do nas. Gdybyś był dziś utonął w Tulmaku, fort okryłby się żałobą. Chodźcie, przyjaciele. Zasiadźcie do mego stołu dla uczczenia tego dnia. Nie starczy wina, żeby pić co dzień, ale dziś jest wyjątkowy dzień.

W tej chwili nadjechał stary Sabin. Koń, zmordowany tak wielkim ciężarem, robił bokami. Wiatronóg, zeskoczywszy z siodła lekko jak młody chłopak, położył dłoń na ramieniu syna. Major zauważył, że popatrzyli na siebie bez słowa, z uśmiechem. Spojrzenie było wymowne. Młody Sabin, rudowłosy młokos, budził najwidoczniej miłość i oddanie we wszystkich sercach. A jak go powita dziewczyna?

Major umiał panować nad sobą. Serdeczny i radosny, poprowadził zebranych do fortu. Uparł się, żeby Rusty, po strasznej przeprawie w rzece, wsiadł na jego konia, gdyż biały ogier był bez siodła, a Rusty, chcąc nie chcąc, musiał ustąpić przez grzeczność.

Biały Koń stąpał obok, okazując zniecierpliwienie, gniew i zazdrość. Podrzucał szlachetnym łbem, kładł uszy po sobie, otwierał pysk, a nawet próbował kąsać zuchwalca, który odważył się nieść jego pana. Nawet Biały Koń kochał tego człowieka!

Major nie przestawał się uśmiechać, ale zimna nienawiść rosła w jego sercu.

Ryszard Lester z córką pierwsi spotkali wracających. Jechali na pożyczonych koniach pod eskortą żołnierzy. Major wciąż trzymał głowę wysoko i uśmiechał się kryjąc w sercu jadowitą zawiść i nienawiść. Bo dziewczyna, gdy ją zobaczył z bliska, zrobiła na nim jeszcze większe wrażenie. A gdy wyciągnęła powitalnie rękę do Rusty'ego, wydała się majorowi po prostu cudna.

Jednak wszyscy byli powściągliwi jak przystało na ludzi pogranicza. Nie było żadnych uścisków. Młoda para zaledwie podała

sobie ręce. Resztę dopowiedzieli oczami. Ale Marston i tak poznał, że łączy ich miłość spokojna i mocna.

Jednak wśród ludzi wszystko jest po ludzku możliwe. Więc major nie uznał się za pokonanego. Wziął to raczej za wyzwanie do walki. Walka będzie ciężka, ale tym słodsze zwycięstwo, gdy mu się uda rozbić zakochaną parę. Na razie witał ojca i córkę i prosił ich w swoje progi.

Tym sposobem na pokojach majora w forcie zebrało się tego dnia na południowy posiłek dziwne towarzystwo: złodziej; biały Indianin; na pół zdziczały olbrzym-zabijaka, ojciec białego Indianina; niejaki Lester, suchotnik, radujący się na słoneczny klimat nowej siedziby; jego żona, Marta, kobieta trwożliwa, pełna obawy, jak też to będzie w tej nowej krainie i wreszcie córka tej pary, Maisry, w indiańskim stroju z miękkiej skóry; Maisry, która prawie nie odrywała oczu od cudem uratowanego narzeczonego.

Wywiązując się wdzięcznie z roli gospodarza, major wypytywał troskliwie gości o ich sprawy. Powiedział, że ma wolny duży barak, niedaleko fortu, w sam raz dla rodziny Lesterów. Natomiast w osadzie znajdzie się dobre pomieszczenie dla obu Sabinów. Mogą je dostać za bezcen. Domostwo, w sann raz na kuźnię, skoro młody człowiek jest majstrem kowalskim.

- Ogromnie ciekawy fach! - mówił major. - Szanuję zręcznych rzemieślników. A właśnie w moim forcie nie ma ani jednego prawdziwego kowala. Od razu będziesz miał huk roboty, młody człowieku.

Serdeczność majora oczarowała całe grono, wspaniałomyślność wywołała zdumienie i radość. Żołnierze nie zawsze byli popularni na preriach. Major okazywał się szczęśliwym wyjątkiem. Któż by się domyślił, że nie patrzył przy stole tylko w tę jedną twarz, która mu zapadła w serce?

Najwięcej uśmiechał się do surowego, zamkniętego w sobie Wiatronoga i do Rusty'ego, który, gdy podano wielki półmisek z dziczyzną, z roztargnieniem nałożył sobie cały udziec i przytrzymując go lewą ręką, prawą odkrawał nożem wielkie kęsy. Major widywał takie maniery u Indian - nawet zdziczałych traperów i myśliwych, ale nigdy przy swoim stole. Udawał, że nie widzi, co się dzieje, ale bacznej jego uwagi nie uszły gwałtowne rumieńce Maisry i przykre zakłopotanie jej matki, gdy Rusty skończywszy jeść, oblizał zatłuszczone palce. Jednakowoż biały Indianin nie zdawał sobie sprawy z krytycznych spojrzeń.

Gdy nalewano czerwone wino, wziął kieliszek w obie ręce, powąchał ostrożnie, spróbował i odstawił z pośpiechem. Twarz jego zachowała indiańską niewzruszoność, tylko usta drgnęły w kątach grymasem obrzydzenia.

Major nie posiadał się z zadowolenia. Dzięki drobnym rzeczom osiąga się wielkie wyniki. Niewłaściwe zachowanie się przy stole i barbarzyńska nieznajomość cywilizowanej kuchni mogą to być na pozór drobne przywary. Jednak major czuł, że tego rodzaju błahostki mogą mu oddać wielką przysługę.

Tymczasem pił zdrowie wszystkich gości, a nawet palnął serdeczną, wesołą mówkę. Złodziej Bill Tenney, mimo że zawodowo podejrzliwy, nabrał swobody. Poczł się jak u siebie w domu, gotów był rozeprzeć się łokciami na stole, przekonał się, że będzie mógł w forcie rozgościć się nie na żarty, i z całą swobodą czynić przygotowania do uprowadzenia Białego Konia.

V. INCYDENT W KARCZMIE

Pierwsze dni w Fortcie Marstona upłynęły Rusty'emu w gorączkowym zamęcie. Próbował nie myśleć o tych czasach, gdy jako Czerwony Sokół przewodził wśród wielkiego plemienia Szejenów. Teraz żył w świecie białych, w świecie ciężkiej pracy. Po całych dniach harował w kuźni, którą otworzył tam, gdzie mu radził major. Za warsztatem mieściły się dwie izby, dla niego i dla ojca. Stary Sabin - Wiatronóg, jak go nazywali Indianie z równin - pędził życie na dumaniach, rzadko się odzywając, chyba że miał gości, bo odwiedzali go Poni, którzy wchodząc siadali na ziemi z podgiętymi nogami. Kuchnią zajmował się Rusty, za każdym razem myjąc ręce z sadzy i brudu.

Lesterowie zajęli ofiarowany przez majora barak, przylepiony do grubego wału fortowego. Ale Rusty rzadko mógł przestawać z ukochaną dziewczyną, taki był wciąż wyczerpany ciężką pracą. Lesterowie opłacili koszty podróży złotem, które przywiózł ze Świętej, Doliny Wielkiego Ducha, nabyli za nie sprzęty do baraku i teraz płacili nim za życie, ale Rusty nie miał o to urazy.

Raz Wiatronóg, w przystępie rzadkiej rozmowności, rzekł do syna:

- Rusty, masz tyle złota, że możesz być zamożnym człowiekiem. Dlaczego zostawiasz wszystko Lesterom? Wiem, że Ryszard Lester jest porządnym człowiekiem. Wiem również, że ożenisz się z jego córką. Ale czy nie powinieneś trzymać swoich pieniędzy u siebie?

Rusty podniósł zamyślane oczy.

- Ojczy - odpowiedział - to jest krwawe złoto. Dwaj ludzie umarli przez to bogactwo. Biali ludzie mogą go używać, ale nie Szejenowie, bo zabrałem je ze Świętej Doliny.

- Biali ludzie? I ty jesteś biały, synu - powiedział Wiatronóg.

- Tak. Mam w żyłach twoją krew i matki, i to mnie czyni białym. Ale Wi duszy mojej zostały wszystkie dni i noce, przeżyte wśród Szejenów. Wy, biali, macie boga, który umarł na krzyżu i nigdy was nie nawiedza. Ja mam Wielkiego Manitou, boga mego plemienia. Mój bóg dał mi świętą strzałę i objawił się dwukrotnie w postaci sowy. Dlatego jestem Sze jenem, ojczy.

Ojciec coś chciał odpowiedzieć, gdy nagle zaciął usta i zamilczał. Rozumiał, że wpływ wieloletniego pobytu u Indian nie mógł się dać odrobić w krótkim czasie. Nadto w tej chwili Rusty podciągnął do góry zielonego skarabeusza, którego jego zmarła matka nosiła we włosach, a on teraz na szyi, na końskim włosiu. Widok tej pamiątki wzruszył starego Sabina tak dalece, że odjął mu mowę. Patrząc na nią, nie mógł nie wspominać dnia, w którym starł się w zacieklej walce z Rusty'm, czołowym wojownikiem Szejenów. Gdyby

nie dostrzegł tej relikwii na szyi przeciwnika, byłby synobójcą. Więc nie mógł dobyć głosu.

Dopiero po jakiejś chwili, gdy straszne wspomnienie przygasło w jego duszy, dorzucił:

- Pieniądze płodzą zło, synu. To trucizna nieuchwytna jak powietrze. Bądź ostrożny.

Rusty widywał Maisry raz na dzień. Tego nie mógł sobie odmówić. Przysuwała się do niego czasami blisko, bliżuteńko, i szczęśliwa tą bliskością, podnosiła rozradowane oczy do jego twarzy.

Większą część dnia Rusty spędzał w kuźni, gdyż miał moc roboty. Długa praktyka u brutalnego, lecz zręcznego kowala uczyniła zeń pierwszorzędnego majstra. Teraz miał ciągle możliwość zdawania egzaminu z siły i pomysłowości. Przez fort przeciągały bezustannie karawany emigrantów, dążących do równiny i choć byli to ludzie zręczni i przemyślni, to przecież niektórych rzeczy nie potrafili zrobić sami. Trzeba było spajać żelazne łańcuchy, nakładać obręcze na koła itd., a wszystko to mógł zrobić jedynie kowal. Więc młody Sabin pracował jak szalony.

Zarabiał dużo, cóż, kiedy pieniądze się go nie trzymały. Był szczodry jak Indianin, a Indianie są hojni, gdyż nie przywiązują znaczenia do własności. Dwaj ogromni Szejenowie, Szary Niedźwiedź i Mały Jeżozwierz, którzy pierwsi go ratowali - w dzień szczęśliwie zakończonej przygody na Tulmaku, jeszcze krążyli po forcie w oczywistej nadziei, że wielki czarownik, Czerwony Sokół, wróci w końcu do ich plemienia. Zachodzili więc do kuźni rano lub po

południu, stawali przed wejściem w kłębach gryzącego dymu z głowami, zakutymi w bawole skóry, nie chcąc, żeby oglądano ich twarze w haniebnym miejscu, gdzie sławny wojownik i czarownik pracował pilniej niż najędzniejsza squaw. Co dzień przychodzili i przyglądali się posepnie hańbie brata. Co dzień któryś pytał:

- Ojczy, czy pora nam wracać?

A gdy Rusty potrząsając głową, rozkazywał im jechać samym, odchodzili w milczeniu, by powrócić nazajutrz.

Któregoś popołudnia wybuchła na ulicy straszliwa awantura i do otwartej kuźni wionęła wieść, iż Szary Niedźwiedź i Mały Jezozwierz wstąpili na wojenną ścieżkę. Wypędziwszy z karczmy wszystkich gości, urządzili wściekłą pohulanekę, wyzywając przeciwko sobie całe miasto.

Rusty, bardzo zagniewany, pognał na miejsce zajścia z pustymi rękami. Tłum w ulicy prawie nie zwrócił na niego uwagi. Mieszkańcy Fortu Marstona w początkach ogromnie się nim interesowali, lecz gdy zabrał się spokojnie do pracy w kuźni, przestali o nim, mówić. Nie chodził w dawnej dzikiej glorii, nie nosił się jak bohaterowie pogranicza. Toteż rychło popadł w zapomnienie.

W tej chwili ogólna uwaga kierowała się na szynk, z którego dolatywało bojowe wycie szczęśliwych Szejenów, przeplatane z brzękiem tłuczonego szkła. Z fortu nadleciał z tętentem patrol kawalerii, zbrojny w szable i karabinki i rozważnie, bez pośpiechu, jął się gotować do szarży na karczmę. Wiadomo było, że Indianie mieli pod dostatkiem broni palnej, a w walce wręcz w izbie olbrzymi Szejen

mógł się zmierzyć z najpierwszymi zapaśnikami świata. Nic więc dziwnego, że żołnierze nie kwapili się do walki. Tymczasem nadjechał sam major Marston.

Scena była dla niego wymarzona. Mógł popisać się odwagą i władzą na oczach tłumu, skorego do oklasków. Niestety, samo zadanie wyglądało niebezpiecznie. Szarża na szynk pociągnęłaby za sobą mnóstwo ofiar. Najbezpieczniej byłoby podpalić czerwonoskórych, ale wtedy karczma uległaby zniszczeniu.

Major szarpał wąsy. Nie miał pojęcia, co zrobić. Zaczął kłąć, bo widzowie już się śmiali. Właśnie w tym momencie Rusty Sabin wystąpił z tłumu i poszedł szybko ku drzwiom szynku. Sporo głosów krzyknęło za nim ostrzegawczo, major zaś rzekł tak głośno, że najbliżsi w tłumie usłyszeli:

- Albo się upił, albo ma niedobrze w głowie. Sam będzie sobie winien.

Rusty zapukał.

W odpowiedzi padł strzał i pocisk ze strzelby, przebiwszy z trzaskiem drzwi, gwizdnął mu obok ucha. Nawet nie odskoczył, nawet się nie uchylił. Krzyknął tylko kilka gniewnych słów w języku szejenkim. Wewnątrz ucichło. Tłum zdumiał się. Śmiechy umilkły. Mężczyźni, dzieci i kobiety czekali z otwartymi ustami, co będzie dalej.

Drzwi się odemknęły i w głębi zamajaczyli dwaj ogromni Szejenowie ze strzelbami w rękach. Rusty Sabin znów coś ostro powiedział. Wtedy wyszli i oddali mu broń. Wrzawa zdumienia

wybuchła wśród tłumu. Major Marston zaklął pod nosem, bo zobaczył, że Maisry biegnie patrzeć, co się dzieje. Tymczasem Szejenowie nie tylko oddali Sabinowi strzelby, lecz i noże. Odebrał od nich wszystko z niewzruszenie srogą twarzą. Znow przemówił, a wojownicy zwiesili głowy. Po chwili Rusty zapytał głośno.

- Gdzie gospodarz?

Wystąpił na chwiejnych nogach tłusty jegomość z nikłym zarostem.

- Jestem Tom Wayling a to moja karczma - rzekł.

- Wejdźże - odparł Rusty. - Obliczcie straty, to wam zapłacę. Tom Wayling zajrzał od progu do zrujnowanej izby i wzruszył tłustymi ramionami.

- Jeszcze mam włosy na głowie - powiedział. - Lepszej zapłaty nie potrzebuję. Nasypałem im dla głupiego żartu czerwonego pieprzu do wódki, to się wściekli. Należy mi się kara, nie ma co gadać. Trzymaj swoje pieniądze, Sabin. Gdyby nie ty, zmiotliby mi całą budę. Dziw, że nie poszła z ogniem.

Ta wspaniałomyślna mowa wywołała burzę śmiechu. Tylko dwom winowajcom nie było wesoło. Przygarbieni, z głowami okręconymi w skóry, postępowali ulicą przed Rustym, który poganiał ich surowymi słowy. W tym momencie biały Indianin urósł znacznie w oczach miasta, mógł odtąd tkwić w kuźni bez szkody dla świeżo zyskanej sławy.

Podczas gdy młody Sabin ratował dobytek Waylinga, w osadzie działo się coś więcej. Mianowicie Bill Tenney zakradł się za kuźnię do szopy, w której stał Biały Koń.

Ogromny ogier spojrzał na nieproszonego gościa z groźbą w ślepiach. Ale Billowi śpieszyło się okropnie. Zacinając zęby, zerwał siodło z kołka na ścianie i cisnął na grzbiet koniowi.

Ale nie wiedział, z jaką bestią ma do czynienia. Siodło prysnęło pod sufit, a na niego, głupiego śmiałka, runęło białe tornado. Wykręcił się i rzucił do ucieczki. W samym progu dostał w plecy przednim kopytem. Siła uderzenia była tak wielka, że wyleciał jak z procy do korralu.

Zerwał się chwiejąc się na nogach. Biały Koń szalał w ogrodzeniu, ale już nie mógł dostać złodzieja pod kopyta. Bill zaśmiał się dychawicznie. Z trwogą patrzył na rozwścieczonego konia, błyskającego w słońcu atlasową sierścią. Ale nie uznał się za zwyciężonego. Po prostu dostał nauczkę, z której spodziewał się skorzystać następnym razem.

Dlatego Bill Tenney został w Forcie Marstona tak długo, aż ziemia mu się zapaliła pod nogami.

VI. CIERPIĄCE SERCE

... Gdy tego wieczoru Rusty Sabin skończył pracę w kuźni i przyszedł do izby zakrzętnąć się przy posiłku, oko jego zatrzymało się na papierze, leżącym na stole. Był to list. Wyszedł na próg, żeby go przeczytać. Poznał pismo ojca.

Kochany Rusty!

Muszę cię opuścić. Szejenowie mają cię za ojca. Poni tym samym imieniem mnie darzą. Wracam do nich.

Myślałem, że znajdę jakąś robotę, ale na samą myśl o roli ręce mi opadają. Ano, za długo żyłem na preriach. Chcę znów słyszeć z ust wojowników miano Wiatronoga.

Będę wciąż łaknął twego widoku, ale tutaj jestem ci ciężarem, a gdy się ożenisz, nie zabraknie ci ich także.

Muszę ci jeszcze coś powiedzieć. Może niedługo wystąpię wraz z Ponimi na wojenną ścieżkę, ale już nie przeciwko Szejenom. Możesz mi wierzyć. Daj o tym znać swoim. Pozdrów ode mnie serdecznie swoją Maisry i żeń się z nią jak najprędzej. Nie powinienes zapominać, że młode dziewczęta - nawet najlepsze - rozmyślają się przynajmniej raz na rok.

Spotkamy się, nie bój się. Daruj, że odszedłem nie pomówiwszy z tobą otwarcie, ale obawiałem się, że mógłbym się nie oprzeć twoim namowom.

Twój kochający ojciec.

Przeczytawszy list, Rusty zmiął go w rękach. Miał dwóch ojców - wśród Szejenów Cętkowaną Antylopę, którego wpierw okrył straszliwą hańbą a potem honorami - i rodzonego białego ojca. Ale pierwszy już nie żył, a drugi go opuścił. Rusty ego ogarnęło przygnębienie. Miał ochotę usiąść przy ogniu, posypać głowę popiołem, obciąć Włosy i zawodzić jak kobieta. Ale tylko zawinął się w derkę i jał się kiwać w przód i w tył jak to czynią Indianie w chwilach smutku.

Kiedy oprzytomniał, była już czarna noc. Zrobiło mu się duszno. Serce rozpierało piersi.

Wyszedł na dwór i, stojąc obok korralu, rzucił w ciemność jedno ciche słowo. Biały Koń, podobny w słabym świetle gwiazd do cudnego widma, nadbiegł z równie cichym rzeniem. Wśród niebezpieczeństw na szlakach nauczył się tej ludzkiej ostrożności. Widząc głowę pana, wspartą o górną poprzeczkę płotu, ściągnął zeń derkę i powąchał włosy. Nawet skubnął je, po czym galopem czmychnął w kąt korralu.

Ponieważ pan nawet go nie zgromił, mądry koń zrozumiał, że to nie zabawa. Zawrócił więc ukradkiem, podniósł łeb, popatrzył naokoło, zastrzygł uszami, czujnymi jak uszy wilka i jął węszyć. Ale na niebezpieczeństwo się nie zanosilo. Przytknął więc miękkimi wilgotnymi pyskami do twarzy pana i jął pchać niecierpliwie w górę, próbując go zmusić, żeby podniósł głowę. Rusty westchnął, odwrócił się i odszedł, nakrywając z powrotem głowę derką.

Nawet Biały Koń nie mógł go pocieszyć. Nawet Biały Koń, choć wołał za panem tęsknym rzeniem, nie zdołał go zawrócić. Rusty chciał ulżyć sercu, więc poszedł do Lesterów.

Już z daleka doleciały go dźwięki muzyki. Przez otwarte drzwi, bo noc była ciepła, ujrzał majora Marstona, grającego na gitarze. Głos majora wyciągał rzewne murzyńskie pieśni. Rodzina Lesterów siedziała kołem zasłuchana. Maisry, z głową odchyloną w tył, patrzyła z gwiezdą dal.

Rusty zaczekał, póki melodia nie umilkła. Przeszedł przez próg i podniósł rękę w bezsłownym powitaniu.

- Wielkie nieba, Indianin! - krzyknęła Marta.

- Cicho, Marto, to Rusty. - I gospodarz zerwał się z krzesła. Lester już był innym człowiekiem. Wróciły mu rumieńce i blask oczu. Łagodny klimat południa przenikał w jego zabiedzone ciało ożywczą siłą.

- Rusty? - wykrzyknęła Marta. - Więc czemu nic nie mówisz? - Co ci jest, Rusty?

- Zdaje mi się, że go rozumiem - wtrącił złośliwie major. - Państwo wiedzą, że wśród Indian wojownikowi nie wolno rozmawiać z teściową, a przynajmniej powinien tego unikać.

Rusty usiadł pod ścianą obok drzwi z podgiętymi nogami i okutaną, schyloną nisko głową. Maisry przypadła do niego przyklękając na jedno kolano.

- Co to, Rusty - spytała łagodnie. - Mów, co ci jest? Czy Białemu Koniowi coś się stało?

- Może coś z kuźnią? - zapytał niedbale major.

Sabin, milcząc, podał swojej dziewczynie list od ojca.

Maisry przeczytała głośno, przerywając sobie cichymi okrzykami.

- Wrócił do Ponich!?! - zawołała stara Marta z grymasem odrazy. - Do tych złodziei i morderców? Co jemu strzeliło do głowy? Czy cały ród Sabinów przedzierzgnął się w Indian, Rusty? Wielkie nieba, czy twoje dzieci będą takie same?

- Awanturnicza żyłka, proszę państwa - zauważył major Marston. Mówiąc to poruszył lekceważąco ręką w stronę pani domu.

Wzięła to za poparcie.

- Usiądź przynajmniej na krześle - zwróciła się ostro i natarczywie do Rusty'ego. - Czas, żebyś się nauczył ludzkich zwyczajów.

- Niechże mama da spokój! - rzekła prawie zniecierpliwiona Maisry i, siadłszy obok Sabina, poszukała jego ręki.

- Nie przeszedłbyś się ze mną Rusty? - spytała łagodnie. - Może by ci dobrze zrobiła długa przechadzka i rozmowa. Czy jesteś po wieczerzy? Może ci coś przynieść?

- Ach, Maisry - odpowiedział - tyle smutku we mnie weszło, że nie ma miejsca na jedzenie. Gorycz mam w zębach i na języku. Odszedł ode mnie. Ojciec odszedł ode mnie i mój dom jest pusty.

- Każdy chłopiec musi to przejść - zauważył spokojnie major. Na to Ryszard Lester ściągnął brwi i potrząsnął głową.

- Ale mogę cię zabrać - rzekł Rusty do Maisry, zrywając się nagle z podłogi. - Chodź ze mną, Maisry. Chodź do mego domu.

Pomógł jej wstać.

- Do ciebie? - krzyknęła matka. - Do ciebie? - Bez ślubu? - Czy ten chłopiec zwariował? Przecież musimy poczekać na przyjazd pastora. - Ryszard, powiedz coś! Zrób coś! - Ryszard, nie ruszysz się z miejsca?

- Maisry mu powie - odparł Lester, patrząc w ziemię i znów potrząsając głową z bolesnym zakłopotaniem.

- Rusty, ja nie mogę iść - rzekła dziewczyna. - Wpierw musimy wziąć ślub.

Sabin zachnął się, derka zsunęła mu się z głowy, odsłaniając twarz, umazaną sadzą i pyłem, miejscami tak grubo, jakby to były farby indiańskie.

- Złożyłem dary. Ojciec twój oddał mi ciebie - odpowiedział. - Skoro cię zabiorę do siebie i przeniosę przez próg, będziesz moją żoną.

- O, nieba! - lamentowała matka. - Ryszard słyszysz ty, co on gada? Majorze, majorze, wolno to, żeby się takie rzeczy działy pod pańskim okiem?

- Nigdy! - odrzekł dobitnie major Marston. - Nie dopuszczę do tego, droga pani.

Maisry zwróciła się do Rusty'ego:

- Wiesz, my mamy inne zwyczaje. U nas się daje pierścioneł, pastor czyta z książki, oblubieńcy klękają, a gdy wstaną, są małżeństwem.

- Klękają? - powtórzył Rusty. - Po co ja bym klękał? Ja klękam tylko przed Wielkim Manitou.

- To ja uklęknę, a ty będziesz stał - ustąpiła cierpliwa Maisry. - Ale iść z tobą teraz - nie mogę. Bardzo tego pragnę i serce mnie boli, że masz pusty dom. Ale w końcu tygodnia będzie tu pastor. Przyjedzie z pobliskiej faktorii. Wtedy weźmiemy ślub.

- Maisry, pusta głowo, głupia głowo, zastanów się co mówisz. Dzień oznaczasz!?!... - zakrzyczała matka.

Major wzruszył ramionami, ale nie powiedział nic. Rusty, popatrzawszy chwilę na Maisry, zapytał:

- Czy to prawda, że dziewczęta rozmyślają się raz do roku?

- Może inne. Ja się nigdy nie zmienię - odpowiedziała spokojnie.

- Tak? - Rusty nabrał głęboko powietrza w płuca i uśmiechnął się. - Nigdy nie odmienisz serca, Maisry, nigdy nie odmienisz myśli?

- Nigdy.

Rusty zdjął z szyi zielonego skarabeusza na pleciance z końskiego włosia.

- Moja matka to nosiła. Gdy umarła, broniąc mnie przed Szejenami, zabrali jej to i mnie włożyli na szyję. Odtąd się z tym nie rozstawałem. Ten amulet odwracał ode mnie kule i ciosy noży. Siedzi w nim czarodziejska siła. Patrz, wkładam ci go na szyję. Teraz jest blisko twego serca. To tak jakbym ja był. Jeżeli zapragniesz przestać myśleć o mnie, odeślij mi go. Zobaczywszy na swej dłoni tego zielonego żuka, poznam, że ojciec mówił prawdę. Poznam, żeś się odmieniła, Maisry.

Maisry wzięła zielonego żuka na dłoń i z czcią pocałowała.

- Nigdy się nie zmienię.

Rusty stał blisko drzwi, badając jej twarz szczegół po szczególe, po czym podniósł rękę na znak pożegnania i zniknął w ciemnościach.

W izbie Marta zanosiła się płaczem.

- Indianin! Tylko tyle, że ma białą skórę! Ryszard, ty nie możesz do tego dopuścić! - O! Maisry, jak ty się możesz wybierać za męża za dzikusa? - Majorze, niech pan powie, co robić? Co robić?

Major zastanawiał się poważnie nad kilkoma możliwościami, ale uważał, że takich rzeczy lepiej nie mówić.

VII. UPADŁY BOHATER

Bill Tenney wyniósł z przygody z Białym Koniem stłuczoną łopatkę i guz nad okiem, ale zarazem zadowolenie i decyzję. Kupił sobie wielki, okrutny munsztuk hiszpański, z którego pomocą spodziewał się ujarzmić piekielnego ogiera, gdyż Rusty zakładał mu tylko lekką uzdę. Spętanie kopyt przednich lub przedniego z tylnym byłoby zabezpieczeniem przed skokami w górę i wyrzuceniem z siodła.

Pierwsza nieudana próba była dla Billa cennym doświadczeniem. Teraz obmyślał wszystko przezornie, niczego nie zdając na przypadek. Wierzył, że za drugim razem mu się uda. Czuł już między kolanami potężnego konia, widział się unoszonym przez prerie lotem ptaka.

Ufny w zwycięstwo poszedł do szynku Toma Waylinga. Stojąc przed lustrem, rozbitym przez Szejenów, popijał wolno wódkę. Chciał się zastanowić nad przyszłością. Chciał pomyśleć co będzie robił z Białym Koniem. Widział już okiem wyobraźni obozowiska w zamęcie, ludzi, dosiadających nędznych koni, żeby ścigać bandytę, uchodzącego z łupem na wiatronogim ogierze. Z góry śmiał się, jaką to będzie miał zabawę. Sam doścignąłby nieprzyjaciela z szybkością piorunu.

Te rozkoszne obrazy wywoływały na wilczej twarzy Billa przebłycki uśmiechu i zapaliły w oczach złowrogie ognie. Z

pewnością nie myślał w tej chwili o siwym Dicku Sandersie, któremu skradł na faktorii nad Tulmakiem dwadzieścia funtów złota. Nawet, usłyszawszy spokojny głos: „On - on, chłopcy!” nie od razu się połapał.

Kątem oka zobaczył, że czterej ludzie zachodzą mu drogę ze wszystkich stron, wśród nich siwowłosa Dick Sanders. Udając, że nie widzi, niebezpieczeństwa, wychylił spokojnie resztę wódki i - w okno! Już - już miał zniknąć w ochronnych ciemnościach nocy, gdy Sanders nagłym rozmachem wyrzucił go kolbą strzelby w głowę.

Opryszek padł na ziemię bez czucia.

Ocknął się - w niewoli. Ciężki pas nie cisnął mu już boków, ramiona tkwiły w kleszczach rąk dwóch długowłosych junaków, a ci ciągnęli go przez miasto.

Choć bez broni, byłby się niewątpliwie porwał na nich, gdyby nie to, że przed nim kroczył trzeci, a za nim jeszcze dwóch. Milczał więc i szedł potulnie.

Schwytany wilk potrafi mądrze przywarować, a Bill Tenney miał chytrą wilka. Ciżba gapiów wyszła patrzeć w świetle latarni jak niedawny bohater kroczył pod strażą do fortu, w którym znajdowało się więzienie.

Billa nic to nie obchodziło, że na niego patrzą. Jedna tylko twarz przykuła jego uwagę w tym marszu - spokojna twarz Rusty'ego Sabina, który, stojąc w drzwiach kuźni, zdawał się nie widzieć, kogo prowadzą. Bill Tenney miał ochotę odwrócić się i przekląć obojętność

tego człowieka. Czyż nie wyratował go z topieli? Ale nie powiedział nic.

Milczał również, gdy patrol obywatelski przekazywał go w bramie fortu żołnierzom. Pozwolono wejść tylko Dickowi Sandersowi i jednemu świadkowi. Przyniesiono kajdany, skuto więźniowi ręce i zaprowadzono go na odwach, do długiej, ponurej, prawie pustej izby, bo prócz dwóch stołów i kilku ławek, nie było w niej nic.

Po chwili zjawił się ordynans i przez drzwi w głębi zaprowadził Billa przed oblicze majora Marstona.

Major z rękami w kieszeniach, ze sztywno wskutek tego sterczącymi połami munduru, przechadzał się za biurkiem na wzniesieniu, co czyniło go jeszcze groźniejszym i wspanialszym. Za każdym nawrotem od ściany rzucał więźniowi niedbałe spojrzenie.

- O co oskarżony?
- O rabunek - objaśnił sierżant.
- Istny kojot - zauważył major.
- Nie, prędzej wilk. Już go raz widziałem. Wyławiał coś z rzeki.
- Tu zaśmiał się. - Mówcie, sierżancie.

Oskarżenie opiewało w zwięzłych słowach, jak to Bill dostał się na faktorię, zapędził w kąt strzelbą dwóch obecnych w kantorze ludzi i rozbił kasę. Pieniądze znaleziono przy nim w pasie, który został okazany jako dowód rzeczowy.

Major wziął pas, zważył w ręku, gwizdnął, że taki ciężki, cisnął z hałasem na biurko i znów się przechadzał. Chciało mu się śmiać. Lubił wymierzać sprawiedliwość. Był szczęśliwy, że jest jedynym

sędzią w okręgu. Te dorywcze obowiązki dopełniały miary jego zarozumiałości. Śmiejąc się pod nosem, rzekł:

- Powinieneś być wiedzieć, Tenney, że tylko wściekły wilk kradnie za dnia. Umieścimy cię w takim apartamencie, że ochłoniesz. Mamy nisko nad rzeką kilka komnatek, w których pleśń rośnie równie szybko jak wiosną trawy na preriach. Przynajmniej sobie wypoczniesz. Ja tymczasem zastanowię się co z tobą zrobić. Ale ponieważ tam na dole jest chłodno, wpierw dostaniesz coś na rozgrzewkę. Damy ci czerwoną koszulę, Tenney. Zobacysz, jaka ciepła. Takiej jeszcze nie nosiłeś.

Śmiech przerwał mu mowę.. Patrzył na więźnia złośliwymi iskierkami w oczach.

- Zabrać go na podwórze i wychłostać - rozkazał.
- Ile razy, panie komendancie? - spytał sierżant.
- Sam nie wiem. Muszę się rozpatrzyć. Przynieście kańczug i sprowadźcie którego z poganiaczy.

Żołnierze wyprowadzili Billa na wewnętrzny dziedziniec i przywiązali do słupa. Sznury przechodziły przez kajdany przy rękach. Ale wpierw obnażono go do pasa. Słup był tak niski, że musiał się pochylić w przód, skutkiem czego potężne mięśnie w plecach wystąpiły jak grube liny idące od krzyża i tworzące na barkach faliste sploty.

Dziwna rzecz, skazaniec nie wydawał się nagi. Siła odziewała go jak ubranie. Długie włosy spadały na twarz czarną maską.

Poganiacz mułów, garbus o potężnych szczękach, twarzy żaby i długich, silnych rękach, wziął się sumiennie do roboty. - Żując tytoń, między uderzeniami strzykał cienko śliną. Miał zamiłowanie do swojej pracy. Przed egzekucją zwrócił się do majora, przeciągając z lubością w lewej dłoni rzemień kańczuga:

- Ma być z krwią czy bez krwi, panie komendancie?

- Co więcej boli? - spytał major Marston.

- Trudno powiedzieć. Zależy, panie komendancie. Niektóre muły nie lubią razów na płask, od których wyskakują pręgi. A inne znowu za nic sobie mają sińce, a wierzgają, jak krew pocieknie. Niektórym zostawiam na stałe po placu żywego mięsa z każdej strony ogona. Wystarczy musnąć batem, a mało nie wyskoczą z chomąt. A znowu tym pierwszym zostawiam sińce, żeby się nie goiły. To jak trzeba jęcza cholery ludzkim głosem ledwie dotknę...

Poganiacz rechotał. Major wtórował.

- Spróbuj zwyczajnie - od paru kielbas - rzekł.

Poganiacz zrobił jak mu kazano. Spod rzemienia wyskoczyły czerwone, wypukłe pręgi. W pierwszej chwili pokazywała się biała smuga z siną obwódką. Następnie białe zachodziło krwią i zaczynało puchnąć. Bat świszczwał jak różga. Tenney ani drgnął. Obejmował słup z taką siłą, że ogromne mięśnie w ramionach prężyły się i wibrowały. Poza tym był zupełnie nieruchomy.

Nagle major zawołał dziwnym głosem:

- Krwi, krwi, człowieku! Upuść mu trochę krwi!

Poganiacz, nie przerywając roboty, strzyknął przez zęby żółtą śliną i przez ramię uśmiechnął się do komendanta szerokim, zwierzęcym grymasem. Jednocześnie rzemień spadł na plecy Billa z odmiennym, ostrym jak wystrzał odgłosem i po białej skórze pociekła strużka krwi. Skazaniec wzdrygnął się, a major widząc to, wykrzyknął radośnie:

- O to, to! Niech ma! Popuśćmy mu posoki!

Każdy raz kańczuga zostawił krwawą rysę. W kilka chwil plecy Billa spływały krwią. Strugi ściekały po spodniach. Ale stał jak mur. Drugi raz nie drgnął.

Major podchodził coraz bliżej, aż kilka czerwonych kropek prysnęło mu na twarz. Odskoczył z przekleństwem i wyciągnąwszy chustkę otarł policzek.

- Dobrze! - zawołał wreszcie. - Wystarczy. Teraz trzeba obmyć plecy. Przynieście wody z solą i dodajcie trochę octu. Oczyszczyć rany od bicia.

Przyniesiono okropnego żrącego płynu i ziano rozkrwawiony grzbiet Billowi. Tortura musiała być straszna. Jednakowoż delikwent tylko podrzucił ramionami. Potem już stał spokojnie, nawet gdy go odwiązano od słupa. Oprawcy wciągnęli mu przez głowę koszulę, szarpiąc bez miłosierdzia.

Bill wyprostował się i strząsnął z twarzy długie włosy, które posklejały się od potu w brzydkie strąki. Twarz miał trupio bladą. Ciężki oddech słychać było na kilka kroków. W oczach, gdy spojrzały

na majora, zapaliły się żółte ognie. Major śmiejąc się, przystąpił do swojej ofiary.

- Gniewasz się, braciszku? Ale ja umiem zamieniać takie wilki jak ty w psy, a psy w kundle. A potem kundle czołgają mi się u nóg i liżą rękę, która je biła. Teraz zabierzcie go do najchłodniejszej i najgłębszej komnaty.

VIII. GŁOS Z NIEBA

Rusty Sabin pozornie nie zwrócił uwagi na przechodzącego pod eskortą Billa.

Wszedł w tłum, gdzie natknął się na dwóch Szejenów, stojących ramię przy ramieniu. Położywszy rękę na nagiej łopatce Szarego Niedźwiedzia poruszył szybko pacami. Rzadko który Indianin nie zna dotykowego języka prairii, którym można rozmawiać w ciemnościach.

Gdy Rusty odszedł, Szary Niedźwiedź i Mały Jeżozwierz nie od razu ruszyli za nim. Po jakimś czasie zjawili się za kuźnią, wiodąc z sobą trzy tęgie konie. Już było ciemno i gwiazdy świeciły. Rusty przemówił do nich w następujących słowach:

- Leżałem w rzece. Podwodny Lud, pochwyciwszy mnie, ciągnął w dół. Ale zjawił się mój biały brat i wydobył mnie z toni. Samiście to widzieli. Widzieliście go również pojmanego przez nieprzyjaciół i wiedzonego do fortu. Musimy więc jechać i uwolnić go z kaźni.

Nastała chwila ciszy. Milczenie przerwał pierwszy Szary Niedźwiedź.

- Wojenny naczelnik białych jest w forcie. Otaczają go najlepsi wojownicy. Mają dużo strzelb i oczy ich patrzą bez przerwy.

- Wielki Manitou nam pomoże - powiedział z ufnością Rusty Sabin.

- Więc możemy jechać bezpiecznie? - spytał Szary Niedźwiedź.

- Człowiek ze strachem w sercu nigdy nie jest bezpieczny - odparł Rusty.

Mały Jeżozwierz, który dotąd milczał, rzekł:

- Nie bylibyśmy wyszli żywi z przybytku wody ognistej, gdyby nie Czerwony Sokół. Jeżeli teraz potrzebne mu nasze życie, niech bierze. Nasze życie należy do niego.

- Jedźcie do bramy fortu - rozkazał Rusty. - Możecie zajrzeć przez kraty. Może zobaczycie, co zrobią z moim bratem.

Wojownicy odjechali pospiesznie, on zaś wszedł do kuźni z zapaloną latarnią. Czarne ściany wiały dymem. Podniósł czternastofuntowy młot o rękojeści wyszlizganej od użycia. Spojrzał na skrzynię, w której składał stare podkowy. Rozpostarł ręce i popatrzył na dłonie, stwardniałe od roboty.

Może będzie zmuszony opuścić tę budę i porzucić pracę. Jeżeli uda się wykraść Billa z fortu, będzie musiał uciec z nim razem, a wtedy już by nie mógł wrócić.

Pisanie przychodziło mu z trudnością. Mimo to usiadł i wymęczył pracowicie krótki list do Maisry.

Może wrócę do mego ludu. Odjeżdżam stąd na krótko lub na długo. Zielony Żuk będzie ci mówił dzień w dzień, że serce moje zostało przy tobie.

Bądź zdrowa!

Na odwrotnej stronie arkusika napisał „Maisry” i wetknął papier w szparę w ścianie, pewny, że pierwszy kto wejdzie do kuźni, zobaczy go. Nie pomyślał tylko, że w adresie powinno się umieścić prócz imienia także nazwisko.

Następnie wydobył nóż długości osiemnastu cali. Sam go sobie ukuł z najprzedniejszej stali. Niewprawny we władaniu strzelbą, pistoletem, łukiem i strzałą, - ta ostatnia broń była jeszcze w użyciu Szejenów za dni jego dzieciństwa - był za to mistrzem noża, czy to używanego jako pocisk czy w walce wręcz. Patrząc na sine, migotliwe, wygięte ostrze, ścisnął mocniej trzonek w rękę.

Tak zajętego zastali Szejenowie. Powierzchny obserwator nie wyczytałby z twarzy wojowników nic prócz zwyczajnej indiańskiej obojętności. Rusty jednak poznał z miejsca, że obaj są jak na szpilkach.

Mały Jeżozwierz zameldował krótko:

- Przywiązali twego białego brata do słupa i bili jak psa. Biały naczelnik wojenny patrzył i śmiał się. Bili twego brata, póki nie spłynął krwią. Wtedy go zabrali, a biały naczelnik wojenny jeszcze się śmieje.

Rusty przymknął oczy. Gdy je otworzył, zobaczył, że cieniutka smuga światła biega szybko skrajem noża, drgającego w jego kurczowo zaciśniętej dłoni. Słuchał relacji Indian.

Obeszli wolno fort, przy czym każdy szedł oddzielnie. Ludzie, idąc razem, widzą to samo. Idąc oddzielnie, każdy robi swoje własne spostrzeżenia.

Sabin nic nie wyłowił z meldunków Indian. To było jedynie ważne, że według sprawozdania Małego Jeżozwierza, naczelnik wojenny przechadzał się za otwartym oknem od strony rzeki.

Rusty popatrzył błędnie naokoło, ale ciemności nie natchnęły go żadną szczęśliwą myślą. Usiadł więc na ziemi, oczyścił fajkę, nabił, nasypał próchna na tytoń, skrzesał ognia i rozdmuchał dym, ledwie widoczny w świetle gwiazd. Następnie podniósł ręce do góry, trzymając w jednej fajkę cybuchem do góry. Jeżeli Manitou mu sprzyja, to natchnie go mądrością zanim zdrętwiałe ramiona odmówią posłuszeństwa i opadną ze zmęczenia.

Odgłosy życia osady przestawały dolatywać do uszu Rusty'ego.

Siła skupienia była tak wielka, iż poczuł się porwany i rzucony pod wielki słupek skalny u wejścia do Świętej Doliny Szejenów. Modląc się do Wielkiego Ducha, pomyślał o szerokich, szumiących skrzydłach sowy, która przeleciała w ów dzień daleki nad jego głową. Miał uczucie, że znów słyszy szelest.

Raptem objawiła mu się oślepiająco wyraźnie roześmiana twarz majora. Już od pewnej chwili pokazywała się na skraju świadomości, ale odsuwał ją niechętnie. Major miał zarozumiałość wypisaną na obliczu. Jeżeli Rusty nie zwracał uwagi na jego złośliwość, to dlatego, że nie chciał.

Któregoś dnia major zjawiwszy się w kuźni w towarzystwie Maisry, pozwolił sobie na szyderczą uwagę:

- Ostatecznie na świecie są potrzebni uczciwi robotnicy. Nie każdy może pracować głową.

Rusty przypomniał sobie teraz to powiedzenie. Pomyślał także o Billu, wysmaganym do krwi. Nagle ręce mu opadły.

- Och! - szepnął Mały Jeżozwierz. - Nie ma odpowiedzi?

- Jest wojenny naczelnik białych - odpowiedział Rusty. - To jest odpowiedź.

- Czy imię człowieka jest odpowiedzią na modlitwę, mój ojczy?

- zapytał Szary Niedźwiedź.

- Ja dostałem taką odpowiedź - odrzekł krótko Rusty i wstał.

- Co znaczy ta odpowiedź?

- Wielki Duch - wyjaśnił surowo Rusty - nie zawsze przemawia wyraźnie. Spuści widzenie lub dźwięk i mądrzy ludzie rozumieją.

- Czekamy na twoje słowa, ojczy - z pokorą rzekł Szary Niedźwiedź. - Nasze głowy są puste, ale nasze ręce należą do ciebie.

Rusty jął się przechadzać tam i z powrotem. Barki bolały go jeszcze od modlitwy, ale zamroczenie przeszło.

Co znaczy zjawa, zesłana przez Wielkiego Ducha? Wciąż ją widzi w mózgu - roześmianą twarz, twarz majora Marstona. Stał jak wryty. Szary Niedźwiedź wydał okrzyk.

- Iść do niego? Wyważyć bramę, czy przeskoczyć przez mur? Ojczy, gdyby tu wszyscy Szejenowie stanęli w gotowości, to i tak musieliby się ciężko natrudzić, nim by tego dokazali. Jakże się do niego dostaniemy?

- Przez otwarte okno, za którym się przechadza. Widziałeś - rzekł Rusty.

- Wysoko od ziemi.

- Wdrapiemy się - zdecydował Rusty. - Głos przemówił do mnie z nieba. Nie posłuchamy go, bracia?

IX. TRZEBA DOCHOWAĆ WIARY

Rzeczywiście okno, za którym major ciągle się jeszcze przechadzał, nucąc urywki jakiejś murzyńskiej melodii, było bardzo wysoko nad ziemią. Ale ściana dla większej mocy schodziła skośnie ku fundamentom, potężne zaś, z grubsza obrobione głazy w murze nadawały się świetnie do wspinaczki ze względu na moc nierówności, o które można było zaczepiać ręce i nogi.

Mały Jeżozwierz, zbadawszy mur, zaśmiał się cicho.

- Patrzcie! - rzekł. - Manitou już jest z nami. Dał nam drabinę i ścieżkę w górę.

Nie potrzebowali nawet zdejmować mokasynów dla większego bezpieczeństwa.

Mały Jeżozwierz wspiął się pierwszy. Czepiając się okna czekał na towarzyszy.

Rusty zajrzał do środka. Obszerna, wygodnie urządzona sypialnia - kominek wmurowany w ścianę - półka z książkami. Na myśl o milionach słów, zapelniających kartki tych książek, w Rusty'm zamarło serce. Człowiek, który przeczytał tyle książek, musiał zdobyć potężne czary, może tak potężne, jak władza Wielkiego Ducha Szejenów.

Major, chodząc po pokoju, uśmiechał się z zadowoleniem do własnych myśli. Ręce trzymał z tyłu, ale co raz zamachnął się jakby trząskając z bicia. Raz nawet zaśmiał się głośno. Najoczywiej

rozkoszował się wspomnieniem chłosty, którą kazał wymierzyć Billowi Tenney'owi. Rusty'ego, gdy to zrozumiał, ogarnęła straszna wściekłość. Zatrząsał się tak, że mógł zlecieć, ale potężne ramię Szarego Niedźwiedzia przycisnęło go do muru.

Rusty szepnął w ucho towarzyszowi:

- Ja wchodzę pierwszy i dam wam znak.

W tej chwili major dochodził do ściany w głębi. Nim zawrócił, Rusty już stał w pokoju pod oknem z rękami założonymi na piersiach. Zobaczywszy to, major w pierwszej chwili drgnął i odskoczył w tył. Zaiste nie spodziewał się takiego gościa.

- Kowal? - wykrzyknął. - Jakiś się tu dostał, do wszystkich diabłów?

Rusty uśmiechnął się odrobinę złośliwie, ale tylko odrobinę.

- Skoro przyjaciel wzywa, trzeba przyjść - odpowiedział.

- Czy ja jestem twoim przyjacielem, Sabin? - spytał major, przyglądając się umorusanej sadzą twarzy młodzieńca.

Na to oczywiste szyderstwo Rusty wzruszył ramionami.

- Mój przyjaciel - rzekł - jest teraz zamknięty w forcie z plecami w ranach od razów kańczuga. Przyszedłem pomówić w jego sprawie.

- A, więc to twój przyjaciel. Nie powinieneś się przyjaźnić ze złodziejami, Sabin. Wiesz, co mówią? „Swoją do swego ciągnie”.

Zaśmiał się znacząco, ale Rusty odpowiedział:

- Jestem mu winien życie. Czyż mam się otrząsać na rękę, która mnie uratowała?

- Bill zabrał złoto innemu człowiekowi. Za to był przywiązany do słupa i osmagany. Co go jeszcze czeka?

- Może druga porcja batów - rzekł major. - Nie wiem. Jeszcze nie postanowiłem, co z nim zrobię. W tych stronach roi się od złodziei i łajdaków. Takich trzeba uczyć. Mnie przypadła rola nauczyciela. Nie powiem, żebym był od tego. Może będę trzymał Tenney'a w kajdanach i pošlę go do najbliższego więzienia. Jeszcze nic nie wiem. Może ty byś mi co poradził? - zapytał szyderczo.

- Jeżeli go uwolnisz, dam ci pieniądze, dam ci koni - odpowiedział Rusty.

- Chcesz go wykupić?

- Za pieniądze wszystko można kupić od białych - rzekł z przekonaniem Rusty.

- Dasz za niego konie?

- Dam.

- Dasz Białego Konia?

- Białego Konia nie mam prawa oddać. Został ze mną, bo mnie kocha. Mógłbym go zwrócić tylko wiatrom i preriom.

Mówił z tak przejmującą szczerością, że major zmieszał się. Major uważał młodego Sabina za dzikiego człowieka - za kaprys natury - za dziwnego awanturnika. Teraz wyczuł w nim coś innego - głębię dobroci - poczucie sprawiedliwości - coś takiego, że jego własna dusza wydała mu się zła i uboga. Dla człowieka tak dumnego, jak major, odkrycie to było niby zastrzyk trucizny. Dotąd gardził Rusty'm i wydrwiwał go. Teraz znienawidził go szaloną nienawiścią.

Bo teraz dopiero pojął, że Maisry musiała w nim widzieć nie tylko oryginalną postać z pogranicza - nie tylko romantycznego bohatera - lecz jeszcze człowieka nieposzlakowanego.

Przedtem major odczuwał w stosunku do niego wyższość cywilizacji nad barbarzyństwem. Teraz pojął, że cała jego osobista wyższość polegała na większej władzy i przewadze materialnej.

Poczuł się po prostu obrażony.

- Jesteś gotowy dać wszystko za Billa Tenney'a, który uratował ci życie. Wszystko prócz tego co najwyżej cenisz. Wiesz, co ci powiem, Sabin? Innych białych mogłeś przekupywać złotem. Ze mną ci się to nie uda. Ja tu reprezentuję sprawiedliwość. Billowi Tenney'owi będzie wymierzona sprawiedliwość. To wilk, nie człowiek, a na wilka trzeba skutecznych sposobów. Ale już późno. Muszę iść spać. Wynoś się tędy, którędy wlałeś.

KU zdumieniu majora Rusty tylko potrząsnął głową.

- Nie idziesz? - zapytał major i groźnie podniósł rękę.

- Dopierośmy zaczęli rozmowę - odrzekł łagodnie Rusty. - Proszę cię, żebyś był dobry i szlachetny dla bezbronnego człowieka, który przez ciebie nacerpiał się bólu i wstydu. Głód boli i ogień boli, ale jedno i drugie da się złagodzić i zapomnieć. Za to wstyd jest chorobą, która nigdy nie ustępuje z duszy człowieka. Zhańbiłeś mego brata. Teraz musisz go wypuścić, żeby znów mógł poczuć się mężczyzną. Ale na to będzie potrzebował wiele czasu i wielu świetnych czynów.

Major stracił panowanie nad sobą. Wskazując na drzwi, wrzasnął:

- Precz!.. Dostyc tych głupstw! - dodał. - Nie chcesz słuchać, to się z tobą rozprawie inaczej. Wynos się z fortu!

Wstrząsany gniewem i obrażoną dumą, posunął się groźnie do okna. Rusty rzucił jedno gardłowe słowo w języku Szejenów. Natychmiast przez okno strzeliły dwa długie, nagie ramiona barwy miedzi i dwie potężne ręce pochwyciły majora jak kleszcze.

Chciał krzyknąć, lecz twarde palce Indianina zacisnęły mu się na gardle. Chciał wyrwać rewolwer z pochwy, lecz Rusty unieruchomił mu rękę z prawdziwie kowalską siłą. Wtedy przez okno wślizgnęli się dwaj olbrzymi Szejenowie i major zobaczywszy ich, przestał się szamotać. Rusty dotknął ręki, dławiącej wojennego naczelnika białych, i dusicielskie palce puściły.

Major przez chwilę był zajęty łapaniem oddechu. Gdy mu się zrobiło lepiej, zwrócił oczy na Rusty'ego. Major był bardzo odważny. W chwili tak wielkiego niebezpieczeństwa nie okazał cienia trwogi.

- No? - rzucił krótko.

- Mój brat dostał krwawą chłostę - rzekł Rusty. - Ty nie dostaniesz, jeżeli uczynisz, co powiem - jeżeli pošlesz natychmiast po Billa Tenney'a.

- Mam posłać po strażnika, żeby was tu zobaczył? - zapytał Marston.

- Uchyl drzwi i zawołaj przez szparę, to nikt nas nie zobaczy - poradził Rusty. - Dla pewności stanę z tym oto za tobą.

Tu dobył długiego stalowego noża. Major popatrzył na wygięte ostrze i podszedł do drzwi. Otworzył je na korytarz i rzucił w szparę słowo komendy. Drzemiący pod ścianą w małej sionce ordynans zerwał się salutując.

- Poślij po Billa Tenney'a - tego, któregośmy dziś wsadzili do lochu rozkazał Marston. - Niech go tu zaraz przyprowadzą.

Zamknął drzwi i odwrócił się wolno. Był blady ze wstydu na myśl, co powie miasto, gdy rano gruchnie wieść o ucieczce Tenney'a. Będzie wiele domysłów niepoehlebnych dla komendanta fortu. Major wiedział, że zyskał respekt wśród ludności pogranicza, lecz nie miłość.

- Sabin - zapytał - masz ty rozum w głowie? Zastanawiasz się jak się to dla ciebie skończy? Czy rozumiesz, że nie będziesz się mógł więcej pokazać w forcie? Czy rozumiesz, że kiedy cię dostanę w ręce, możesz stanąć pod słupem?

W odpowiedzi Rusty wzruszył ramionami i westchnął głośno.

- Nie można opuścić przyjaciela w potrzebie - rzekł.

Jednak dla majora były to słowa bez treści.

Za chwilę w sionce, rozległy się kroki i brzęk łańcuchów. Indianie cofnęli się w ciemny kąt. Major tym razem otworzył szeroko drzwi. Między łopatkami czuł lekkie ukłucia noża.

- Niech wejdzie sam - rozkazał. - Muszę go przepytąć.

Bill Tenney przestąpił przez próg, major zaś zamknął drzwi i przekręcił klucz.

Widok Indian i długiego noża w ręku Rusty'ego powiedziały. Billowi, co się stało. Niewiele myśląc, podniósł skute ręce, żeby wyrznąć majora w głowę. Ale Sabin dał znak i Mały Jeżozwierz przytrzymał więźnia za ramiona. Złodziej nie stawiał oporu, tylko dysząc ciężko, zamruczał:

- Sabin, puść mnie na niego. Na Boga! należy mu się! Zostaw mnie z nim samego. Dam mu radę, choć ręce mam skute.

- Zawarłem z nim pakt - odparł Rusty. - Puści cię, a w zamian my nic mu nie zrobimy - przynajmniej dziś.

Tenney zaczął kiwać głową.

- Tak nawet lepiej - przytwierdził. - Muszę mieć czas do namysłu, jak się z nim rozprawić, żeby miał ciężką śmierć. Dopiero wtedy wezmę się do niego.

- Masz klucz od kajdan? - zapytał majora Sabin.

Marston wyciągnął bez słowa pęk kluczy, wybrał jeden i włożył w naoliwiony zameczek. Bill był wolny. Gestem olbrzymiej ulgi wyciągnął ręce nad głowę, otwierając i zginając palce. Gdy się prostował, zeszywniała od zaschłej krwi koszula wydała suchy chrzęst. Rusty dał znak Szejenom.

- Związać go! - rozkazał pokazując na majora.

Derka, szybko pocięta na paski, dostarczyła więzów. Major z rękami przyciśniętymi do boków został spętany jak mumia i przywiązany do nogi łóżka. Zakneblowano mu także usta.

- Czy nie bezpieczniej dla nas by było, gdybyśmy poderżnęli mu gardło? - zapytał Mały Jeżozwierz.

- Nie, obiecałem, że nic mu się nie stanie. A ja dotrzymuję słowa nawet łotrom - odpowiedział Rusty.

I razem z towarzyszami opuścił pokój przez okno.

X. POLOWANIE NA CZŁOWIEKA

Jakiś czas major leżał bez ruchu. Minuty dłużyły mu się w nieskończoność. Major miał przed sobą coś gorszego niż śmierć, bo hańbę. Chodziło mu po głowie, że to może halucynacja, bo przecież przeżywał niemożliwe rzeczy.

Czterej zamachowcy wydestali się przez okno i spuścili bez szmeru na dół. Usłyszał tylko jedno ciche stąpienie. Odeszli, jakby wiatr ich zdmuchnął i podniósł w dal, skąd nie mieli wrócić.

Na domiar wściekłości nie mógł się opędzić przemożnemu wrażeniu szlachetności Rusty'ego. Młody dzikus powiedział, że dotrzymuje wiary nawet łotrom.

- Ach, żeby go dostać w ręce - rozmyślał gorzko major - byłby koniec z nim i z jego parszywą wielkodusznością.

Szarpał się odruchowo, żeby rozluźnić pęta. Paski z derki owijały go bardzo ściśle. Nogi i ręce drętwiały od zatrzymanego obiegu krwi. Ale wełniana tkanina była odrobinę rozciągliwa. Prężąc się w biodrach i ramionach, czuł, że więzy z lekka ustępują.

Marudna to była robota.

Próbował wypchnąć językiem knebel. Język zaczął go boleć. Podwinął się hamując oddech. Przed jedną straszną chwilę major był pewny, że się dusi. Ale zdołał oswobodzić koniec języka i przyprzeć knebel do zębów.

Pozbawione dostępu powietrza płuca przestały pracować. Major poczuł, że twarz mu się nadyma, a oczy wyłażą z orbit. Lecz nie przestawał się wysilać. W cichym wybuchu furii powiedział sobie, że lepiej się udusić, niż czekać, aż go tu znajdą związanego jak psa.

Do końca życia byłby pod pręgierzem. Ludzie pogranicza nie zapominają takich rzeczy. Haniebna przygoda komendanta fortu stałaby się ciągłym powodem do kpin.

Ze strasznym wysiłkiem rozwarł szczęki możliwie Szeroko. Dziw, że nie pękły. Konwulsyjne pchnięcie języka wysadziło knebel.

Ale i tak nie od razu mógł odetchnąć. Miał uczucie, że mu płuca pękają, że uwięzione powietrze nigdy się z nich nie wydostanie, żeby mógł wejść świeży tlen. Nagle zaczął dyszeć, a w końcu oddychać. Z wysilonego gardła wyrwał się zdławiony krzyk:

- Ratunku! Ratunku! Ordynans! - Niech cię diabli, gdzie jesteś? -
Ratunku!

- Wywalić drzwi, durnie! - ryczał major już zupełnie normalnym głosem.

Metaliczny łomot kolb - trzask walących się drzwi niby wystrzał z działa. W jednej chwili nad majorem pochylił się rząd podnieconych twarzy.

Więzy pękły pod nożami. Ramiona żołnierzy dźwignęły komendanta na nogi.

Major jeszcze nie zdążył stanąć, a już z ust jego sypały się rozkazy.

- Zawołać trębacza! - Trąbić alarm! Niech garnizon wystąpi pod bronią. - Kilku niech pędzi do kuźni schwytać Rusty'ego Sabina żywego albo umarłego! Przeklęty biały Szejen! Łapać go! - Kto go pojmie, wygra wielki los!

Żołnierze rozbiegli się z rozkazami, jednak nie tak szybko, żeby nie zdążyć wymienić po drodze wymownych spojrzeń. W każdym garnizonie krążą żarciki, ale rzadko zdarza się ujrzeć komendanta na podłodze, związanego pasami z własnej derki we własnym pokoju. A major nie cieszył się zbytnią miłością podkomendnych.

Nim przypiął szablę i rewolwer, nim włożył kapelusz już w środkowym dziedzińcu fortu trąbki grały przeraźliwie wsiadanego. Koszary zahuczały nagłym życiem. Major wybiegł poprowadzić pościg.

Gdy Rusty z towarzyszami spuścili się na ziemię, Bill pochwycił wybawcę za ramię, szepcząc mu w ucho:

- Ano, bracie, to jesteśmy skwitowani. Odpowiedź Rusty'ego zdumiała złodzieja:

- Bracie, póki tchu w piersiach będę ci winien życie. Bill Tenney zdumiał się. W jego świecie wszystko można było kupić, często za umówioną cenę. Ale Rusty Sabin inaczej patrzył na te rzeczy. Dla niego dar był czymś nieopłacalnym, choćby się jego wartość i wagę zwróciło po wiele razy. Była to sprawa godna zastanowienia, ale teraz Bill nie miał na to czasu. Musieli uciekać co sił w nogach.

Przebiegli przez główną ulicę i za domami dostali się na tyły kuźni. Do tej chwili nikt nie zobaczył zbiegłego więźnia. Cztery

konie czekały osiodłane. W chwili gdy kładli nogi w strzemiona w nocnej ciszy dał się słyszeć ostry głos trąbki.

- W forcie alarm. Siodłają konie! - rzekł Bill Tenney.

Wykręciwszy się pogroził w mroku w stronę dźwięku.

- Ja cię osiodłam, łajdaku! - Rusty, major się oswobodził i kazał zaalarmować fort. Pogonią za nami jak wściekli. Musimy uciekać. - Czy szkapy dobre?

- Wybrane przez Indian, a oni znają się na mocnych koniach. Wyjechali z za kuźni i popuściwszy cugli, polecieli cwałem. Jeden Rusty się nie śpieszył. Musiał wyjaśnić Białemu Koniowi, że tu nie idzie o wyścig, lecz o wspólną jazdę w gromadzie. Bill oglądał się bokiem na świetlistą sylwetkę ogiera, podziwiając jego potężne długie skoki, tak lekkie, jakby rumak był uskrzydłony.

Straszna tęsknota spadła na duszę Billa, wielki ból targnął go za trzewia. Nie rozumiał, co mu jest, bo nigdy dotąd nie doznawał czegoś podobnego. Boleść rozpierała się w duszy, a jednak udręka była prawie fizyczna. Pragnął zdobyć tego konia, ale była to własność Rusty'ego, a Rusty był jego przyjacielem.

Bill Tenney nigdy dotąd nie miał prawdziwego przyjaciela. Znał mnóstwo ludzi. Kumał się z różnymi typami, hulał, grał w karty, bił się i szachrował, ale to nie byli przyjaciele. Dobierał ich sobie po to żeby się wkrótce rozstać. Zmieniał jak rękawice, szybko się zużywające na niepogodzie. Z Rustym związało go coś innego. Uratował mu życie z narażeniem własnego, a on jemu. Ale zapłata nie

skasowała rachunku. Tenney czuł, że teraz nawzajem są sobie coś winni.

Dziwnym braterstwem związał ich los.

Złodziej Bill pożądał Białego Konia. Czuł, że musi go zdobyć za wszelką cenę, ale mimo woli żałował, że piękny ogier nie należy do kogo innego.

Już byli daleko na falistych rozłogach prerii i Bill Tenney zawołał:

- Nie mamy co tak drałować, Sabin. Teraz już nas nie znajdą.

- A psy! - odkrzyknął Rusty. - Mają psy gończe. Więc gnali dalej, nie zwalniając.

Nagle od strony osiedla doleciała wrzawa psich głosów od najgrubszych do najcieńszych, zmieszana jak pieśń wielu dzwonów. Szejenowie natychmiast przyśpieszyli biegu. Rusty podjechał do Billa.

- Szczęście nam nie sprzyja - rzekł. - Myślałem, że nim majora znajdą, upłynie dobra godzina. Nawet mogło się zdarzyć, żeby przeleżał do rana. A tak mogą nas schwytać.

- Jak to? Mój koń sady, że ha! A ciebie, wiadomo, diabeł nie doścignie! Masz pod sobą żywą błyskawicę - Jestem z tobą - odparł Rusty. - Jeżeli ciebie złapią, to i mnie także.

Złodziej zamrugał, aż mu gwiazdy zatańczyły w oczach cienkimi smużkami światła. Nie rozumiał. Po co człowiekowi rączy koń, jeżeli fanatyczną lojalność przełoży nad ucieczką?

Ale ostatecznie słowa to nie czyny. Prawda okaże się dopiero, jeżeli pościg z fortu przybliży się na niebezpieczną odległość i

indiańskie konie zaczną ustawać, a Biały Koń będzie szedł wciąż jednakowo.

Billowi zrobiło się paskudnie nieswojo. Zaczynał, rozumieć, że dotąd żył pustym życiem, poza nawiasem wielkich wzruszeń.

XI. ZWYCIĘSTWO

Jechali całą noc.

Natrafili na rozległy labirynt wyrw, powymywanych, w równinie przez deszcze. Gdyby nie psy, oko ludzkie nie wytropiłoby ich wśród tych wertepów. Cóż kiedy bezustannie słyszeli za sobą granie psów gończych, to przycichające w straszny poszept, to wzmagające się z podmuchami wiatru.

Rusty znał dobrze całą sforę.

Na przedzie sadziły zawsze ogary i kundle. Charty grały role dalekonośnych pocisków. Było nadto sporo mieszańców Charta z brytanem, potężnych smoków, nadających się do walki z niedźwiedziami, a tak dzikich, że rozszarpały ludzi. Zręczni trenerzy tresowali je stale w forcie. Ta sfora pomagała majorowi w walkach z Indianami. Żadne tropy psom nie uszły. Zdarzało się, że major gonił oddziały indiańskie bardzo daleko i niespodziewanie napadał wtedy gdy wojownicy czuli się już bezpieczni.

Szary świt zajaśniał nad równiną. Szejenowie zwrócili do Rusty'ego zatroskane twarze.

- Biały naczelnik wojenny ma moc ludzi, ojciec - rzekli, - Każdy wojownik prowadzi luzaka. Serce białego naczelnika wre gniewem. Biali wojownicy, nagleni jego głosem, lecą jak orły po niebie. Za

wolno jedziemy. Czy Wielki Manitou doda nam sił, czy zamieni nas w chmury?

W pytaniu tym nie było cienia ironii. Szejenowie widywali Rusty'ego w tylu nadzwyczajnych okolicznościach, iż wierzyli weń ślepo.

Sabin poruszył nieokreślenie ręką. Niepokój ścisnął go za serce. - Zamienić ich w chmury? Biały Koń mógł w każdej chwili zniknąć bezpiecznie za widnokretem, ale z końmi Indian była inna sprawa.

Wydostali się spomiędzy wertepów i przed nimi, jak okiem sięgnąć, słała się gładka preria. W świetle poranka wyszedł na jaw stan koni. Zmordowane do ostateczności, szły ze spuszczoneymi łbami, grzbiety im się wyginały w kabłąk, brzuchy zapadały. Wszystko to wskazywało na ciężkie wyczerpanie. Ślepie, zawsze pełne dzikiego ognia, zachodziły mgłą.

Dotarli do niewielkiej rzeczki i Rusty nakazał postój celem napojenia koni. Nie za długo, żeby się zanadto nie opili, lecz żeby zdążyć rozluźnić popręgi, bo to mogło im dodać sił.

Gdy znów wsiadali, dalekie granie psów stało się wyraźniejsze. Wrzawa niosła się zielonymi falami prerii coraz bliżej i bliżej. Konie kłusowały trochę różniej, ale cóż to mogło znaczyć?

Rusty ściągnął cugle.

- Mamy tylko jeden ratunek - rzekł. - Dwaj muszą stawić czoło pogoni, dwaj mogą uciekać - Szary Niedźwiedź i Mały Jeżozwierz niech jadą w prawo. Ja z moim białym bratem ciągniemy w lewo.

Jeżeli zginę, przystańcie do Stojącego Byka, mego największego przyjaciela. - Zegnajcie! Pośpiech, bracia!

Rozdzielili się i już o bitwie nie mogło być mowy. Czterech zbrojni mogą walczyć z przeważającymi siłami. Dwaj są zgubieni.

Ale przed rozstaniem popatrzyli sobie w oczy, jakby się chcieli przejrzeć na przestrzał. Ogromni Szejenowie ujęli po kolei Billa Tenney'a za rękę, po czym Szary Niedźwiedź skłonił głowę przed Rusty'm.

- Módl się za nami, ojczy! - rzekł. Rusty wznosił do nieba oczy i rękę.

- Widzisz nas, Wielki Manitou! - zawołał. - Uczyń z nami, co wola Twoja.

I rozjechali się.

Indianie zniknęli niebawem w zielonej, falistej dali. Ujadanie psów stawało się coraz głośniejsze.

- Czy za Indianami gonią, czy za nami? - zapytał trwożnie Bill Tenney.

Nie przestając nasłuchiwać Rusty potrząsnął głową.

- Za nami - odpowiedział.

- Niech ich diabli! - jęknął złodziej. - A ja na tym nędznym koniu... Niech go ciężka cholera!

Zaczął okładać mustanga, ale konisko nie mogło się zdobyć na galop. Potknęło się ciężko, szło chwilę stępa, wreszcie wysiliło się na powolnego klusa. Robiło przy tym straszliwie bokami i na próżno rozdymało nozdrza, nie mogąc złapać dość powietrza.

- Przepadliśmy, bracie - rzekł spokojnie Rusty wstrzymując swego rumaka.

Bill Tenney wpatrywał się w niego nieprzytomnie całą minutę.

I on osadził swoją chabetę i zeskoczył. Szarpnięcie za cugle i pchnięcie w łopatkę, i mustang położył się na trawie.

- Drogo mi zapłacą za życie! - wrzasnął Bill.

I potrząsnął pięścią w kierunku zbliżającej się wrzawy.

- Zapłacą dranie krwią za krew! - wrzeszczał złodziej, Bill Tenney.

Rusty ześlizgnął się z ogiera. Obejmując go za szyję, drugą ręką głaskał z roztargnieniem szlachetny łeb.

- Dziś jest mój dzień, bracie - rzekł. - Twój był wówczas, gdy rzeka chciała mnie pochłonąć razem z koniem. Wyratowałeś go, niech on teraz ciebie ratuje. Weź go, przyjacielu!

Powiedział to z uśmiechem. Bill, choć bacznie mu się przyglądał, nie dostrzegł w jego twarzy ani cienia goryczy.

- Puste, gadanie, bracie - odpowiedział Bill i zaczął oddychać jak człowiek, który zrobił biegiem szmat drogi. - Drwisz sobie ze mnie. Zresztą jakże ja bym mógł zabrać ci konia i drapnąć? Jakże ja bym...?

Tu wspaniała uroda konia z taką mocą uderzyła w jego oczy i duszę, że umilkł.

- Kiedyś Manitou okaże mi znów łaskę - odezwał się Rusty i pozwoli spotkać się z tobą i z koniem. Wtedy mi go zwrócisz. - Teraz go weź. Spiesz się, bo są już blisko. Muszę powiedzieć Białemu Koniowi, żeś moim przyjacielem, bo inaczej nie wsiądziesz.

Coraz wyraźniejsze ujadanie psów odbierało Billowi przytomność umysłu. Zdawało mu się, iż widzi ognisko, otoczone kołem twarzy i słyszy gruby głos opowiadającego:

I ten pies - ten Tenney - łap! ofiarowanego konia i w galop, zostawiając Rusty'ego samego na pastwę żołądactwu. Na pewno go tam zakatrupili!

- Prędko! - naglił Rusty.

W tej chwili zza grzbietu zielonej fali prerii ukazały się gęsiego psy, idące już resztkami sił, a za nimi głowy i ramiona jeźdźców. Niebawem szlakiem galopowało trzydziestu kawalerzystów.

- Na Boga! wezmą mnie! - jęknął Tenney i pośpiesznie wdrapał się na siodło.

Ogier przysiadł, sprężył się i Bill już - już - miał wylecieć w powietrze. Choć był tęgim jeźdźcem, zrozumiał, że na grzbiecie tego wściekłego smoka nie usiedzi jednej minuty. Rusty szepnął parę słów i koń stanął spokojnie. Ale odwrócił łeb, i spojrzał na Tenney'a złymi ślepiami. Różowe chrapy rozdymały się lekko. Rusty położył rękę przyjaciela na pysku konia.

- Bądź dla niego taki, jak dla mnie - powiedział.

Przemawiał do konia jak dziecko, które jeszcze wierzy, że zwierzęta mają ludzki rozum.

Żołnierze, zobaczywszy zwierzynę, którą tak długo tropili, zakrzyczeli głośno, lecz słów nie można było jeszcze rozróżnić.

- Obchodź się z nim łagodnie - mówił Rusty. - Przemawiaj często do niego. Będzie ci służył, będzie cię nosił. Ruszaj, bracie!

Podniósł rękę. Bill Tenney pochwycił ją skwapliwie.

- Źle robię - rzekł. - Nie powinienem cię zostawiać. Jestem pies.
- Ale - na Boga! Co by ze mną zrobili, gdybym się drugi raz dostał w ich ręce? - Rusty - żegnaj! - Zostań z Bogiem. - Niech Bóg ma cię w swojej opiece!

Wykręcił konia. Ogier postąpił kilka kroków i stanął, oglądając się na swego pana. Ale ochoczy okrzyk Sabina przynaglił go do biegu. Tempo zrazu wolne rosło w oczach. Biały Koń sadził olbrzymimi skokami w chmurze kawałków murawy, wzbijających się spod kopyt na podobieństwo spłoszonych ptaków.

Rusty patrzył za ulubieńcem.

Biała smuga malała szybko, aż znikła w falującej prerii.

Z przeciwległej strony leciał na Sabina tętent licznych kopyt. Przed jeźdźcami sadziła ujadająca sfora. Rusty spojrzął na mustanga, który leżał na trawie jak nieżywy. Bill Tenney zamierzał użyć swego konia na żywy szaniec, zapominając, że nieprzyjaciel mógłby go z łatwością otoczyć i wziąć od tyłu.

Rusty nie myślał się bronić. Nie umiał strzelać. Nie nauczył się tej sztuki. Indianie nie są dobrym materiałem na strzelców, jakkolwiek między Szejenami bywało zawsze sporo wojowników, którzy strzelali wcale nieźle. Więc Rusty patrzył na zbliżającego się nieprzyjaciela, stojąc spokojnie w miejscu. Rozróżnił na czele oddziału sylwetkę majora Marstona.

Daleko na tyłach nieprzyjaciela ukazało się więcej koni. Były to niewątpliwie luzaki, na które major przesadziłby, swoich ludzi, gdyby nie zgonili zbiega w jednym marszu.

Ale jak teraz postąpi? Białego Konia nie mógłby doścignąć żadnym cudem. Szejenowie byli już zbyt daleko, aby ich gonić. Z czterech przestępców na pastwę gniewu majora został tylko jeden.

Psy dopadły Rusty'ego ze wściekłym ujadaniem. Major krzyknął, podniósł rękę i sfera rozbiegła się płochliwie na dwie strony. Rusty zobaczył nad sobą konia, a na nim groźną postać białego naczelnika. Major ściągając zdenerwowanego, zmęczonego wierzchowca, wpił w spokojną twarz jeńca wściekłe oczy.

Nadjeżdżali żołnierze. Młody porucznik zawołał:

- Czy gonimy dalej, panie komendancie?

- Co mamy gonić? - warknął Marston. - Wiatr w polu? - Nie bądź głupi, Wells!

Porucznik Wells wyteżył wzrok za bardzo dalekim białym punktem, rozplywającym się wśród prerii. Nie odpowiedział, gdyż sam rozumiał że pościg za Białym Koniem byłby równie bezskuteczny jak polowanie na ptaki niebieskie z gołymi rękoma.

- Nie potrafiłeś zatrzymać swego konia, niedołego? - rzekł major do Rusty'ego. - Pozwoliłeś go sobie odebrać? Który ci go zabrał? Ten, którego wyratowałeś z fortu?

Tu wtrącił się sierżant:

- Panie komendancie, oni się nie bili. Widziałem z daleka, jak to było. Dobrowolnie oddał konia Tenney'owi. Widziałem na własne

oczy. Trzymał konia, jak tamten wsiadał. W życiu nie słyszałem o takim zdarzeniu!

- Milczeć! - rozkazał gniewnie major.

Lepiej by było - o! daleko lepiej dla majora - gdyby między ludźmi poszła wieść, że Rusty dał sobie odebrać konia siłą. Fakt, iż biały Indianin dobrowolnie odstąpił sławnego ogiera, musiała go przybrać w oczach Maisry w jeszcze większą chwałę.

Ba! w oczach wszystkich mieszkańców Fortu Marstona. Dlatego major chętnie by w tej chwili zabił Rusty'ego wzrokiem.

Nie wiedział jeszcze, co zrobi. Rozumie się, miał legalne drogi ukarania łotra, ale wolałby zastosować jakąś własną, prywatną metodę. Kusilo go zdzielić nienawistnego młodzieńca od razu batem przez twarz na zadatek. Z rozkoszą smagałby go przez całą drogę do fortu.

Jednak powstrzymał się, a nawet zdobył na uśmiech. Kazał, żeby jeńcowi podano konia i żeby dwaj kawalerzyści wzięli go między siebie.

XII. OSZUSTWO

Marsz powrotny do fortu odbył się w bardzo wolnym tempie. Przez całą drogę major rozmyślał gorączkowo. Maisry...

Zadurzył się w niej na amen. Sam dźwięk jej imienia burzył w nim krew. Widział w niej wcielenie prostoty, łagodności i piękności. Rzecz by można, cała jego zła natura pożądała jej jako swego przeciwnictwa.

Miał teraz rywala w rękę, cóż... gdyby wywarł na nim swoją furję, Maisry nigdy by mu tego nie przebaczyła, choć by się nie wiem jak osłaniał majestatem sprawiedliwości.

Usłyszał za sobą, jak jeden z żołnierzy powiedział do Rusty'ego.

- Pięknie postąpiłeś, Sabin. Bzik jesteś, ale serce masz szlachetne.

Na pograniczu wszyscy powiedzieliby to samo. Rusty'emu groziło długoletnie więzienie za włamanie do gmachu rządowego, za napaść na oficera Stanów Zjednoczonych, wreszcie za uwolnienie więźnia z fortu. Każde z tych przestępstw wystarczyłoby, żeby dostał długie więzienie. Wszystkie trzy razem mogły go rzucić za kraty i rygle bez mała na całe życie.

Ale wtedy Maisry nie chciałyby patrzeć na majora. Trzeba więc było szukać innego wyjścia. Major głowił się nad trudnym zagadnieniem całą siłą sprawnej mózgowicy. Był pewny, że uda mu się pokierować sprawą w taki sposób, aby wyszedł na dobrodzieja młodego człowieka. Wtedy zyskałby w oczach panny i byłby to już wielki krok naprzód.

Myśl Marstona długo błędziła we mgle nieokreślonych zamierzeń, ale w miarę zbliżania się do fortu plan nabierał wyraźnych zarysów.

Pod wieczór zza widnokregu wynurzyły się ciężkie mury fortu. Widok ten robił stale na majorze silne wrażenie. Zdawało mu się zawsze, że słyszy grzmiący głos, wołający na wszystkie cztery strony

świata: „Marston! Marston!” I to „Marston” brzmiało w jego uszach jak „sława”, „potęga” i „nieśmiertelność”.

Spodziewał się i wierzył, że Fort Marstona rozrośnie się kiedyś w wielkie miasto, łączące się ze światem siecią kolei żelaznych, że ciche osiedle zakwitnie bogactwem, zahuczy wielkomijskim hałasem, buchnie dymami, okryje się sadzą. Ludzie zaroją się tysiącami naokoło Fortu Marstona i nazwisko założyciela miasta okryje się wieczną sławą.

Choć był pogrążony w najcięższych myślach, zawsze z uśmiechem na ustach przypatrywał się wyłaniającym się z mgieł oddalenia groźnym zarysom fortu.

Pchnął przodem ludzi na świeżych koniach. Do Lesterów posłał oddzielnego gońca z wieścią, że Rusty Sabin jest „bezpieczny w rękach majora Marstona”. Jeżeli Maisry umie rozumować - a z pewnością umie - to pojmie w lot, że poselstwo jest od przyjaciela, że ten przyjaciel chce osłonić jej ukochanego przed sprawiedliwością.

Dalsza intryga będzie powikłana i szalenie trudna do przeprowadzenia, ale - od czego głowa na karku?

Pierwsze trudności nastąpiły przy wjeździe do miasta, gdyż, jak się należało spodziewać, ludność, uprzedzona o powrocie ekspedycji przez czołowych jeźdźców, wyległa hurmem na ulicę. Wiedziano już, co się stało i wszyscy byli ciekawi zobaczyć bohatera dnia. Na cześć wojska nikt nie wznosił wiwatów. Entuzjazm tłumu skupił się na osobie Rusty'ego Sabina.

- Dzielny chłopiec - skrzeczała stara babina, która wysunęła się z cizby i chwilę biegła obok konia Rusty'ego. - Pięknieś się spisał! Junak jesteś nad junaki! Inni powinni się uczyć od ciebie honoru i bohaterstwa! Obyś był wielki i potężny, Rusty Sabinie.

Wszyscy, którzy to usłyszeli, wznosili okrzyki tudzież wiwaty na cześć młodego Sabina.

Major, choć w duchu klął, wysiłał się na uśmiech. Był blady ze złości, ale ten uśmiech, zaiste kamienny, nie schodził mu z ust. Jakże nienawidził tych ludzi, tej hołoty.

Zobaczył Lesterów z daleka - przed barakiem. Ojciec i córka stali przy sobie, matka trochę z boku. Major wiedział, że stara Marta bardzo by się radowała, gdyby Rusty został skazany na dożywotnie więzienie. Wszystko, byle nie dopuścić do małżeństwa córki z na pół dzikim człowiekiem! Ale po twarzach Ryszarda Lestera i Maisry major poznał, że ci dwoje bardzo boją się nad Rustym.

Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, on major, pojmie kiedyś Maisry za żonę. I wtedy ta śliczna będzie z taką bolesną twarzą wyczekiwała jego powrotów. Major czuł, że dobre kobiety zawsze kochają tych, których powinny kochać. Byle przymusić do małżeństwa, reszta pójdzie jak z płatka. A taka Maisry nie wyparłaby się męża, tak samo, jakby się nie wyparła Boga!

Takie myśli zaprzętały głowę majora Marstona, gdy, przybywszy z więźniem do fortu, kazał go zaprowadzić na odwach. Jakże chętnie powiesiłby go za te skute w kajdany ręce wysoko na murze fortu!

Mimo to powiedział łagodnie:

- Muszę się stosować do przepisów prawnych, bo tak mi nakazuje obowiązek, ale mam względem ciebie jak najlepsze zamiary, mój chłopcze. Zdziwisz się, gdy się dowiesz, co cię czeka.

W chwilę po tej rozmowie, major poszedł prosto do Lesterów, niby gołąb, wracający do gołębnika. Maisry stała w kącie cicha i nieruchoma. Zwróciła ku gościowi bladą buzią, ale nie mogła wymówić słowa. Ryszard Lester siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Tylko Marta była w dobrym humorze. Ona też zabrała głos:

- Dobre czasy nastaną w mieście, kiedy major wzięł się do robienia porządków! - zawołała. - Raz skończy się z dzikimi! Porządni ludzie przestaną się lękać o życie i mienie.

Ale major ruszył prosto do panny.

- Chciałbym pomówić z tobą w cztery oczy (już jej mówił po imieniu), Maisry. Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Zaprowadziła go do spiżarni. Czego tu nie było! Na podłodze leżały wory mąki, z niskiego sufitu zwieszały się szynki i polędwice, po kątach stały baryłki oraz skrzynka z suszonym mięsem i owocami, Lesterowie bowiem skupowali żywność w tanim sezonie, żeby mieć zapasy na następną zimę. Maisry siadła na jednej skrzynce, major na drugiej tuż przy niej.

Major zaczął w następujące słowa: - Sprawa jest poniekąd poważna i zarazem godna śmiechu. Przynajmniej zaznaczę, że w powrotnym marszu ogromnie polubiłem Rusty'ego.

- Major go polubił? - szepnęła Maisry, podnosząc na obłudnika piękne oczy, przyćmione w tej chwili niedowierzaniem.

- Najadł się strachu, gdyśmy go osaczyli - ciągnął major. - Myślał, że go zjemy, czy co u licha! Ale w drodze powrotnej do fortu dużo z nim rozmawiałem... To prosta dusza, nieszkodliwa. Polubiłem go tak dalece, że postanowiłem poratować go w tarapatach. I powiedziałem mu to. Jak myślisz, o co mnie prosił?

Maisry potrząsnęła głową. Gadanina majora o przyjaznych uczuciach względem Rusty'ego działała na nią oszałamiająco.

- Wiesz, że to człowiek przesądny - śmiał się major, dotykając lekko wąsów, jakby się chciał upewnić, czy są na miejscu. - Teraz mu się wydaje, że doznał tylu niepowodzeń - stracił Białego Konia i dostał się do więzienia dlatego tylko, że oddał swoje szczęście. Wiesz, gdzie je ulokował? W tym zielonym żuku, którego ci podarował!

Major znów się roześmiał. Maisry drgnęła. Wyciągnęła żuka zza bluzki i jęła obracać go w palcach z niepokojem.

- Prosi, żebyś mu go zwróciła - dorzucił zdawkowo major.

- To niemożliwe! - wykrzyknęła. - On by tego nie zrobił. Major był u nas jak Rusty dawał mi ten amulet. Major słyszał, jak mówił, że jeżeli mu kiedy odeślę to cacko, to będzie znak, iż chcę z nim zerwać.

- Prawda. Pamiętam doskonale - odparł Marston. - Ciekaw jestem, czy jemu o to chodzi? Nie przyszło mi to na myśl. Czyżby chciał się od ciebie uwolnić?

Maisry zbladła.

- Uwolnić - ode mnie?

Odwróciła głowę. Major tymczasem mówił z łagodnym współczuciem.

- Nie wiem. Ale przypuszczam, że odezwała się w nim tęsknota za dzikim życiem. Czerwonoskórym w miastach za ciasno. On nie czerwonoskóry, ale duchowo - Indianin.

Maisry siedziała na skrzynce nieruchomo. Usta miała szare.

- No, i pewnie uważa, że ten zielony żuk przynosi mu szczęście - ciągnął major. - Indianie noszą woreczki z amuletami. Wierzą, że dusze ich są zaszyte wewnątrz. I...

- Dosyć! - szepnęła Maisry.

Zdjęła z szyi zielonego żuka i chciała oddać majorowi, ale zawahała się i obiema rękami przycisnęła amulet do piersi.

- Jeżeli prosił o to, to znak, że nie chce mnie więcej widzieć - rzekła ze smutkiem. - Albo - też obawia się dożywotniego więzienia...

- To nie. Obiecałem mu, że ostatecznie wezmę prawo w swoje ręce i wypuszczę go.

- Major - go wypuści? - zapytała zdumiona dziewczyna.

- Muszę, no, po prostu muszę go wypuścić. Powiem ci jeszcze, że nie mogę patrzeć na twój ból. Przeciągając obok waszego domu z Sabinem, zobaczyłem wszystkich przed drzwiami. Twoja bladość ścisnęła mnie za serce. Zrozumiałem, że będę go musiał uwolnić.

- Ach! jaki major dobry, jaki szlachetny! Jaki zacny! - Więc jeżeli mu odeślę żuka, to on tu do mnie przyjdzie?

- Naturalnie, jeżeli będzie chciał, bo zaraz każę go wypuścić. Nagłym ruchem wsunęła majorowi w dłoń zielonego żuka.

- Mam uczucie, że rozstaję się z życiem - rzekła z wymuszonym uśmiechem. - Niech mu to major natychmiast odda i powie, że go kocham i że czekam na niego, - Czy major zrobi mi tę łaskę?

Major wstał. W jego nikczemnym sercu nie powstało najmniejsze współczucie.

I ścisnął w palcach żuka z taką złością, jakby to było serce Rusty'ego Sabina.

XIII. SAMOTNE SERCE

Wracając do siebie major wstąpił na odwach, wziął więźnia za ramię i zaprowadził bez eskorty do swojego pokoju, tego samego, w którym wczoraj leżał związany i zakneblowany. Tu zdjął mu kajdany z rąk i odstąpił o krok zobaczyć jakie to zrobiło wrażenie.

Rusty spojrzał oszołomiony na swoje ręce, a potem na twarz majora w oczekiwaniu na wyjaśnienie. Marston wziął w rękę długi nóż, który odebrano Sabinowi. Mocno zacisnął palce na rękojeści. Kusiło go by wbić długie, stalowe ostrze w serce znienawidzonego młodzieńca. Jednak oddał mu broń z uśmiechem. Odczuwał głębokie, cierpkie zadowolenie, że tak potrafi panować nad nienawiścią, i patrzeć w oczy wrogowi z mistrzowsko udaną serdecznością. Ktoś postronny powiedziałaby, że to przyjaciele.

Rusty odebrał nóż uroczyście, jakby to była honorowa szpada. Czekał z wzrastającym zdziwieniem.

- Jesteś wolny - oznajmił Marston. - Właściwie chciałem cię puścić od razu na prerię. Prawo nakazuje mi cię ukarać. Ale skoro człowiek poświęci się dla przyjaciela tak jak ty to uczynił, nakaz

prawa musi ustąpić przed nakazem sumienia. Zdecydowałem się. Jesteś wolny.

Rusty był zdumiony.

Nie chciało mu się wierzyć, że to prawda. Nieraz widywał w twarzy majora przebłyski złej duszy, lecz sam był z natury taki prosty, taki szczery, łatwo ufał innym. Toteż niedługo głowił się nad zmianą w majorze.

Cóż odpowiem? - rzekł z prostotą. - Obszedłem się? tobą bez

litości, a teraz ty mi się oświadczasz z przyjaźnią! - Nabrał tchu. - Dobry czyn może przygnieść serce ciężarem. Serce mnie boli, bo nie wiedziałem, że jesteś taki dobry.

Major nie roześmiał się głośno, ale w duszy radował się, że tak gładko oszukał prostaka.

- Muszę grać podwójną rolę - odpowiedział. - Piastuję tu najwyższą władzę wojskową i sądową, mimo to staram się być człowiekiem. Dlatego zwracam ci wolność. Rozumie się, skoro opuścisz fort - nie ma mowy, żebyś mógł się pokazać w mieście.

- Prawda - zgodził się z namysłem Rusty. - W takim razie muszę pożegnać Maisry listownie...

Marston potrząsnął głową.

- Mam od niej złą nowinę - odpowiedział. - Na Boga, żal mi cię, mój biedny chłopcze!

- Zła nowina? - Od Maisry? - z niedowierzaniem zawołał Rusty.

Major ujął go pod rękę i, przechadzając się z nim wolno po pokoju, mówił:

- Wiesz, jakie są dziewczęta, przyjacielu. Jak łatwo się zmieniają.

- Co rok! - wykrzyknął Rusty, przypominając sobie słowa ojca. - Młoda dziewczyna jest co rok inna...

- Kto by pomyślał, że ta kuźnia narobi tyle złego! - zauważył major z szerokim gestem.

- Więc to ją zniechęciło? - pytał Rusty, bo jeszcze nie rozumiał.

- A jednak czy może być uczciwszy zawód? - dogadywał Marston.

- Dym, brudy i sadza.

- To swoją drogą. Nierozsądnie robiłeś, że pokazywałeś się jej z umorusaną twarzą i brudnymi rękami.

- Czyste serce więcej znaczy niż czyste ręce.

- Hm! białe dziewczęta są dumne. Lubią, żeby ich wybrańcy wyróżniali się wśród innych mężczyzn.

- Ach, tak - tak - mrucał Rusty.

Przy tych słowach spojrział na świetny mundur majora z epoletami i pięknym, obcisłym kołnierzem. Major był przystojny, odznaczał się nadto wysokim wzrostem i siłą. Opowiadano, że raz jednym cięciem szabli rozplątał Komanczowi głowę po samą szyję.

- Tak - dodał Rusty. - Tak jak ty - naczelniku - wojenny naczelniku! Ale nim opuścę osadę, pojedę do Maisry. Może gdy stanę przed nią - i dotknę jej ręki ręką, a oczu oczami...

- Jakże mi cię żal - powiedział serdecznie major. - Właśnie ją o to błagałem. Uprzedziłem ją, że cię wypuszczę na wolność, a ona na to z krzykiem: „Nie chcę go więcej widzieć!”

Rusty szarpnął głową w tył.

- Tak powiedziała?

Wyrwał ramię majorowi i stanął sztywno jak słup. W jednej chwili twarz jego powlokła maska martwoty, tylko usta drgały nikłym skurczem. Z taką twarzą znosi tortury dziki Indianin, osaczony przez nieprzyjaciół. Na ten widok okrutna radość przejęła serce Marstona.

- Jakże mi cię żal! - powtórzył. - Nie chciałem ci tego mówić. Błagałem Maisry, żeby ci pozwoliła przyjść. Przekładałem, że jesteś nieobeznany ze zwyczajami białych, że może mógłbyś się wykierować na coś lepszego...

- Tak - rzekł z godnością Rusty i wolnym ruchem ręki pokazał za okno.

Jak za czarodziejskim zaklęciem major ujrzał okiem wyobraźni szeroką prerię, nakrytą niezmierną kopułą nieba. Ujrzał Indian na wojennej ścieżce, jadących gęsiego, z kolanami podkurczonymi z powodu krótkich strzemion. Na czole zaś młodego naczelnika i czarownika, Czerwonego Sokoła - Rusty Sabina.

Tak, Rusty, gdyby zechciał, mógł być czymś więcej niż kowalem.

- Skłonności dziewczyny są jak wiatr - ciągnął Marston. - Maisry wykręciła się jak wiatr. Wiała ku tobie, a teraz wieje od ciebie,

i to tak ostro, że nawet nie chce się z tobą widzieć. Bill Tennev także tu coś zawinił.

- Jako mój przyjaciel?

- Widzisz, to jest kawał nicponia. Złodziej. To, zdaje się, zniechęciło ją do ciebie.

- Rozumiem.

- Wobec tego - mówił dalej major - prosiła mnie, żebym ci coś zwrócił. Powiedziała, że zrozumiesz i nie będziesz się dziwił, że nie chce cię widzieć...

Tu major urwał i spuścił oczy. Ogarnął go niepokój. Może każdy kłamca ma taką chwilę przestrogi wewnętrznej. Ale natychmiast się opanował, wstrząsnął czupryną, zmarszczył brew i wyjąwszy misternie spleciony łańcuszek z końskiego włosia z wiszącym na nim żukiem, podał Rusty'emu.

Ten wciąż się uśmiechał kątami ust, ale twarz stała się szara z bóleści. Wziął amulet, przełożył łańcuszek przez głowę, żuka zaś wpuścił za koszulę.

- Skończone - rzekł. - Więcej jej nie zobaczę. Tobie, przyjacielu, składam dzięki. Przyjmij moją rękę na znak przyjaźni.

Majorowi przywidział się proroczo mętny obraz przyszłych zdarzeń. Ujrzał kamienną twarz Białego Indianina, zapaloną gniewem, ujrzał siebie w śmiertelnej z nim walce. Ale widzenie znikło. Potrząsnął za wyciągniętą rękę.

Rusty opuścił pokój tą samą drogą co z Billem i Szejenami. Major, pogrążony w radosnym rozpamiętywaniu swego triumfu, został sam.

Radość rozpierała mu serce. Wiedział, że uwolnieniem więźnia zjedna sobie wielką popularność, a przede wszystkim umocni swoje stanowisko w domu Lesterów.

Natomiast Rusty opuszczał pospiesznie osadę, gdyż kusilo go, by pędzić do domu Lesterów, paść na kolana przed Maisry i błagać, żeby go nadal kochała.

Dlatego pędził jak oszalały, niby rączy cień, zostawiając Fort Marstona za sobą. Gdy się obejrzał, światła osady już skupiły się w jedno świetliste oko. Więc przystanął i długo stał z rękami założonymi na piersiach i patrzył, patrzył, aż łzy zaćmiły mu oczy i nikłe promienie światła rozprysły się w wielobarwną tęczę.

Nabił fajkę i zapalił.

Padłszy na kolana, wydmuchnął cztery obrzędowe kłęby dymu w cztery strony świata, następnie jeden w ziemię na cześć Podziemnemu Ludowi i jeden w niebo na chwałę Wielkiemu Duchowi, pod którego tanecznymi stopami gwiazdy drżą na sklepionych rozłogach nieba. Na koniec wznosił ręce do góry i wołał wielkim głosem, gdyż ból serca przechodził w słowa:

- Wielki Manitou, byłem ci kiedyś drogi i miły. Ale porzuciłem mój lud i odszedłem daleko od ciebie między białych. Jednak za twoją sprawą serce moje rwało się ciągle do wigwamów szejeńskich. Podczas gdy spoczywałem pod dachem białych, duch mój stąpał

między wigwamami, zaglądał do wnętrza, czerwonych od ognia i wdychał smakowitą woń mięsa bawolego. Psy przychodziły i lizały mnie po rękach. Dzieci okręzały mnie wśród wrzawy. Wojownicy, stojąc blisko, witali mnie uśmiechami. Mimo to nie wracałem, aż zesłałeś na mnie swój gniew. Dusza mej matki mieszkała w zielonym kamieniu razem z moją duszą. Nie zważając na to oddałem go w obce ręce, aż spuściłeś na mnie swój gniew.

Odjąłeś mi Białego Konia. Już on na mnie nie czeka, nie rzy, nie bije nogą na znak radości. Nie ma go, a ja jestem sam.

Obróciłeś przeciwko mnie serce mojej dziewczyny. Sprawiliś, że mną wzgardziła, że nabrała do mnie odrazy. I ojca mi zabrałeś, że odszedł w daleką, ciemną noc.

I teraz jestem sam.

Byłem tak szczęśliwy, że śmiech stał się moim żywiołem. Teraz, pozbawiony wszelkiego szczęścia” wracam do ciebie. Boję się ciebie, Manitou, dlatego wracam, wyciągając ręce o ratunek. Bądź dla mnie łaskawy. Otwórz moją pierś i wyjmij z serca żal i smutek. Tchnij w moje nozdrza wiosenny powiew szczęścia.

Porzucę moich białych braci na zawsze - na zawsze. Wyrzeknę się ich, wyprę się, wyrzucę ich z moich myśli. Byli dla mnie obłudni, okłamywali mnie. Gardzili, mną, boś mi odjął siłę. Podźwignij mnie Manitou, a ludzie uczczą cię, żeś potężny. Dokonam wielkich rzeczy. Poprowadzę wojowników na wojenną ścieżkę i każę śpiewać twoje imię całą noc.

Białych zapominam. Od białych się odwracam. Światła ich gasną i zostają za mną. Znajdę sobie żonę wśród Szejenów. Pojmę Indiankę. Wielki Duchu, naucz mnie być dobrym Szejenem i daj zapomnieć o ojcu i matce. Plemię będzie mi matką, ty zaś ojcem. Wysłuchaj mnie. Otwórz moją pierś i poraż mnie szybką śmiercią, albo ulecz z bólu.

Skończył i podążył przez prerię równym, dość prędkim krokiem.

Był wielkim czarownikiem. Wiedział o tym, gdyż w przeszłości dokonał wielu niezwykłych rzeczy. W Świętej Dolinie widział Wielkiego Ducha w postaci olbrzymiej sowy. To samo dowodziło, że jest potężnym duchem. Losy podarowały mu najpiękniejszą dziewczynę i najwspanialszego konia. Ale teraz pozostała mu tylko niedola i zwątpienie. Manitou, do którego się modlił, nie chciał mu otworzyć piersi, żeby wyjąć boleść i żal.

Chwilami piekło go pod powiekami. Może pobyt wśród białych przesycił słabością całą jego duszę. Może, gdy wróci między Szejenów, ci odkryją jego zniewieściałość i wzgardzą nim tak jak już raz przed laty, gdy nie zdobył się na dość odwagi, żeby znieść torturę wtajemniczenia.

Pod wpływem zwątpienia zwolnił i zaczął iść leniwym krokiem. Znajdował się wśród pustki ogromnej jak jego rozpacz, bezgranicznej jak jego samotność.

XIV. CZATUJĄCE WILKI

Gnając przez prerię na wiatronogim rumaku, Bill Tenney czuł, że radość ustępuje jakoś z jego serca. Sztywna od krwi koszula tarła

go po plecach, co okropnie bolało. Nie było innej rady jak zatrzymać konia.

Przyszło mu to z trudnością. Co pociągnął za cugle, koń zrywał łeb i przyśpieszał biegu. Lekkie sprężenie grzbietu dawało poznać, że ogier zamierza zrzucić jeźdźca. Tenney zląkł się, że smok wyrzuci go z siodła i ucieknie na wolność.

Przestał szarpać za cugle, natomiast przemówił łagodnym głosem. To poskutkowało. Biały Koń zdał się powoli na wolę jeźdźca i od tej chwili zwalniał za najłżejszym strząśnięciem cugli.

Bojąc się zsiąść Bill ściągnął ostrożnie straszną koszulę z obolałego ciała, zwinął i przytroczył do siodła. Teraz jechało mu się daleko wygodniej. Nawet chwilami zapominał o bólu.

Ale z ustaniem tortury fizycznej zaczęła się moralna. Ratując siebie oddał przyjaciela w ręce żołdactwu. Co prawda na długo przedtem nosił się z myślą o zdradzie. Łotrowskie życie nauczyło Billa grabić wszystko, co się dało, bez najmniejszych skrupułów. Ale zawsze dochodził swego chytryością lub odwagą. Tym razem otrzymał w darze.

Zaczął strofować siebie, że się rozkleja. Jechał na Białym Koniu. Mógł się nie lękać niebezpieczeństw prerii. Nie znał tutejszego życia, ale rozumiał, że można się przyzwyczaić do wszystkiego. Miał strzelbę i zapas naboju. Mógł się nie bać głodu. Na razie nie trapił się, co będzie potem. Postradał skradzione złoto. Zyskał krwawą chłostę, ale wszystkie te straty wyrównały się z nadwyżką dzięki

zdobyciu ogiera. Dlaczego by więc nie miał być szczęśliwy? Do diabła z głupimi uczuciami!

- Rusty'emu - powiedział na cały głos - brak piątej klepki! Pożałował zaraz tych słów, gdyż obudziły w jego umyśle niemiłkające echa.

- Nie ma piątej klepki! Nie ma piątej klepki! - powtarzał w kółko.

Ale półgłówki nie wdzierają się do fortów, między wojsko, żeby ratować przyjaciół. Głupcy nie wyzywają prawa, narażając się dla przyjaźni na utratę wolności.

- Diabli z przyjaźnią! - zaklął głośno.

Ogier dał nagle susa, o mało nie wysadzając jeźdźca z siodła. Billa przeszło zimne mrowie. Zląkł się, że koń zrozumiał bluźnierstwo. Ach, cały świat by go znienawidził, gdyby to usłyszał.

Uspokoił się trochę, postanowiwszy, że niech tylko okoliczności pozwolą, wróci do fortu, zabije majora Marstona i uwolni Rusty'ego. W ten sposób zmyłby plamę z honoru i sumienia i odpłacił się Sabinowi.

Ułagodzone sumienie przestało Billa dręczyć. Zajął się wyłącznie koniem.

Jadąc z Sabinem obserwował jak ten ostatni obchodził się z koniem. Dostał również od niego „instrukcje”. Ale ogier i jego prawdziwy pan porozumiewali się prawie bez słów. Rusty powodował koniem za pomocą gestów. Mogło się zdawać, że od jego mózgu do

końskiego przepływał przez cugle prąd elektryczny. Bill musiał na razie próbować, szukać sposobów, zastanawiać się.

Cugle, rozumie się, działały na szyję, ale Bill zrobił odkrycie, że koń słucha nie szarpnięć, lecz dotknięć. Uniesienie cugli wystarczało, żeby przyspieszył biegu. Trochę wyżej - i puszczał się cwałem. Co więcej, Biały Koń zdawał się obserwować jeźdźca. Trzymał głowę trochę bokiem, tak że było widać błyszczące oko. Bili próbował poganiać go poklepywaniem i obcasami, ale ta metoda okazała się niebezpieczna. Najlepiej było traktować go jako przyjaciela, towarzysza podróży, dumnego własną wolą i inteligencją, zdolnego wychodzić bez pomocy jeźdźca z trudności, pojawiających się na szlaku.

Póki było równo, Bill oddawał się wyłącznie studiom nad właściwościami konia. Ale w końcu zaczęły się wertepy, takie same jak te, przez które Rusty przeprowadził go nocą. W pierwszym zaraz jarze natrafił na potok. Pokusa była zbyt wielka. Postanowił zsiąść.

Już przerzucił nogę przez siodło, gdy zobaczył o ćwierć mili ogromnego wilka, siedzącego na pagórku, najwidoczniej na czatach. Billa przeszedł dziwny dreszcz.

Zwierz zaczął się drapać tylną nogą. Tenney, poirytowany nie wiadomo dlaczego, sięgnął do strzelby. Wilk uciekł.

Bill obmył ostrożnie obolałe plecy. Zimna woda działała kojąco. Jęknął z ulgi. Rozumie się, miał gorączkę. Z rozkoszą przykładął do ciała zmoczoną szmatę, albo wyciskał, żeby woda kapiała.

Obejrzawszy się spostrzegł po drugiej stronie jaru, w odległości niespełna dwustu kroków, drugiego wilka, równie wielkiego jak pierwszy. Ale ten był ostrożniejszy. Zza skały było widać tylko łeb i barki. Tenney znów porwał za strzelbę i chciał wypalić, lecz nie zdążył. Wilk znów zniknął.

Jeżeli wilki tak dobrze odróżniają broń palną, to polowanie na nie musi być sztuką nie lada.

Drugi wilk mocno zainteresował Białego Konia. Ogier oddalił się ta - necznie o parę kroków i znieruchomiał w pięknej czujnej postawie. Tylko łeb obracał niespokojnie w obie strony. Biały Koń zwietrzył najwyraźniej niebezpieczeństwo.

Bill Tenney wiedział ze słyszenia, że koń z prerii jest daleko czujniejszy od człowieka-myśliwego.. Może rzeczywiście w pobliżu czai się niebezpieczeństwo. Miał już dopaść do ogiera i wsiąść, gdy chór przeraźliwych wrzasków poraził go zimną trwogą. Wrzaski niosły się z obu stron dolinki. Raptem z każdej strony wypadło po kilku Indian, szarżując na Billa.

XV. STRACH PRZED OGNIEM

Wrzask Indian podziałął na Białego Konia jak ostroga, bo pomknął prosto na przeciwległą ścianę jaru, na oko prostopadłą i wdarł się po niej, znikając w obłoku kurzawy. Gdy wiatr rozwiał chmurę pyłu, konia już nie było.

Tenney ledwie zdążył wyrwać strzelbę z pokrowca. Ale nie strzelił.

Podczas pobytu w Kentucky słyszał dużo o wojowniczych Indianach z prerii. Opowiadano o śmiałkach, którzy czekali z podniesioną bronią, nie marnując naboju, a tymczasem Indianie pierzchli w dwie strony, gdyż każdy myślał, że lufa w niego celuje. Bill wyobrażał sobie, że i on by to potrafił. Prosty manewr, łatwy i wymowny. W opowieściach zawsze się udawał.

Ale słyszał również o całych karawanach, zbrojnych karawanach, zniesionych w krótkiej walce. Widział więcej, niż myślał. Patrzył bacznie i rozumował. Większość wojowników, których widział przed sobą miała za cały strój wąską przepaskę w biodrach. Słońce odbijało się w ciałach muskularnych jak posągi z brązu. Indianie odznaczają się zazwyczaj silnymi nogami i słabymi ramionami i barkami. Ci jednak, chłop w chłopu, wyglądali na zawodowych siłaczy.

Przyjemnie byłoby ich podziwiać z bezpiecznego miejsca. Piękny byłby widok, gdyby odjeżdżali. Ale oni nadjeżdżali na mustangach, cudnych w galopie. Większość jeźdźców była uzbrojona w strzelby. Niektórzy potrząsali dzidami.

Na gust Billa Tenney'a Indianie byli zbyt dziwaczni. Jak każdy złodziej, był człowiekiem z gruntu praktycznym. Opuściwszy kolbę na ziemię, wsparł się na lufie w oczekiwaniu szarży:

Połowa jeźdźców skrzyła pod stromą ścianę, po której wdrapał się Biały Koń. Żadnemu nie udało się wdrzeć na krawędź. Dwaj czy trzech zdołali osiągnąć połowę stoku, ale zwalili się na dno jaru, jednak bez szkody, bo zaraz wstali i dosiedli koni.

Pozostałych sześciu - którzy nie przerwali szarży, otoczyli Billa kołem. Dopadli tak blisko, że widział na ich piersiach białawe szramy plemienne. Blizny te uzyskiwali podczas obrzędu wtajemniczenia. Bill słyszał również o tych obrzędach, o rzemieniach, przeciąganych przez mięśnie piersiowe, o wyszarpywaniu ich żywcem razem z ciałem, o szaleństwie bohatersko wytrzymałych młokosów.

Ciała mieli wszyscy na pozór jednakowo młode. Twarz najmłodszego nawet była napiętnowana dzikością. Twarze starszych robiły wrażenie okrutnych masek nałożonych dla postrachu. Bill był w strachu, lecz zdobył się na zimną krew. Patrzył i czekał na sposobną chwilę.

Ale okazało się, że nie będzie żadnej sposobności. Jeden z Indian zarzucił Billovi na szyję pętlicę z rzemienia i naciągał, gotując się go udusić. Siedział na koniu, zwróconym trochę w bok, i widocznie jeszcze, czekał.

Najstarszy wojownik z najdłuższymi włosami zbliżył się z przemową. Od ruchu ust twarz jego stała się jeszcze bardziej odrażająca. Mówił szybko, gardłowo, chrapliwie. Gdy Bill potrząsnął głową na znak, iż nie rozumie, Indianin fuknął:

- Biały Koń - gdzie złapać?

- Rusty Sabin dać - odpowiedział Tenney. - Czerwony Sokół dać.

- Dać!? - wykrzyknął wojownik. Przystąpił krok bliżej i pochwycił Billa za gardło.

- Czerwony Sokół nie dać! - oświadczył z furią.

Bill Tenney wzruszył ramionami.

- Czerwony Sokół dać - powtórzył.

Starszy wojownik wpatrywał się w niego przez chwilę rozplomienionymi oczyma. Twarz miał zaiste straszliwą. Usta kurczyły się bezustannie, skutkiem czego na policzkach wyskakiwały głębokie bruzdy. Nozdrza rozdymały się i zwierały z każdym oddechem.

- Kłamać! Kłamać! - mrucał. - Biali wszyscy kłamać!

- Czerwony Sokół jest biały - zauważył Tenney.

Indianin dobył długiego noża, jakby chciał dźgnąć jeńca, jednak zaraz wsunął z powrotem do pochwy, co prawda z ociąganiem. Miał na sobie jedynie przepaskę i pas, a ciało równie młode jak wszyscy z tej herkulesowej grupy, sprężyste, gładkie, pełne muskularnych okrągłości.

Skończyło się na tym, że wsiadł na konia wziął lasso z ręki towarzysza, szarpnął mocno, aż Bill zacharczał, i kazał ruszać.

Tenney ruszył z pośpiechem. Czerwone diabły kłusowały a nawet puszczały się lekkiego galopa. Musiał więc biec.

Biegiem wydostał się na górę, a potem pędził z góry na łeb.

W oczach mu się ćmiło. Zielone fale prerii uderzały w niebo, a znów błękitne niebo falowało mu pod stopami. W płucach miał żywy ogień. W końcu potknął się. Rzemień werznął się w szyję i ciągnął go po ziemi kilkanaście kroków. Bill zdołał się pozbierać, rozluźnił pętlę na szyi, i przez kilka strasznych minut łapał oddech.

Nie bardzo mu się to udawało. Okrutny, stary diabeł na czele oddziału nie myślał się obejrzyć. Inni wojownicy także siedzieli w siodłach jak przykuci.

Nim przeszli w stępa, było bez mała po nim. Zataczał się, tracił przytomność. Ale ulga przyszła w porę i mógł jeszcze iść. Jeżeli się zatoczył, lasso go wyprostowywało.

Jednak nie wydał słowa skargi. Rozumiał, że marnować dech na lamenty przed czerwonoskórymi byłoby głupotą.

Po jakimś czasie odzyskał siłę w kolanach i jasność wzroku. Dostrzegł, że na widnokregu ukazują się spiczaste wigwamy.

Wspomniał Białego Konia. Te psy mogły go zabrać do swojej wioski i zamęczyć na śmierć. Gdyby miał pod sobą Białego Konia, uciekłby z szybkością błyskawicy. Mógłby się śmiać z najlepszych wojowników na najbardziej ręcznych koniach, Ale cóż, Biały Koń uciekł, a on wlecze się pieszo ku swemu przeznaczeniu.

Z wioski wypadła na powitanie wracającej wyprawy gromada nagich wyrostków na małych konikach i okrążyła wojowników wrzaskliwym kołem. Prawie każdy miał w ręku jakąś broń. Nad głową Billa Tenney'a migotały noże, maczugi, toporki. Niektórzy wywijali strzałami o stępionych grotach, bijąc go nimi gdzie popadło. Ból był okropny, gdy ciosy spadały na pokaleczone nagie plecy.

Ale to jeszcze nie była śmierć, nie było to, czego się spodziewał. Zastanawiał się, czy by zniósł bez krzyku torturę ognia i w serce jego wstąpiła ogromna duma i twarde postanowienie, że umrze jak przystało na dzielnego człowieka.

W tej chwili ujrzał w duszy przebyty szlak życia. Tak podróżny ogląda się czasami na trakt, zostający w tyle. I wydało się Billowi, że nigdy nie zrobił postoju, godnego pamięci, że w przyszłości mógłby lepiej żyć.

Kawalkada zbliżała się do wioski. Teraz otoczyła ich chmara drobnych dzieci i wyjątych psów. Psy skakały wysoko w górę i kłapały zębami, tuż koło szyi Billa. Nawet gdy zamykały pyski, zdawało się, że wyją. Bill czuł w ciele ich kły siłą wyobraźni. Ale co znaczą dzikie psy w porównaniu ze straszliwą torturą ognia?

Ze skraju wioski zobaczył, że wigwamy stoją kolistymi grupami. Niektóre były nowe, lśniące białe. Inne przyćmione od zużycia, deszczów i słońca. Tu i ówdzie sucha skóra pękała w wąskie rysy. Jaskrawe naiwne malowidła, zdobiące namioty, świeciły przeraźliwą świeżością, albo były ledwie widoczne.

Tu i ówdzie stali przed namiotami wojownicy w bawolich skórach. Niektórzy mieli twarze całkowicie zasłonięte. Inni ukazywali w głębokim cieniu srogie rysy. Kobiety również wyległy witać wracających. Były wśród nich stare squaw, przygarbione wiekiem, sterane pracą, z opuszczonymi ciężko po bokach rękami, zgrubiałymi niepomierne. Młode squaw, jeszcze pełne życia. Wreszcie dziewczęta, co prawda okrutnie się uśmiechające i zupełnie inne pod względem urody niż ich rówieśnice. Biali patrzą tylko na twarze. Mogą pożartować z niezgrabnych figur, ale biorą pod uwagę tylko twarze. Dać kalece twarz świętej, a znajdzie męża na stanowisku.

Z Indiankami było inaczej. Przez skromną odzież z cienkiej skóry przeglądały wysmukłe, młode ciała. Tu trzeba było patrzeć na całość. Twarze, często o tępych rysach, szerokie, księżycowate, mogły pociągać oko nie urodą, lecz wyrazem. Tenney, choć bliski śmierci, zwrócił uwagę na kobiety. Podniósł głowę i zaczął stąpać z większą fantazją.

Zawstydził się czerwonych szram na plecach, świadczących o chłości, zawstydził, że go prowadzą jak psa na rzemieniu. Mimo to powiedział sobie, że jeżeli te wspaniałe kobiety będą się przyglądały jego męce, to umrze jak bohater. Ba! będzie się śmiał wśród płomieni. Już widział języki ognia, rozdmuchiwane przez wiatr, już czuł jak wżerają mu się w ciało.

Oddział zatrzymał się przed którymś wigwamem. Jeńca wciągnięto do środka. Silne szarpnięcie za lasso rzuciło go na ziemię. Bill zachował się przezornie. Legł nieruchomo, nie próbując usiąść.

XVI WYROK ŚMIERCI

Długo tak leżał. Wiedział, że w wigwamie są dwaj wojownicy na warcie. Cicho było jak makiem siał. Wartownicy nie otwierali ust. Bill chwilami cierpiał straszliwie od kurzu, wgrzyzającego się w rany, to znów siła woli sprawiała, że zapominał o bólu.

Jeden z wojowników miał na szyi, jak się mogło zdawać na oko, suchą mysią skórkę, drugi jakiś bezkształtny woreczek. Jeden był uzbrojony w krótką maczugę, zakończoną żelźcem od dzidy. Drugi w nóż za pasem. Bill Tenney rozumiał, że o ucieczce nie może marzyć. Wśród, białych uchodził prawie za olbrzyma. Za to z Indianami mógł

się tylko równać. W obozowisku zauważył niewielu takich, którym mógłby od biedy dać radę.

Kłapa wigwamu uniosła się, i wszedł trzeci człowiek. Bill zerwał się nagle i usiadł, choć jeden wartownik już-już rozbijał oszczep, a drugi dobył noża. Jednak nie stracili głów. Może zrozumieli zdziwienie jeńca na widok drugiego białego człowieka.

Prawda, że przybysz nie mógłby wystąpić czynnie. Był to człowiek stary z długą, zaniedbaną brodą, świadcząca o lenistwie nie lubiącego się golić właściciela. Postać, ciężka i otyła, również znamionowała wygodnickiego.

Od góry był ubrany modą białych, od dołu po indiańsku. Jednak nie wyglądał na mieszańca. Oczy miał zbyt niebieskie, a skórę na rękach i koło oczu najwyraźniej białą. W rękę trzymał krótką, zgiętą fajkę i był bez broni.

W ślad za nim do namiotu wpadła młoda Indianka. Niezupełnie Indianka, bo oczy miała niebieskie, tej samej barwy co grubas, cerę zaś jasnobrażową, przeświecającą rumieńcem - Oddychała szybko jak po prędkim biegu. Przez otwór wigwamu sięgnęły za nią ciemne ręce i dzika twarz błysnęła w szparze.

Biały człowiek zagadał coś i wziął ją za ramię. Zaświergotała trochę gniewnie, trochę błagalnie, widocznie, żeby ją puścił, bo zaraz podbiegła lekkim krokiem do Billa. Wartownicy uśmiechając się opuścili broń. Billa uderzyło, jak dziwnie uśmiech kłócił się z ich srogimi twarzami.

Dziewczyna pochyliła się nad jeńcem.

- Czy to prawda? - zaczęła pytać gwałtownie. - Miałeś Białego Konia? Czy dostałeś go od Czerwonego Sokoła? - On ci dał? - A może skłamałeś? Może Czerwony Sokół nie dał ci Białego Konia?

Bill musiał się chwilę zastanowić. Przypomniał sobie, że u Indian Rusty Sabin nosił miano Czerwonego Sokoła.

Miał lekki zawrót głowy. Uroda dziewczyny odebrała mu głos. Ona drżała i on drżał, aż mu się w mózgu mąciło. W tej chwili miał minę półgłówka. Ale opamiętał się i skinął głową:

- Tak, on mi go dał.

- Kłamiesz! - zakrzyczała. - Zamordowałeś go! Zabiłeś go i zabrałeś konia! Zakradłeś się tchórzliwie i zabiłeś go we śnie, bo inaczej nie odważyłbyś się stawić mu czoła. On by się tylko zaśmiał i natychmiast dech Wielkiego Ducha porwałby cię jak wichura porywa zwiędły liść. Ty byś się z nim nie zmierzył. Musiałeś go zabić we śnie.

Tenney potrząsnął głową. Jeszcze mu było trudno mówić, więc rzekł krótko:

- Uciekaliśmy przed pościgiem. Mój koń ustał. Czerwony Sokół dał mi swojego!

- Dał? - krzyknęła z niedowierzaniem.

- Czekać no, Błękitne Oko - wtrącił biały człowiek. - Czyż nie wiesz, jaki on hojny?

- Tyś wilk, tyś biały wilk! Dość spojrzeć. Jakżeby Czerwony Sokół oddał ci konia? - wykrzykiwała dziewczyna.

- Nie wiem. To dziwny człowiek. Zresztą wyratowałem go z rzeki - z Tulmaku. Więcej nic nie wiem. Ale dał mi Białego Konia
Prawdę mówię.

- Az nim co się stało?

Przy tych słowach Błękitne Oko splotła ręce i przygięła kolano, gotowa klęknąć i błagać go, żeby mówił prawdę.

- Nie wiem - powtórzył Tenney. - Wojsko nas goniło, major Marston z kawalerią. Musieli go zabrać. Nie bronił się. Podjechali i wzięli go. Widziałem z daleka.

- Uciekłeś i zostawiłeś przyjaciela? - zapytała. - Odjechałeś i...

Była gotowa skoczyć mu z paznokciami do oczu, lecz biały grubas chwycił ją w pól i pchnął ku wyjściu. Ale nie mógł jej dać rady. Zawołał o pomoc. Wielkie, ciemne ręce wsunęły się znów przez klapę namiotu i uniosły oszalałą dziewczynę.

Bill słyszał jej krzyki i łkania. Miał wrażenie, że się cały zamienił w uszy, tak przejmująco te dźwięki przenikały w jego duszę. Przymknął oczy. Czuł, że błękitnych oczu dziewczyny nie zapomni póki życia. Zapadły mu w serce.

Usłyszał, że biały coś do niego mówi.

- Źle z tobą, przyjacielu. Jak się też zowiesz?

Biały grubas z brodą siedział z podkurczonymi nogami obok na ziemi, nabijając fajkę.

- Jestem Bil Tenney. A wy kto jesteście?

- Mam nazwisko - odparł biały. Nabiwszy fajkę, nasypał na tytoń jakiegoś jasnego proszku, wziął z ogniska czerwony węgiel i

położył na cybuchu. Uwagi Billa nie uszło, że wzorem Indian, nim się oddał przyjemności palenia, wydmuchnął uroczyście dym w cztery strony świata.

- Mam nazwisko - rzekł - ale tu wśród Indian noszę miano Leniwego Wilka. Nie jestem dumny z tego zawołania, ale nie ma rady. Stosowniejszej nazwy byś dla mnie nie wymyślił.

- Aha! Powiedzcie mi, co znaczy ten lament o Rusty'ego. O co im idzie? Czy o to, że miałem Białego Konia, czy że pozwoliłem mu uciec?

Leniwy Wilk wydmuchiwał dym. Ściągnął okulary na nos, co go upodobniło do sowy.

Patrząc z powagą na Billa, rzekł;

- Opowiem ci dużo o Rusty'm Sabinie i jego plemieniu, ale wpiery musisz się wyświadczyć przede mną. Kto ci tak wygarbował plecy i za co? Jakim sposobem dostałeś w ręce Białego Konia? Tylko mów prawdę. Chciałbym cię poratować, bo tu nie ma żartów. Czerwonoskórzy mają chrapkę na twój skalp i pewnie go wezmą. Cała twoja nadzieja w mojej przychylności. Gadaj jak do rodzzonego ojca.

Tenney zamrugał nerwowo.

Nie miał pociągu do prawdy tak samo jak do sądów i sprawiedliwości. Był łgarzem z powołania i teraz kusilo go, żeby coś zmyślić. Ale instynkt ostrzegł go, że tym razem bezpieczniej będzie powiedzieć prawdę, bez względu na wstyd. Więc rzekł szczerze:

- Ukradłem dwadzieścia funtów złota z faktorii nad Tulumakiem i dałem nura do Fortu Marstona. Akurat przybył statek pasażerski i z

pokładu zleciał w wodę Biały Koń. Za koniem skoczył człowiek. Ja za czołmo i doholowałem obu do brzegu. Niedoszłym topielcem był Sabin. Podał mi rękę na podziękowanie i prosił, żebyśmy byli przyjaciółmi. Potem wpadłem w pułapkę, znaleźli przy mnie złoto. Zamknęli mnie w forcie, przywiązali do słupa i ukarali chłostą.

Tu Bill wyszczerzył zęby jak podrażniony pies.

- Ale Rusty z dwoma Szejenami dostali się do fortu i uwolnili mnie. Uciekaliśmy przez prerię, a wojsko za nami ze sforą gończych. Mój mustang ustał. Wtedy Rusty zeskoczył z siodła i nuż mi wypychać swego ogiera. Wziąłem i uciekałem dalej, póki nie wpadłem w ręce Indian.

Bill urwał. Był czerwony na twarzy i oddychał z pewnym trudem. Było mu dziwnie wstyd, jemu, co zawsze gwizdał na wszystko.

- Okrutnie mnie zbili - zamruczał szybko. - Nie wiem... było nie było... wziąłem Białego Konia i uciekłem. Rusty'ego zostawiłem... zostawiłem...Poderwał głowę i łypnął wyzywająco na Leniwego Wilka, lecz spokojny, rozważny wzrok starszego człowieka zbił go z tropu.

Spuścił głowę na piersi.

- No, dobrze - rzekł Leniwy Wilk - postaram się zrobić dla ciebie, co się da. Wierzę, że nie skłamałeś, bo widzę, że ci wstyd. Ale czy Indianie ci uwierzą? Za to nie ręczę. To Szejenowie. Rusty ma wśród nich sławę najpotężniejszego czarownika, jaki kiedykolwiek stąpał po ziemi. Muszę ci opowiedzieć, co się tu teraz dzieje, bo ci się

to może przydać. Po odejściu Rusty'ego do białych, do ojca, Szejenowie bardzo byli przygnębieni. Niebawem w wiosce wybuchła choroba. Ludzie kładli się jedni po drugich. Znachorzy płasali do upadłego, kładli najokropniejsze maski, wyli, wrzeszczeli, zalecali dzień w dzień łaźnię na przemiany z zimną wodą. Bez skutku. Chorym było coraz gorzej.

Niebawem przyszła wieść - po preriach wieści rozchodzą się szybko i daleko - że Czerwony Sokół bawi na południu nad Tulumakiem. Postanowiono przeto, że część plemienia wyruszy szybkim marszem na południe, zabierając z sobą wszystkich chorych. I tak się stało. Ja także się z nimi zabrałem. Nie chciałem, ale córka się uparła. Kocha się dziewczyna w Czerwonym Sokole. Z tego powodu musieliśmy na jakiś czas opuścić wioskę. Ale gdy Rusty przystał do białych, wróciłem do Szejenów. Teraz moja córka, Błękitne Oko, przywiodła mnie na południe. Dowiedziała się, że nasi spotkali nieznanego człowieka na Białym Koniu i jest prawie pewna, że zamordował Rusty'ego.

Zresztą całe plemię myśli to samo. Domagają się krwi za krew. Chcą twojej krwi i nie wiem, jak im się obronisz.

Zrobił znak ręką, aż nadto wymowny, aż nadto wyraźny.

- Rusty'ego się lękają - mówił dalej. - Mają go za niebiańską istotę. Ale go przy tym kochają. Urwanie głowy z tym chłopcem. Oddał ci konia - to na niego wygląda. Zawsze był dobry i uczynny. Kto był w tarapatach, zwracał się do niego, a on pocieszał wszystkich głosem kobieco łagodnym. Indianie, jak wiesz, mają gardłowe głosy.

Kobiety w obozowisku kamieniały na jego widok i tylko wodziły za nim oczyma. Ale on nawet tego nie widział. O sobie myśli tylko tyle, że los mu sprzyja. I teraz Szejenom strzeliło do głów, żeś ty tego człowieka zamordował. Możesz się domyślić, co zamierzają z tobą zrobić, ale jeszcze mnie przysłali do ciebie w nadziei, że powiesz coś pewnego.

Bill Tenney zrozumiał, że jest zgubiony.

- Nawet jeżeli im powiecie prawdę - rzekł z namysłem - nawet jeżeli im powiecie, że Czerwony Sokół rzeczywiście oddał mi konia, a sam stawiał żołnierzom czoła - nawet jeżeli uwierzą, to i tak mnie nie ułaskawią.

Milczenie Leniwego Wilka było dla Billa Tenney'a wyrokiem śmierci.

Leniwy Wilk rzekł po chwili:

- Chorzy, dogorywający w wigwamach - których dotąd trzymała przy życiu nadzieja ujrzenia Rusty'ego i cudu z jego ręki - ci pierwsi będą żądać twojej śmierci, Tenney. Uwierzyli, że Czerwony Sokół nie żyje, a stąd wniosek, że i oni nie wyżyją.

- Jakby im Rusty mógł pomóc? - zdumiał się Bill. - Przecież nie jest ani czarownikiem, ani doktorem. Jakżeby ich mógł wyleczyć?

- Nie wiem. Powtarzam ci tylko to, co mówią Szejenowie - odparł Leniwy Wilk i wstawszy, pożegnał się. - Idę teraz na radę wojenną - dorzucił. - Chciałbym ci dodać otuchy, ale obawiam się, że nic nie poradzę.

Pospieszył do wyjścia, przystanął, jakby chcąc jeszcze coś powiedzieć i wyszedł bez słowa.

XVII. KREW WIĘŹNIA

Bill Tenney siedział dopóki mógł wytrzymać wzrok strażników, którzy po prostu pożerali go nieruchomymi, dzikimi oczami. Gdy mu wreszcie dojadło, położył się i czekał.

Godziny dłużyły się w nieskończoność.

Pierwszy raz był w obozowisku indiańskim. Wyobrażał je sobie zawsze jako miejsce ciszy. Tymczasem słyszał bezustanny harmider. Psy ani na chwilę nie przestawały ujadać. Albo gdzieś daleko jakiś melancholik wył do księżyca, albo w pobliżu wybuchła psia batalia, albo wreszcie cała sfora ganiała z ujadaniem i szczekaniem po obozowisku.

Mimo wszystko Tenney zdołał usnąć. Obudził się, gdy już słońce stało wysoko.

I znów upływały godziny, upał wzrastał, a jego wciąż trzymano w wigwamie. Wartownicy zmienili się. Następna para była trochę starsza i brzydsza od pierwszej. Przed wieczorem pokazał się Leniwy Wilk, Był znużony i wyczerpany. Klapnął ciężko na złożoną skórę bawolą, splótł ręce i patrząc na więźnia, rzekł:

- Rozmawiałem większą część nocy. Namówiłem bractwo, żeby się przespało i rozpatrzyło rzecz nazajutrz. Po południu wygłosiłem nową przemowę. Ale wszystko to nie zdało się na nic. Wbili sobie do głów, że Czerwony Sokół nie żyje. Chcą cię posłać za nim na ofiarę, a prócz tego wykombinowali sobie, że może twoja krew zaczaruje

zarazę. Chorzy i słabi łakną twojej krwi. Niech Bóg ma cię w swojej opiece, nieboraku!

W głosie Leniwego Wilka zadźwięczała nuta głębokiego współczucia. Billowi zrobiło się nieswojo.

- To mam umrzeć? - zapytał.

- Ano, musisz. Czerwony ludek rozżarł się nie na żarty. Teraz to nawet naczelnicy nie by nie wskórali. Obecnie głównym naczelnikiem, zresztą jedynym wybranym, jest Stojący Byk, dawny serdeczny przyjaciel Czerwonego Sokoła. Długo z nim mówiłem, ale cóż! Rozszarpałby cię własnymi rękami.

- Niech tam - rzekł Bill. - Mają mnie w ręku. Pewnie długo się będą ze mną bawić.

Leniwy Wilk westchnął:

- Muszę ci powiedzieć prawdę. Tak. Długo cię będą męczyć. To ich system.

- Przyjacielu - rzekł Bill - nie moglibyście wyrządzić mi drobnej przysługi? Rozwalcie mi łeb tą siekierą, albo jeszcze lepiej dźgnijcie nożem między żebra.

- Rozszarpałoby mnie na sztuki, gdybym to zrobił - odparł grubas.

- Przykro mi, ale nie mogę się narażać. Przeszedłem się pożegnać. Wstał wyciągając rękę. Na to jeden z wartowników warknął jak

pies i doskoczywszy, rozepchnął ich, w dwie strony.

- Mniejsza z tym - rzekł Tenney. - Dziękuję wam za dobre chęci..

- Jeszcze to Wam powiem, Leniwy Wilku, że nie ma co mnie żałować. Prowadziłem marne życie - złodziejskie, oszukańcze. Żałuję, że nie będę się mógł poprawić. Nie ma obawy. Zegnajcie!

I Bill został sam z wartownikami. W pierwszej chwili strach go obleciał, ale że był dzielny, potrafił się opanować. Właściwie bał się tylko, że to będzie trwało tak długo. Spojrzeć śmierci w oczy - stanąć przed oddziałem egzekucyjnym byłoby dla niego fraszką. Ale męczyć się szereg godzin, czekać końca i nie móc się doczekać, czuć ciało wyrywane, krajane i palone żywcem po kawałku, wiedzieć, że wprawni kaci będą się starali podsycać w nim możliwie długo iskrę życia, to było dopiero straszne. Ale serce dzielnego człowieka jest zawsze mężniejsze, niż mu się zdaje. Bill zaciął zęby i postanowił cierpieć z godnością.

Nie zaskoczyła go wielka wrzawa zbliżających się głosów. Zrozumiał, że idą po niego. Wstał więc i założywszy ręce na piersiach, patrzył w stronę wejścia.

Nie był związany. Wyprowadzili go za ramię na szyi.

Ale Bill pojął całą grozę położenia dopiero wówczas, gdy znalazł się na okrągłym placu, otoczonym zewsząd spiczastymi wigwamami. Przywiązano go żelaznymi łańcuchami do grubego słupka za ręce i nogi.

Zrozumiał dlaczego użyto żelaza. Liny lub rzemienie nie ostałyby się w, płomieniach.

W czterech punktach placu płonęły w równych odstępach ogniska, żeby było widno. Bill pomyślał, że potem kaci zgarną zarzewie naokoło słupa i podpalą go żywcem.

Czy on to zniesie?

Uświadomił sobie ze zdziwieniem, że nie tyle go rozstraja myśl o torturze, ile dzika brzydota Szejenów. Prawda, że to plemię Indian uchodziło za najdorodniejsze na preriach, ale w tej chwili twarze były napiętnowane ohydą okrucieństwa, a nadto ci najlepiej wyglądający stali z daleka, a na placu skupili się chorzy w liczbie dobrej setki.

Strach było na nich patrzeć. Niewiadoma choroba zżerała ich jak głód. Pofałdowana skóra przylegała do kości. Oczy gorzały w czarnych oczodołach. Gdy otwierali usta, zdawało się, że zamykając je, przygryzają wpadnięte policzki. Robili wrażenie żywych trupów, wstrząsanych szaleństwem.

Gdzieś z boku zaczęto bić w bębny, równo, rytmicznie. Chorzy puścili się w płasy. Był to zaiste taniec śmierci. Kościste kolana podrygiwały chwiejnie, kościste ramiona wznosiły się w górę. Ci, którzy nie mogli ustać czołgali się, od czasu do czasu bijąc jedną ręką o ziemię. W chwilach, gdy głos bębnów przycichał lub zmieniał tempo, tłum wznosił oczy ku niebu wśród krótkich okrzyków.

Okrzykom wtórowała ciżba na skraju ogni. Gromka wrzawa przelewała się porywistymi falami przez serce i mózg Billa. Zaczął rozróżniać szczegóły. Wszyscy chorzy - mężczyźni, kobiety i dzieci - byli uzbrojeni w noże. Wychudłe piersi dyszały tak gwałtownie, jakby pod żebrami nie było już nic.

Trochę z dala od reszty pełzła wolniutko postać wynędzniała gorzej od innych, niezdolna uczestniczyć w makabrycznym tańcu nawet tych, którzy podrygiwali na kolanach. Nagi szkielet w opasce na biodrach!

Bill Tenney patrzył. Szkielet co chwila osuwał się jak długi i tak leżał. Można było policzyć żebra i kręgi. Kości bioder wystawały na podobieństwo łokci. Łopatki wydawały się obdarte ze skóry. Gdy głowa nieszczęśnika uniosła się, Bill spostrzegł z przerażeniem, że to jeszcze dziecko, chłopiec może nawet nie czternastoletni. Skóra na twarzy była naciągnięta jak na siodle.

Zobaczywszy Billa chłopiec wykrzywił się okropnym uśmiechem i pokazał na niego nożem. Więc ci chorzy dosłownie chcieli zmyć zarazę w krwi ofiary. Może równomierne okrzyki, zwracane ku niebu, były modlitewnym wezwaniem do Czerwonego Sokoła, na którego cześć odprawiał się ten straszny obrzęd ofiarny.

Ruchomy szkielet chłopca wpłynął między tańczących, którzy zaczęli się o niego potykać i przewracać. Silniejsi deptali po nim, lub prze-

69skakiwali przezornie. Mimo to chłopiec ciągnął się cierpliwie ku Billowi. W końcu chwyciwszy go za czubek buta, zaczął się podnosić wolno z wysiłkiem, który był męką. Tenney słyszał jego oddech, przerywany charkotem.

Chłopiec już był na kolanach. Po twarzy jego, wykrzywionej skurczem nienawiści i dzikiej nadziei, Bill poznał, że za chwilę dostanie nożem w ciało. - Ach! gdybyż cios trafił od razu w serce!

Z oddali z ciemności doleciało głośne wołanie. Tancerze nagle ustali. Bębny umilkły.

XVIII. ZNACHOR

Tętent kopyt. Z ciemności wypadł brązowy młodzieniec na koniu, niby dzirynt w locie, wpadł w tłum i cwałował naokoło placu, wykrzykując parę słów, tych samych co tancerze. Bill domyślił się, że dźwięk ten musiał oznaczać w języku Szejenów imię Czerwonego Sokoła.

Tłum oszalał. Siedzący zerwali się z miejsc i poskoczyli w ciemność, w stronę, skąd zaczęły dochodzić radosne wrzaski. Dumni naczelnicy z pióropuszcami do pięt, wojownicy, sławni z wielu wspaniałych czynów, upamiętnionych barwnymi piórami, starcy, pełni godności i słabości, wszystko to, skacząc i wrzeszcząc, pędziło gromadą nie wiadomo dokąd.

Na miejscu zostali tylko chorzy i zbiwszy się w kupę, czekali. Chłopiec, który dźwignął się na kolana w zamiarze przebicia więźnia, wykręcił się i upadł. Głowa jego spoczęła na stopach Billa.

Bill Tenney wyteżył wzrok. Co to za olbrzym tam kroczy, cienki i wysmukły, wyższy o jakie trzy stopy od najroślejszych Szejenów? Nie, to tłum niesie kogoś na rękach wysoko w powietrzu, jak posąg boga.

Przodem sunie gromada wyrostków, wywijających kozły, stojących na głowach. Huczą wystrzały. Psy wtórują ludzkiej uciezce, jak mogą i umieją.

Z piersi chorych wzbił się jednogłośny ksyk radości. Jeszcze echo tego krzyku nie umilkło w uszach Billa, gdy oczy jego poznały w przybyłym Rusty Sabina.

Zamknął oczy biedny jeniec i odetchnął z ulgą.

Znów spojrział. Rusty już szedł sam, przepychając się powoli między cizbą chorych. Musiał stąpać ostrożnie gdyż ziemia była zasłana ciałami błagalników. Jedni chwyтали go za ręce, drudzy czepiali się nóg. Jakaś kobieta na kolanach to biła się w piersi, to wyciągała ręce do Czerwonego Sokoła. Ten, wydostawszy się wreszcie z koła chorych, podszedł do pala, przy którym był uwiązany Bill Tenney.

- Jesteś uratowany! - wołał jeszcze z daleka. - Nic ci już nie grozi. Opowiadam im o tobie. Zobacysz, odtąd będziesz wśród nich jak naczelnik. Od dzisiejszego dnia wszyscy Szejenowie uznają cię za brata!

Odwrócił się i krzyknął jeszcze kilka słów zebranemu plemieniu. Dłoń jego spoczęła na ramieniu Billa. Indianie darli się jak opętani.

- Powiedziałem im - rzekł Rusty Sabin - że jesteś moim bratem.

- Powiedziałem im, że uratowałeś mi życie. Zobacysz, co się będzie działo!

Rzeczywiście było na co patrzeć. Tenney, osłabły ze szczęścia, zaczął się śmiać głupawo, bo dziesiątki rąk wyciągnęły się, żeby go uwolnić. Ale choć oszołomiony, zauważył z jaką czułością Rusty dźwignął z ziemi chorego chłopca, który tak chciwie łaknął krwi jeńca, i kołysząc go w silnych ramionach, wyschłego od choroby jak

mumia, wołał do rozradowanego tłumu. Podszedł ogromny wojownik już niemłody i położył ręce na ciele chłopca.

Musiał to być ojciec, bo na chłopca spojrział z trwogą i bólem, a na Rusty'ego z radością i nadzieją.

Bill, tak niespodziewanie uratowany od śmierci, znalazł się w kole przyjaciół. Słyszał życzliwe głosy, czuł serdeczne dotknięcia. Zjawił się Leniwy Wilk i ścisnął go za rękę.

- Myślałem, że świat zubożeje o jedno mężne serce - powiedział.

- Jestem szczęśliwy, że cię los oszczędził, Tenney.

- Gdyby nie wy, już bym nie żył od wczoraj - odparł Bill, i mówił prawdę. - Wyście odwlekli egzekucję, a tymczasem zjawił się Rusty. Na Boga, człowieku, jak ci ludzie kochają Sabina! Nie dziw, że chcieli mnie rozerwać na sztuki.

- Tak, kochają go i - potrzebują. - Leniwy Wilk pokiwał głową.

- Dodaj miłość do potrzeby, a otrzymasz jasny ogień. Szejeni są na razie olśnieni, ale co będzie gdy się okaże, że Rusty nie może wyleczyć tych nieszczęśliwców?

- Ano, właśnie. Co on może zrobić?

- Nie wiem - mruknął Leniwy Wilk.

- Mógłby urządzić hecę - zastanawiał się Bill. - Zamydlić im oczy.

- O, nie! Czerwony Sokół nigdy nie gra farsy. Nim co przedsięwzięmie, zawsze szuka natchnienia u Wielkiego Ducha. Będzie się modlił, coś mu zamajaczy pod czaszką - sen nie sen -

widzenie nie widzenie - i postąpi według wyroczni, czy jak to tam nazwać.

- A jeżeli widzenie nic mu nie powie?

- Ci, którzy łakną wiary, zawsze w coś uwierzą - odpowiedział Leniwy Wilk. - Musimy poszukać mojej córki. Gdy Czerwony Sokół oznajmił tłumowi, że jesteś jego bratem i że naraziłeś dla niego życie, zgarnęła włosy na twarz i zaczęła jęczeć, jakby konała. Chce cię zobaczyć, Tenney. Chce paść przed tobą na kolana i błagać cię o przebaczenie. Jeżeli jej nie przebaczysz wczorajszej zniewagi obetnie sobie włosy, pokraje ciało nożem, pójdzie się na pagórku za obozowiskiem i będzie zawodziła przez siedem dni i nocy. Krew szejeńska jest zapalna i burzliwa. Moja dziewczyna odchodzi od zmysłów. Boi się, że ją oskarżysz przed Rusty'm.

Tenney wybuchnął śmiechem.

Przepchnęli się przez rozradowaną, rozkrzyczaną ciżbę i znaleźli Błękitne Oko. Stała obok wigwamu z włosami, zgarniętymi na twarz, z głową żalobnie pochyloną. Gdy ojciec przemówił do niej po szejeńsku, podniosła nagłym ruchem twarz, ciemne włosy spłynęły na ramiona i - Bill Tenney oniemiał z zachwyty, bo teraz dopiero spostrzegł naprawdę, jak była piękna.

Podbiegła do niego z wyciągniętymi rękami, chcąc paść na kolana. Ale zdążył ją przytrzymać.

- Nie masz się czym przejmować - rzekł jak mógł najłagodniej. - Gdybyś mnie nawet obraziła, przebaczyłbym ci bez namysłu. Zresztą

już nie pamiętam, jak to było. Nawet gdybym chciał powiedzieć Rusty'emu, to nie pamiętam.

Błękitne Oko krzyknęła z radości wielkim głosem.

- Widzisz - rzekła do ojca - to nie tylko dzielny człowiek, to dobry człowiek. O! jaki łaskawy! Serce mnie boli, gdy pomyślę jak mu złorzeczyłam.

Wzięła w obie dłonie rękę Billa i serdecznie pogłaskała. Miała rączki silne i zarazem delikatne.

- Czerwony Sokół nie jest okrutny - ciągnęła - ale myśli bardzo dużo. Potrafi się przenieść myślą w inne strony. A ja nie chcę, żeby jego myśl oderwała się ode mnie.

Bill przeżył noc wrzawy i zamętu. Musiał chodzić z Rusty'm po całym obozowisku.

Tłum deptał im po piętach. Radosne śmiechy świadczyły o szczęściu, jakim był dla plemienia Szejenów powrót „czarownika”. Czerwony Sokół musiał wejść do każdego wigwamu, skosztować mięsa bawołu z każdego kociołka, dmuchnąć w każdą fajkę; przyglądać się dzieciom, które spoglądały na niego trwożnie, lecz z ufnością; brać na ręce niemowlęta; ścisnąć zwiędłe dłonie starcom i modlić się do Manitou. Żeby im dał zdrowie i przedłużył życie.

Wszędzie witano go uroczystym uciszeniem, jakby w oczekiwaniu natychmiastowego cudu.

Jeżeli wiara jest siłą, to zaiste Rusty mógł przenosić góry. Tak myślał Bill Tenney.

Wychodząc z któregoś wigwamu, Rusty rzekł do Billa:

- A Biały Koń, bracie? Gdzież on jest?

Pytanie poraziło złodzieja jak uderzenie obuchem. Nim odpowiedział musiał nabrać tchu i stanąć na mocnych nogach.

- Uciekł!

Cios był tak straszny, że Rusty w pierwszej chwili nie zrozumiał. Stał i spojrzał na Billa błędnym wzrokiem.

- Uciekł - powtórzył ten ostatni. - Zsiadłem w parowie, żeby się ochłodzić w potoku i akurat Szejenowie spadli na mnie jak sępy. Biały Koń zląkł się i uciekł. Wdarł się na stromy stok jak kozica i - zniknął. Bóg widzi, jak mi cię żal!

Rusty wyciągnął przed siebie ręce ruchem ślepcy, nie widzącego drogi.

- Biały Koń! - szepnął. - Biały Koń! Myślałem, że rozstaję się z nim na niewiele dni, a tymczasem już go nie ma. - Wszystko mnie opuściło!

Nagle czułość w nim wezbrała. Spostrzegł, że jest niedelikatny. Położył szybko rękę na ramieniu Billa, któremu łzy zakręciły się w oczach, i rzekł:

- Nie! Nie wszystko. Ty mi zostałeś, bracie. I przecież mam moje plemię - mam Szejenów - mam mój lud!

Pod wpływem cierpienia twarz mu się ściągnęła, jak gdyby postarzała. Ale zawołał mocnym głosem.

- To moje szczęście. W moim ludzie moje szczęście. Ach, Manitou, rozszerz moje serce, żeby starczyło w nim miejsca dla

wszystkich Szejenów, młodych i starych. - Daj mi moc! Daj mi moc, żebym mógł ich wspomagać w każdej niedoli!

Udał się prosto do namiotów chorych. W trzech dużych wigwamach leżeli oddzielnie mężczyźni, kobiety i dzieci.

Najpierw zajrzał do dzieci. Słabe głosiki powitały go cienkim isticie ptasim świergotem. Straszna była i rozrzewniająca ta ufna wiara calców w potężnego białego Indianina.

Tylko chłopiec, który na placu podpełznął do nóg Billa, nie mógł się jóż ruszyć. Leżał na wznak jak trup i zdawał się uśmiechać pomarszczonymi policzkami.

Tenney pomyślał, że ten drobiazg wymrze z pewnością co do nogi i że będzie to niejako winą Rusty'ego Sabina.

Wyszedł z namiotu z pochyloną głową. Gdyby umiał się modlić, byłby to w tej chwili uczynił.

XIX. GŁOS WIELKIEGO DUCHA

Rodzice; chorych dzieci siedzieli przy nich nieruchomo w kucki niby żałobne pomniki.

Ale ruszą się pewnie - myślał Bill. - Niech tylko Rusty zacznie wyskakiwać i podrygiwać. Sabin był u Szejenów znachorem i czarownikiem, a Bill Tenney wiedział, że znachorzy tańczą, wyją i wiją się podczas zamawiań jak w konwulsjach.

Ale Rusty nawet ust nie otworzył, tylko długo - i długo wpatrywał się w chorych. Choroba objawiała się szarą bladością skóry - o ile Indianie mogą być bladzi - i przede wszystkim dziwną zmianą

w oczach. Białka, u zdrowych ludzi przeświecające, u nich były matowo białe, jak farba lub śnieg.

Rusty opuścił namiot w towarzystwie Billa. Szedł za obozowisko w kierunku niskiego pagórka. Stąd Bill zobaczył całą wioskę jak na dłoni w kształcie kręgu światełek.

- No, i co teraz? - zapytał.

Ale Rusty podniósł rękę na znak milczenia. Rozpaliwszy mały ogienek z suchych patyków, które wyłamał z krzaka, zdjął koszulę i usiadł na ziemi przed ogniskiem. Rzucił w płomienie garstkę pachnącej trawy z woreczka przy sobie, a gdy gęsty, wonny dym wzbił się w górę skąpał w nim całe ciało. Ognia starczyło tylko na ceremonię oczyszczenia. Rusty podniósł się z rękami wzniesionymi ku niebu.

Długo stał tak bez ruchu, jakby skamieniał. Tenney'owi przemknęło przez myśl, że przyjaciel musi być z żelaza, skoro może wytrwać tak długo w tej postawie. Raptem Rusty złapał szybko powietrze i Bill, obejrzawszy się, zobaczył na wschodzie bladą smugę światła, które w oczach przemieniło się w rąbek białego ognia i za chwilę zza widnokręgu wypłynęła pełna tarcza księżyca, ogromna, złocista.

Sabin „wydał cichy jęk ulgi i padł na ziemię, jak długi, dysząc ze zmęczenia. Uroczysta groza padła na Tenney'a. Czegoś podobnego nie zaznał dotąd w życiu. Modlitwa Rusty'ego była jak ciche czary. Tenney nie hołdował przesądom, jednak ten wschodzący księżyc

napawał go dreszczem. Jeżeli modlitwa go wywołała, to może zniknie jak tchnienie z ust, jak lotny opar?

Ale złota tarcza wznosiła się na niebo, świecąc potęgującym się blaskiem. Falista dał prerii występowała?. mroku. Tenney. Szczelnie owinięty w bawolą skórę, gdyż noc była chłodna, czekał na dalszy ciąg. Spodziewał się jeszcze większych dziwów.

Rusty wstawał z ziemi co jakiś czas i w cichej modlitwie wznosił ręce do nieba. Ale nic się nie działo. Za każdym razem padał na ziemię coraz bardziej wyczerpany i coraz dłużej odpoczywał.

Raz odezwał się po szejensku, a raz po angielsku - do siebie - ale tak głośno, że Bill usłyszał:

- Wielki Duchu, one głodne. Powiedz mi, co mam dać jeść moim dzieciom!

Rusty Sabin wszystkich miał za swoje „dzieci”, biednych, zagłodzonych malców, zwiędłe kobiety i wojowników, których zżerała tajemnicza choroba.

Po co ten człowiek harował wśród białych jako prosty kowal, kiedy tu wielkie plemię Szejenów gotowe jest czcić go jak króla i kapłana?

Robiło się coraz chłodniej i Bill dygotał mimo bawolej skóry. A jednak Rusty, jakkolwiek na pół nagi, zdawał się nie odczuwać zimna. Wstawał wciąż i podnosił ręce, które chwiały się ze zmęczenia i opadały powoli własnym ciężarem. Więc osuwał się na ziemię, odpoczywał i ponawiał wysiłek.

Szary świt rozlał się na krawędzi nieba i równina stała się nagle rozległa jak bezbrzeżne morze. Księżyc, stojący u zenitu, przybrał kształt obłoku. Rusty znów dźwignął się z ziemi. Stał z minutę, gdy go podrzuciło, jak w konwulsjach. Bill spojrzał szybko w kierunku jego wzroku. Wysoko w górze kołysał się na rozpostartych skrzydłach król ptaków, orzeł. Niebo przez przeciwieństwo do ziemi wydawało się dziwnie jasne. Jeszcze wyżej szybował drugi orzeł.

Raptem pierwszy runął na ziemię jak pocisk, tak niedaleko od pagórka, gdzie stali przyjaciele, że Tenney usłyszał kwik rozdieranego królika, podobny do wrzasku niemowlęcia. Ogromne skrzydła otworzyły się z odgłosem, ostrym jak wystrzał i za chwilę wielki ptak wzbijał się w górę wolnym wirowym lotem.

Niewysoko się podniósł, gdy spadła nań niespodzianka. Drugi pirat powietrzny zleciał ze złożonymi skrzydłami. Bill słyszał po prostu świst powietrza. Pierwszy orzeł z królikiem w szponach spostrzegł jakimś sposobem, co mu grozi i odwrócił się w powietrzu na grzbiet jak pływak w wodzie. Królik wypadł mu ze szponów i leciał na ziemię, a tymczasem orły, zapominając o zdobyczy, biły się w powietrzu z gniewnym wrzaskiem. Nieżywy królik uderzył o ziemię o niecałe trzy kroki od Billa. Rusty doskoczył i porwał puszyste krwawe szczątki. Był tak wyczerpany, że chwiało się na nogach, ale szczęśliwy. Głosem, w którym drgała radość, podziękował Wielkiemu Duchowi, że wysłuchał jego modlitwy.

- Więc to jest odpowiedź? - zapytał trwożnie Bill, chory z wrażenia. - Więc chorzy mają to jeść? Taka jest odpowiedź Manitou?

Rusty potrząsnął głową.

- Wielki Duch przemawia dziwnym językiem, bracie - odpowiedział. - Słowa i znaki mają sens ukryty. Patrz, co nam spadło z nieba. Królik jest wypatroszony. Wnętrznosci nie ma. Cóż się z nimi stało? Orzeł zabrał na szponach. W tym kryje się odpowiedź. Chorzy, żeby przyjść do siebie, mają się żywić nie mięsem, lecz wnętrznościami.

- Stój! - przerwał Bill. - Nawet głodomór nie skusi się na takie żarcie!

- Masz słuszność. Nie możemy im dać nieczystego jada. Ale wątroba jest czysta. Na preriach żyje mnóstwo bawołów. Trzeba na nie zapolować i nakarmić chorych świeżą wątrobą. - Jeżeli się mylę, będę musiał drugi raz zanieść modły do Wielkiego Ducha.

Niebawem cała wioska była na nogach i gromada myśliwych na najszybszych koniach wyruszyła na łowy z Billem pośrodku. Rusty Sabin poszedł do chorych oczyścić ich wyziewami wonnych traw, co miało być przygotowaniem do kuracji. Bili tymczasem, któremu naczelnik wojenny, Stojący Byk, użyczył swego najlepszego konia, bujał z Szejenami po prerii. Nie potrzebował rozumieć ich języka, żeby się poznać na ich nieporównanym sprycie łowieckim. Gdy stado zostało osaczone, myśliwi przypuścili wspaniałą szarżę do zbitej masy bawołów.

Bill dobrze jeździł konno, mimo to nie mógł się równać z tymi brązowymi wojownikami, którzy wjeżdżali na mustangach w środek stada i strzelali! do ogromnych zwierząt z odległości paru kroków.

Ale choć jako jeździec sporo pozostawiał do życzenia, jako strzelec był świetny. Zabił trzy krowy. Jednak spuścił z tonu, gdy Stojący Byk, wzgardziwszy strzelbą, wpadł między stado z dzikim wrzaskiem i jął razić bawoły z potężnego łuku. Jedna strzała - Bill widział na własne oczy - przebiła na wylot krowę.

W końcu stado zbiegło, ale na zielonym poboju leżały, jak okiem sięgnąć, pomordowane bawoły. Myśliwi, jeżdżąc to tu, to tam, wyszukiwali swoje łupy i kładli na nich znaki. Go do sztuk zabitych strzałami, nie było biedy. Nieporozumienia wybuchały nad ofiarami kul. Te rozstrzygał Stojący Byk.

Kobiety, które ciągnęły w tyle z luzakami, nadjechały z pośpiechem i zabrały się do rozbierania bawołów. Po uciechu myśliwskiej, Billa ogarnęła radosna świadomość obfitości. Powiedział sobie, że nie wyrzeknie się tego życia. Wracał do wioski z olbrzymim udźcem na łęku.

Nie wierzył, żeby wątroba mogła co pomóc chorym Indianom. Jeszcze wtedy nikt nie wiedział, że świeża wątroba jest lekarstwem na anemię. Skutki kuracji uwidoczniły się, o dziwo! w ciągu dnia. Szara bladość ustępowała z twarzy dogorywających nieszczęśników. Na drugi dzień Bill Tenney był świadkiem, jak chłopiec, który z takim trudem przypełznął do jego nóg w dzień egzekucji, wstał i chodził, jakkolwiek kolana się pod nim ugięły.

Na ten widok Bill przestał wątpić. Stał się cud, oczywisty cud. Bill zdumiewał się, że Szejenowie przyjmują to tak spokojnie.

Leniwy Wilk mu to wytłumaczył.

- Spodziewali się tego po Czerwonym Sokole - rzekł. - Wierzą, że Manitou słyszy każdą jego modlitwę i są przygotowani na największa cuda. Nic by ich już teraz nie zdziwiło. Gdyby na ich oczach zamienił się w słup dymu, zamruczeliby tylko i zasłonili usta.

- Ale jak on to zrobił? - Jak się to mogło stać - pytał Bill Tenney.

- Skąd ja mogę - wiedzieć? Trafił przypadkiem i w ogóle ma szczęście. Udało się. Czerwony Sokół bardzo się z tego cieszy. Uważa to za rodzaj przyrzeczenia.

- Jakiego znowu przyrzeczenia?

- Widzisz, ostatnio spotykały go same nieszczęścia. Ojciec go opuścił, dziewczyna zdradziła. Koń przepadł. Tłumaczył to sobie tym, że Wielki Duch odwrócił od niego swe oblicze. Ale teraz chorzy odzyskują zdrowie. Plemię się raduje. Dla Czerwonego Sokola jest to znak, że Manitou przywraca go do łaski. Zdaje się nieborakowi, że widzi już swoją dziewczynę jak śpieszy do niego na Białym Koniu.

Tenney potarł się pięścią po brodzie.

- Czy dla was to wszystko nie jest odrobinę niesamowite? Chyba nie wierzycie - w nadzwyczajności, w cuda i czary?

Leniwy Wilk zmierzył go przenikliwym spojrzeniem.

- O, zdarzają się dziwy - odpowiedział. - Jeżeli człowiek ma szczerą wiarę, na pewno dokaże dziesięć razy więcej niż inni.

XX. MĄDRA KOBIETA

Indianin, gdy mu się dola uśmiecha, wyraża swoją radość uczynkami dobroci. Taka już jest jego natura. Bill Tenney prędko zrobił to odkrycie. Zaczęło się jak na komendę.

Tego rana Bill odpoczywał w namiocie Leniwego Wilka, który przyjął gościnnie do siebie obu białych przyjaciół. Leżąc na stosie skór bawolich, łagodzących twardość ziemi, wspierał się wygodnie barkami o haftowaną podpórkę. Blisko wejścia Błękitne Oko naszywała paciorkami mokasyny. Pracowała pilnie z uśmiechem na ustach. Wprawne paluszki wykonywały misterną robotę instynktownie, bo oczy chodziły swobodnie naokoło.

Co jakiś czas uśmiech jej i spojrzenie zatrzymywały się na Billu, ale częściej spoglądała na ojca i Czerwonego Sokoła. Bill rozumiał, że to obecność Rusty'ego zapala w jej twarzy łunę szczęścia. Jeżeli uśmiecha się do niego, obcego przybysza, to dlatego, że spogląda z radosnym sercem na cały świat.

Bill Tenney, porażony jej niebieskimi oczami, zaczynał nienawidzić Rusty'ego Sabina tak bardzo, jak to tylko potrafił zazdrosny kochanek.

Siedząc na ziemi Rusty słuchał gadaniny Leniwego Wilka. Ten, rozparty leniwie jak przystało jego imieniu, z wyściełaną podgórką pod ramionami, prawił jak najęty, przeskakując z tematu na temat. Opowiadał o traperce na zimnej północy, o wyprawach handlowych na płomiennych pustyniach południowego zachodu, głównie zaś o swoich przeżyciach wśród białych rodaków. Rusty przysłuchiwał się tym opowieściom z dziecinnym zaciekawieniem. Rozciągnął się na brzuchu, wsparł brodę na rękach i nie odrywał oczu od Leniwego Wilka. W tej chwili robił wrażenie małego chłopca. Może dlatego Błękitne Oko marszczyła lekko brwi i potrząsała głową.

Ale go kochała. Wiedziała, że zawsze będzie wybawicielem plemienia, przyjacielem Wielkiego Ducha, mężnym wojownikiem i pogromcą Białego Konia.

Tenney, pełen gwałtownej zazdrości, spoglądał spode łba. Namiot był zavalony wszelakim bogactwem, gdyż Leniwy Wilk, jako kupiec i tłumacz, zawsze miał na składzie indiańskie towary. W kątach leżały nie rozpakowane bele derek i skór. Nawet wewnątrz było wymalowane w jaskrawe indiańskie malowidła. Bill wypatrzył sześć strzelb, kilka krocie, skrzynki z amunicją; malowane kosztowne skóry, ozdobne łoża z wierzbiny, sprzęt rybacki. Nie brakło również suszonego mięsa i czubatych koszy ze zbożem i korzeniami, jako też zapasu odzieży dla ojca i córki.

Bogactwa ciągną do bogactw. Zaraz się to okazało. Przed wejściem rozległ się męski głos i do namiotu wkroczył olbrzymi Stojący Byk, naczelnik wojenny. Był w pełnym rynsztunku galowym. Przez ramię trzymał pierzastą tarczę z tęgiej skóry wołowej, może nieprzenikliwej dla kul, w rękę dzidę. Opończa z frędzlami barwiła się delikatnym deseniem z kolorowanych kolców jeżozwierza; mokasyny i nogawki były przybrane tak samo kolorowo. Dojrzałość wypisała na twarzy wielkiego wojownika więcej szram niż boje. Lecz gdy przemówił do swego najserdeczniejszego druha, Czerwonego Sokoła, srogie rysy złagodniały. Czerwony Sokół zerwał się na równe nogi. Czegoś tam nie chciał. Protestował. Ale naczelnik tylko się uśmiechnął i wyszedł.

Błękitne Oko spojrzała na Billa Tenney'a.

- Stojący Byk mówi - wyjaśniła - że Szejenowie niosą Czerwonemu Sokołowi dary w podziękę za to, co zrobił. Ale Czerwony Sokół nie chce darów. Gdyby nawet był goły jak zima, nie chciałby darów, bo w sercu jego nie ma dumy.

Jednak Rusty musiał wyjść przed namiot i przyjmować nadchodzących. Jedni szli z darami, inni cisnęli się patrzeć. Wszyscy chorzy, przychodzący do zdrowia, zdobyli się na dowody wdzięczności. Jeden wojownik przyprowadził kilkanaście koni. Inni wiedli konie juczne obładowane bronią palną, toporkami, nożami, paciorkami, mąką, cukrem (cukier Indianie cenili na wagę złota), futrami, skórami garbowanymi lub malowanymi, skórami łań, miększymi od flaneli, mokasynami, opończami z haftem paciorkowym i wszelkim dobrem indiańskim. Niebawem przed wejściem do wigwamu piętrzył się ogromny stos.

Czerwony Sokół wszedł do środka i usiadł z chmurą na twarzy. Błękitne Oko wniosła ciężkie dary, utykając je gdzie się dało. Śmiała się i dyszała. Ale śmiech był cichutki, żeby mężczyźni - panowie świata - mogli spokojnie myśleć. Tenney pomógł jej z cięższymi przedmiotami.

- Dzięki ci, bracie - szepnęła.

Bill nauczył się już wielu słów szejeńskich i rozumiał, że wszyscy pozdrawiają go tym samym mianem. Ponieważ Czerwony Sokół nazywał go „bratem”, całe plemię Szejenów uznało go za brata. Dlatego zapraszali go do wigwamów, dlatego dzieci brały go za rękę, tak jak Czerwonego Sokoła. Dlatego wczoraj któryś z wojowników

wziął jego zwykłą skórę bawoła, dając mu w zamian bezcenną, malowaną, godną umieszczenia w muzeum. Inni obdarowali go mokasynami, nożami, strzelbami... Gdyby chciał, mógł założyć własne gospodarstwo. Był więc „bratem” także dla Błękitnego Oka, choć od niej wolałby słyszeć inne nazwanie.

Gdy już wszystko było ułożone, Leniwy Wilk spytał Czerwonego Sokoła:

- Czemu jesteś smutny? A Rusty odpowiedział:

- Oni mnie kochają i ja ich kocham, ale wszystkie ich dary, wszystka ich dobroć nie może napełnić mojego pustego serca.

- Czemu twoje serce puste?

- Miałem białą dziewczynę - odpowiedział szczerze Rusty. - Ale mi kazała iść precz. Dałem jej zielonego żuka na znak naszej miłości, ale mi go odesłała, na znak, że mnie nie kocha.

Bill Tenney słyszał tę rozmowę. Błękitne Oko również. W tym miejscu podniosła nagle głowę od paciorków-

- Dlaczego mówisz tak, jak nie jest? - zapytała.

- Mówię tak jak jest - odrzucił ponuro Rusty.

- Nie uwierzy ci - wtrącił Leniwy Wilk. - Ona by cię wzięła bez namysłu. Byłaby twoją drugą squaw lub trzecią i jeszcze by to sobie uważała za szczęście.

Błękitne Oko zerwała się z twarzą w płomieniach i chciała uciec z namiotu, lecz słowa ojca osadziły ją na miejscu.

- O tym chciałbym pomówić. Nie odchodź, Błękitne Oko i poprawiaj mnie, gdy będę mówił fałszywie.

Przystanęła przy wyjściu z rękami zaciśniętymi po bokach. Tenney dostrzegł wzruszenie dziewczyny. W twarzy jej gorzał wstyd i miłość. Przejmująca boleść ogarnęła Billa.

- Spójrz na nią, Czerwony Sokole - mówił Leniwy Wilk. - Zresztą nie potrzebujesz patrzeć na biedną dziewczynę. Powinieneś ją dobrze mieć w pamięci i odpowiedzieć bez patrzenia. Ojciec cię opuścił, mój chłopcze. Dużo dni upłynie nim Wiatronóg wróci do ciebie. Jego serce jest tak bliskie Ponim, jak twoje Szejenom, jak ciało kości. Zawsze przepadałem za tobą i gdybyś mógł wytrzymać z tłustym, starym leniem, rad bym cię mieć niedaleko siebie.

Jeżeli ta Maisry porzuciła cię, czemu wyzimasz serce jak mokrą szmatę? Możesz zeń wycisnąć dużo bólu, ale co z nadto to niezdrowo. Co się z ciebie w końcu zrobi? Przestań o niej myśleć. Dobre kobiety są podobne do siebie jak grochy w strąku. Błękitne Oko jest śniada, a tamta biała, ale przyjrzyj się, a poznasz, że i ona ma urodę. Patrz no na nią, Czerwony Sokole, i odpowiedz mi.

Rusty wstał, podszedł do dziewczyny, wziął ją za rękę i kazał usiąść obok siebie, przy ojcu.

- Co to ojciec mówi o tobie, Błękitne Oko - rzekł. - Manitou dał mi dobre oczy, to i widzę, że wśród Szejenek jest tylko jedna piękna dziewczyna. Smutna jesteś, dziewczeczko! Spuszczasz oczy i czoło twoje lśni kroplami potu. Powiedz mi, czemuś smutna? Czy Leniwy Wilk ma umilknąć?

Otarł jej czoło swoim czystym, białym skórzanym rękawem. Dziewczyna podniosła nagle oczy i powiedziała śmiało:

- Nie jestem smutna, ale widzę tyle szczęścia, że strach ściska mnie za serce. Tak myśliwiec spragniony na upale, gdy ujrzy wodę, lęka się czy go wzrok nie łudzi.

- Jesteś dobra dziewczyna, dzielna dziewczyna! - pochwalił ją Leniwy Wilk. - Na Boga, Błękitne Oko, jestem z ciebie dumny. Nie ma w tobie kłamstwa, nie ma obłudy. Widzisz, Czerwony Sokole, co to za skarb. Drugiej takiej dzielnej i prawej nie znajdziesz na całym świecie. A kocha cię od lat. Tylko sobie przypomnij. Jeżeli...

- Sza! - przerwał Czerwony Sokół. - Prawda to, Błękitne Oko? Jakież byłem głupi, jaki ślepy. Ale przypominam sobie coś niecoś. Wtedy gdy jechałem do Świętej Doliny w gotowości na śmierć, zatrzymałaś mnie po drodze. Pamiętam. - Teraz przypominam sobie wiele rzeczy.

Pieścił jej rękę, zaglądał w twarz z powagą i uczuciem.

- Posłuchaj mnie, Czerwony Sokole - zabrał znów głos Leniwy Wilk - skoro Maisry tobą wzgardziła, pojmij za żonę Błękitne Oko. W niewiele lat będziesz miał wigwam pełen dzieci i będziesz szczęśliwy jak inni. Czego więcej żadasz? Domy, dywany i szklanki na stole nie stanowią o szczęściu. Wśród białych możesz do końca życia być kowalem, wśród Szejenów jesteś wielkim naczelnikiem. I Szejenka chce cię na męża. Czemu jej nie bierzesz?

Poważna zaduma nie schodziła z twarzy Czerwonego Sokoła.

- Więc mam cię wziąć, Błękitne Oko?

Billowi krew uderzyła do głowy. W uszach miał przykry szum. Czekał na odpowiedź dziewczyny. Zobaczył, że usiadła prosto i nie spuszcza oczu z Sabina.

- Jeżeli nie jesteś mi miły - zaczęła - to czemu co rok składam na ofiarę najlepszą szatę z paciorkami, jaką potrafię uszyć? Czemu modłę się do Manitou, żeby nakłonił do mnie twoje serce? - Ale ja znam twoją naturę. Miałeś jednego ojca i skoro go odnalazłeś, jemu oddałeś całą synowską miłość. Miałeś wiele koni, lecz gdy upolowałeś Białego Konia, przestałeś patrzeć na inne. Porzuciłeś swój lud, żeby iść za ojcem. Niebawem porzucisz Szejenów, żeby szukać Białego Konia. W twoim sercu może się zmieścić tylko po jednej miłości każdego rodzaju.” Jeżeli mnie pojmiesz za żonę, może się zdarzyć, że spotkasz znów Maisry i wtedy wszelka myśl o mnie wycieknie z twego serca, jak woda z kosza, w którym można trzymać tylko zboże.

- Tak! - rzekł cicho Czerwony Sokół. - Mądrze mówi. Jak stary wojownik na radzie. Zaiste mądrzej od znachora. Błękitne Oko - rzekł cicho Czerwony Sokół - piękna jesteś i mądra. Masz połowę białej krwi, a indiańska domieszka czyni cię tym piękniejszą. Prawda, że inna twarz wciąż mi się nasuwa na oczy i przesłania twoją. Staram się zobaczyć ją nachmurzoną i wzgardliwą, ale przypominam sobie tylko uśmiechy. Jednak twój ojciec jest starszy i mądrzejszy ode mnie. Jeżeli potrafisz być ze mną szczęśliwa, to się pobierzemy. Błękitne Oko długo się w niego wpatrywała.

- Nie chcę malować na wodzie - rzekła. - Nie chcę powierzać mego szczęścia zmiennym wiatrom. Wyjdę przejść się i podumać.

Z tymi słowy podniosła się i wyszła.

- Widzisz, jaka mądra i jaka dobra! - rzekł Rusty do Tenney'a. Bill nie mógł dobyć głosu. Miał uczucie, że ktoś wpycha mu pięść do gardła.

- Wróci - zauważył Leniwy Wilk - gdy blask słońca przekona ją, że nie jest ofiarą złudy.

Ale dziewczyna nie wracała. Wieczór się zrobił, a ona nie wracała. Gdy zaczęto pytać, czy jej kto nie spotkał, młody wojownik, pełniący tego dnia wraz z innymi wartę w obozowisku, zawiadomił, że widział jak jechała na południe na srokatym koniu.

- Pojechała gdzieś dalej, żeby mieć spokój. Buzia śliczna, ale i główka nie od parady - zawyrokował Leniwy Wilk.

XXI. BOGOWIE DESZCZU

Błękitne Oko wyprawiła się w istocie bardzo daleko. Jechała szukać prawdy. Jechała na południe do krainy ciepła i wygody, ale ponieważ szukała prawdy, musiała znaleźć zgryzotę. Bo takie jest ludzkie przeznaczenie.

Jechała do Fortu Marstona, do Maisry. Wiedziała, że dopiero wtedy uwierzy w swoje szczęście, gdy usłyszy z własnych ust wyrok na Czerwonego Sokoła.

Droga rozpoczęła się nieszczęśliwie. Pewnie niebo spojrzęło na dziewczynę niechętnym okiem, bo przed ranem lunął gwałtowny deszcz, po którym sypnął ciężki, gruby grad, niebezpieczny dla ludzi i koni.

Dziki mustang, na którym jechała Indianka, chciał się na gwałt pozbyć swego ciężaru, ale równie dobrze mógł próbować wyprysnąć ze skóry. Zmordował się, a ona siedziała jak przykuta.

Ziarna gradu raziły niby kamyki, ciskane niepewną ręką. Preria szumiała od ciężkiej młocki. Niebieskie pociski siekły dziewczynę po całym ciele. Jeden, wielkości małego jajka, wyciął ją w czoło między oczami, przecinając skórę. Krew pociekła, ale dziewczyna jechała dalej. To był prawdziwy cios z nieba.

Gładka preria przeszła w urwiska i wertepy. Ptaszyna schroniła się do dzikiego jaru, na którego dnie leżał wielki głaz. Objechała go i stanęła po stronie osłoniętej od wiatru. Koń kulił się do skały, a ona do konia. Obojgu było straszno, bo burza ryczała piekielnymi głosami.

W parowie pokazała się woda i szła w górę, zamieniając się w strumień. Prąd rwał coraz gwałtowniej. Z szumem i bulgotaniem. Mimo to dziewczyna nie ruszała się z miejsca, gdyż furia nieba była straszniejsza niż rwący potok na ziemi. Podniosła oczy i w tej chwili ogień błyskawicy poraził jej źrenice.

Zaczęła się modlić cichym, słodkim głosem, dosłyszalnym dla własnych uszu.

- Wielki Manitou - miej litość nade mną! Nie zabijaj mnie lodowymi kamieniami! Nie spalaj mnie ogniem niebieskim! Pozwól mi dobić do końca mojej drogi!

Potem szum potoku jął zagłuszać odgłosy burzy. Wtedy Błękitne Oko opuściła swoje schronienie i skierowała opornego mustanga do brzegu.

Wjechała w głęboką wodę, pełną wirów. Koń walczył o życie, kręcąc się w kółko. Ale zdołał się wydostać na ławicę, a stąd na łagodny stok, po którym wydrapał się na prerię.

W porównaniu z okropną, lodowatą chłostą gradu deszcz wydał jej się miły jak promień słońca. Ciepła woda nie wydaje się mokra. Dziewczyna chwyciła ustami krople deszczu, śmiejąc się cicho.

- Manitou wysłuchał mojej modlitwy - powiedziała do siebie. - Może ześle mi tyle - tyle - szczęścia, że zapełnię całe serce.

Deszcz ustawał, już tylko mżyło. Ale długo jeszcze było ciemno i mustang z klaskaniem wyciągał kopyta z grząskiego błota. Szarość świtu objęła od razu całe niebo.

Deszcz ustał. Indianka czuła niemal w ciele pęd wiatru, zamiatającego niebo z chmur. Słońce ukazało się na czystym błękicie dokładnie z boku na wschodzie i Błękitne Oko upewniła się, że nie zboczyła ze szlaku. Przez całą noc jechała prosto na południe.

Słońce wzbiło się wysoko. Pod wpływem ciepła ogarniała ją coraz większa senność. Pomyślała, że nie powinna stanąć przed białą dziewczyną w takim stanie. Toteż natrafiwszy na parów z nawieszka w kształcie dachu, zsiadła, spętała konia, żeby daleko nie poszedł, i legła na ziemi.

Ledwie dotknęła ciałem kamienistego gruntu, już spała. Usta uśmiechały się we śnie. Bóg zsyła tę szczególną łaskę tym, którzy się bardzo trują. Rozluźnione mięśnie powoli twardniały, a gdy się mocno sprężyły, nagle się ocknęła.

Niebo ziało żywym ogniem. Błękitne Oko zgrzana, trochę nawet zgorączkowana, usłyszała szmer bieżącej wody. Zdjęła więc opiętą odzież, spojrziała z bojaźliwym śmieszkiem po pustym niebie i pustyni parowie i skoczyła do rozlewiska popływać.

Dawała nurka na samo dno, dotykając lepkiego mułu i wielkich, kanciastych głazów. Oliwkowe, z lekka różowe ciało, to migało na powierzchni, to ginęło pod wodą.

Osuszyła się indiańskim zwyczajem, uderzając po skórze bokiem dłoni. Miała mięśnie twarde jak chłopak, ale przy tym natura użyczyła jej wdzięcznie kobiecych kształtów.

Wiedziała, że była piękna, gdyż każda kobieta zdaje sobie sprawę ze swego wyglądu. Wiedziała, jak jej pięknie w obcisłych strojach z cienkiej skórki. Dlatego była pełna dziecinnie kobiecego zdumienia, jak Czerwony Sokół może na nią patrzeć spokojnie, brać ją za rękę i przemawiać do niej jak brat.

Znała naturę mężczyzn, bo wielu ich widywała i nauczyła się sztuki niezważania na zaczepne spojrzenia, sztuki właściwej wszystkim dobrym kobietom. Ale obojętność Czerwonego Sokoła zastanawiała ją głęboko. Po kąpieli dosiadła konia i jechała dalej. Po jakimś czasie nad krawędzią płaskiego widnokregu wyrosły zarysy Fortu Marstona. Gdy ukazały się spiczaste dachy domów, dziewczynę przeszło drżenie. Biali napawali ją obawą.

XXII. DWA SMUTNE SERCA

Wjeżdżając do osiedla, spotkała mężczyznę z ciężkim workiem na plecach. U białych mężczyźni pracują jak kobiety. U białych w

ogóle wszystko jest na opak. Zapachy jada z domów, zapachy na ulicy budziły w niej odrazę.

- Możecie mi powiedzieć, gdzie tu mieszka Maisry? - zapytała po angielsku niemal poprawnym akcentem przechodnia z ciężarem.

- Ja tam nic nie wiem - odburknął. - Pilnuję swojej biedy. I oddalił się powoli, uginając się trochę w kolanach.

Błękitne Oko zbита z tropu, pojechała dalej. Niebawem znalazła się w głównej ulicy. Domy spoglądały na nią szeregami oczu. Ulica była wyjeżdżona w mnóstwo krętych kolein, czarnych od deszczu. Tu i ówdzie błyskały w słońcu kałuże. Że też ci ludzie tkwią w jednym miejscu, przy jednym szlaku, kiedy mogliby wędrować swobodnie po całej ziemi jak długa i szeroka! Że też stawiają takie domy, które siedzą w ziemi jak stare bawoły w bagnie, zamiast używać lekkich, zacisznych wigwamów, dających się składać i przewozić szybko na koniach po bezbrzeżnych równinach!

Zza zakrętu wypadł kawalerzysta na rozbrykanym koniu. Błękitne Oko chętnie by zakryła twarz i minęła go wstydliwie. Ale nie miała z sobą okrycia i zresztą musiała pytać o drogę. Podniosła przeto prawą rękę na znak pozdrowienia, tak jak to czynią Indianie i jej szczere oczy spojrzały prosto w zuchwałe oczy sierżanta.

- Hej! - pozdrowiła go w swojej mowie.

- Hola, kochaneczko! - odpowiedział.

Poczuła się głęboko dotknięta, lecz w twarzy jej nie drgnął ani jeden mięsień.

- Można zapytać, gdzie tu mieszka Maisry?

- Możesz zapytać, gdzie ja kwateruję. Chętnie bym cię przyjął w każdej chwili. Zapytaj tylko o sierżanta Tima O'Connora, a każdy ci powie. Będę na usługi. Do wszystkich diabłów, tylko pytaj, a zawsze będę na usługi.

Indianka drżała z odrazy.

Dziewczyna nie zdejmując z niego oczu powtórzyła:

- Mogę zapytać, gdzie szukać Maisry? Sierżant stropił się.

- Zajedź do baraku z dwoma kominami na rogu fortu. Tam znajdziesz Maisry, córkę Lesterów. Jeżeli to jej szukasz.

Odjechał z pluskiem i hałasem, bo spod kopyt konia tryskały fontanny wody.

Błękitne Oko pojechała do domu o dwóch kominach. Na progu w otwartych drzwiach siedziała młoda dziewczyna, robiąc coś na migocących w słońcu drutach. Głowę miała schyloną i Indianka poznała, że ta dziewczyna nie jest szczęśliwa.

Nim jeszcze podniosła głowę, wiedziała już, że to Maisry.

Indianka zsiadła z konia. Biała dziewczyna wstała. Obie były jednakowego wzrostu, lecz Maisry miała na sobie brzydką suknię z wzorzystego kretonu. Ale Błękitne Oko wiedziała, gdzie patrzeć. Spojrzała na ręce, nogi i szyję. Dla Indian uroda nie polega na rysach twarzy, a tym więcej na stroju. Indianka oceniła Maisry oczami natury.

- Jesteś Maisry? - spytała.

- Tak.

Głos Maisry wstrząsnął Indianką silniej niż piękność. Był tak miły, słodki i łagodny, że zabrzmiał w jej uszach jak muzyka, cudna a nienawistna. Zamęt myśli szumiał jej pod czaszką. Długo stała i patrzyła z wielką goryczą. Toteż zapytała krótko i prosto:

- Czy ty go chcesz?

- Czy go chcę? - powtórzyła biała dziewczyna.

Próbowała się uśmiechnąć” lecz srogie oczy nieznajomej napędziły jej strachu.

- Tak. Czy chcesz go, czy go odrzuciłaś? Maisry chwilę patrzyła, wreszcie krzyknęła:

- Mówisz o Rustym Sabinie?

- Mówię o Czerwonym Sokole, wielkim naczelniku i czarowniku! - wołała Indianka. - Czy to prawda, że Czerwony Sokół patrzył na ciebie oczami miłości?

Zobaczyła, że Maisry łapie oddech i mieni się na twarzy.

- Czy to prawda, że jesteś głupia? - Czy to prawda, że go odrzuciłaś?

- Nie - wyrzuciła z zaciśniętego gardła Maisry.

- Kłamiesz - ciągnęła. - Bo ja wiem o wszystkim. Dał ci zielonego żuka - swój amulet, swoją siłę, pamiątkę po matce, a z tym wszystkim swoją duszę. Aleś mu go zwróciła. Śmiałaś się i oddałaś mu jego skarb! Czy nie masz wstydu?

Maisry zbladła. Myślała o tym, co jej mówił major Marston. Zaczynała się domyślać, że padła ofiarą intrygi. Tymczasem Indianka mówiła:

- Jeżeli ty nie chcesz, to ja go wezmę. Zostanę jego squaw i jego dzieci będą rosły w moim ciele jak zboże w ziemi.

- Oddałam mu zielonego żuka, bo prosił o zwrot - rzekła Maisry.

- Przysyłał, żebym oddała.

Błękitne Oko otworzyła usta i chciała krzyknąć: „kłamiesz!” Ale zabrakło jej głosu.

- Posłaniec mówił tak, jak nie było - rzekła.

- To był major Marston. On nie mógł skłamać! - zakrzyczała Maisry. - On...

Umilkła, gdyż Indianka podniosła rękę na znak, że ona chce coś powiedzieć.

- Słuchaj, Maisry. Siedziałam w wigwamie. Słyszałam Czerwonego Sokoła. Czułam w jego słowach ciężkie serce... O, bo jemu serce ciąży więcej niż zmęczonemu człowiekowi. Mówi, że kazałaś mu iść precz, że zwróciłaś mu zielonego żuka, w którym siedzi jego dusza. Czy słyszysz?

- Słyszę - szepnęła Maisry.

- A potem obiecał, że mnie pojmie za squaw. Ujął mnie za rękę i zajrzał mi w oczy, ale nie jak kochanek patrzył, lecz jak brat. Mogę wrócić do Szejenów i pojąć go za męża. Mogę mu oddać rękę i całą siebie. Mogę zostać matką jego dzieci. Ale czy mi obiecasz, że nigdy nie zwabisz go do siebie słowem lub spojrzeniem? Łzy pociekły z oczu Maisry.

- Cóż ja mogę zrobić? - odparła. - Jakże ja mogę ci go odebrać? Błękitne Oko ujęła Maisry za delikatną rączkę. Sama miała ręce

stwardniałe od ciężkich robót. Dźwiganie ciężarów nadało jej prostą postawę, a przeświadczenie o sławie Szejenów napoiło serce wielką dumą. Więc silna ciałem i duszą, mówiła do Maisry:

- Jak długo będzie do mnie należał, jeżeli go wezmę? Biała krew lgnie do białej. Jeżeli go wezmę, jak długo pozwolisz mi go zatrzymać? Myśl o tobie będzie dla niego tym, czym jest wycie dzikich wilków dla oswojonego. Podniesie głowę i zniknie w ciemnościach nocy i nigdy go już nie zobaczę. Taki człowiek nie będzie chciał dwóch żon. On ma wszystkiego po jednym: jednego przyjaciela, jednego konia, jeden nóż i żonę pojmie tylko jedną.

Nagle siły opuściły Indiankę. Zapłakała rzewnymi łzami. Maisry była tak piękna - taka piękna - że patrząc na nią, szejeńska dziewczyna zważyła o swoim szczęściu.

XXIII. TAK, JAK NIE JEST

Prawdziwa sympatia zdarza się między kobietami rzadko. Sympatia pomiędzy Błękitnym Okiem i Maisry wydawała się niemożliwością, gdyż Indianka, patrząc na białą dziewczynę, musiała uwierzyć, że jej Rusty'ego nie zabierze. Mężczyźni nie miewają takich przebłysków intuicji.

Cudem byłoby, gdyby mężczyzna zaniechał goryczy tak szybko jak młoda Indianka. Może łyzy wymyły jej z serca zazdrość, zostawiając sam czysty smutek. Maisry ostrożnie objęła rywalkę w pól. Czowała bicie jej serca i przyspieszony oddech. Bała się jej trochę, ale i pożałowała biedaczki.

- Nie nienawidzisz mnie? - spytała.

- Walczę z sobą. Przed chwilą cię nienawidziłam i znów znienawidzę - odparła Błękitne Oko.

I wbrew tym słowom, opuściwszy głowę na ramię Maisry, objęła ją mocno w pól i zapłakała bezgłośnie. Indianki zawodzą głośno jedynie po umarłych, poza tym żal ich jest niemy.

Tak zastała dziewczęta stara Marta. Jak zwykle narobiła krzyku:

- Maisry! Indianka! Okropna, czerwonoskóra... Maisry, chodź mi natychmiast do domu! Mężu, chodź no to zobaczyć... Maisry podniosła głowę. Dobroć jej była tak wielka, że więcej w tej chwili bolała nad rozpaczą Szejenki, niż radowała się własnym odzyskanym szczęściem.

- Mamo - rzekła - muszę się zobaczyć z majorem Marstonem. Niech mama poprosi ojca, żeby poszedł po niego do fortu.

- Po majora Marstona? A dobrze, dobrze - zgodziła się matka.

Ucieszyła się. Naturalnie. Po całych dniach myślała o majorze, dziękując Bogu, że takiego wspaniałego człowieka postawił na drodze jej córki. Wbiegła więc do domu (jednocześnie Maisry wprowadziła Indiankę), wołając do męża:

- Biegnij zaraz po Marstona. Niech tu natychmiast przyjdzie. Maisry prosi. Pierwszy raz się o niego upomniała. Może się wreszcie namyśli.

Ryszard Lester podniósł oczy z nad książki. Miał twarz pełniejszą, poprawiał się z dnia na dzień.

- Owszem, pójdę po majora - odpowiedział. - Ale nie łudź się, że Maisry przekona się do niego.

Ale poszedł niezwłocznie do fortu i wrócił w towarzystwie majora.

Major nie zdziwił się, że Maisry zajęła się tak troskliwie nieznaną Indianką. Wiedział, że miała litościwe serce. Myśląc o jej cnotach, dochodził do przekonania, że Bóg umyślnie wyznaczył mu ją na żonę, dla wyrównania jego braków, gdyż natura próżni nie znosi.

Leciał jak na skrzydłach, ale gdy ją zobaczył przy łóżku obok leżącej Indianki, zrobiło mu się nieswojo. A gdy jeszcze spotkał się z jej wzrokiem, przestał się uśmiechać.

Od zniknięcia Rusty'ego chodziła okropnie poważna. Teraz zrobiła się surowa. Podniosła głowę ślicznym ruchem, ale major słusznie wziął to za zły znak, bo nigdy nie była tak „groźna”.

- Dlaczego major powiedział, że Rusty prosił o zwrot żuka? - zapytała.

W majora jakby piorun strzelił. Nawet najzatwardziały kłamca stropi się, gdy mu pokazać czarno na białym, że skłamał.

Jednakże major, jako urodzony kłamca, umiał się wykręcać, odpowiedział więc z głupia frant:

- Jak to, przecież prosił!

Tu Indianka podniosła nagle głowę i wsparta na rękach, popatrzyła na majora. Spłakała się okropnie i miała lekko napuchnięte oczy i zaczerwienioną twarz. Ale major za długo bawił na preriach, żeby się nie poznać na jej urodzie. Wydała mu się równie śliczna jak Maisry.

Dlaczego mówisz tak, jak nie jest? - rzekła Indianka do majora.

- No, no! - odpowiedział Marston. - Co Rusty Sabin nagadał tej ślicznotce? Widzę, że musiała ci naopowiadać głupstw.

Błękitne Oko zerwała się z łóżka.

- Jestem córką białego - Leniwego Wilka - zawołała - który wśród Szejenów chodzi prawie w chwale naczelnika. Mówię tak, jak jest naprawdę i mam tylko jeden język. - Ty - podniosła głos pokazując na niego z oburzeniem - ty mówisz tak, jak nie jest!

Major zaśmiał się, ale zaraz umilkł, gdyż sam spostrzegł, że jego śmiech dźwięczy zupełnie fałszywie. Przybrawszy marsowo poważną minę, zwrócił się do Maisry.

- Wyjašnjmy tę sprawę, Maisry. Widzę, że jesteś jakaś nieswoja. Czy ta dziewczyna ci coś nagadała? Widzę, że płakała. Nie gniewaj się na nią. Pewnie ma jak najlepsze chęci, ale trudno jej mówić po angielsku.

- Mówi - odparła Maisry - że Rusty ożeniłby się z nią, gdyby nie to, że mnie kocha. Skarżył się, że odesłałam mu zielonego żuka na znak odprawy. - Czy tu jest coś niejasnego, majorze?

XXIV. PLAN ATAKU

Nikt nie wie naprawdę, jak udawać niewinność. Majorowi udało się to jako tako. Zbladł trochę co prawda, ale nie odwrócił oczu i nie przestał się uśmiechać.

- Pojęcia białych mieszczą się w indiańskich głowach z pewną trudnością - odpowiedział. Wiem, że ta czarnuszka stara się powiedzieć prawdę. Nawet mam wrażenie, że w tym celu przyjechała. Ale nie ulega wątpliwości, że coś pokręciła. Moja droga Maisry -

ciągnął z miłym, szczerym śmiechem - cóż by mi z tego przyszło, gdybym cię poróżnił z Rustym?

iMaisry miała naturę prostą, szczerą i uczciwą, ale przecież nie byłaby kobietą, gdyby nie widziała, czy się komu podoba, czy nie. Więc też popatrzyła na majora z pewnym powątpiewaniem. Nieraz podchwytywała w jego oczach wymowne błyski zachwytu i instynkt ostrzegał ją przed niebezpieczeństwem. Ale powiedziała tylko tyle:

- Oczywiście nic by panu z tego nie przyszło. - Ale jednak tu jest jakieś straszne nieporozumienie. Rusty myśli, że mu odesłałam żuka z własnej woli, bo chciałam z nim zerwać. Co mu pan powiedział majorze?

- Co ja mu powiedziałem? - powtórzył major udając, że nic z tego wszystkiego nie rozumie. - Zastanówmy się. Starałem się go pocieszyć. Żał mi było odbierać ci żuka, więc, żeby pocieszyć chłopaka i ułatwić mu tę sprawę, musiałem powiedzieć, coś takiego, że ci wszystko jedno i że na pewno nie zależy ci na noszeniu tej błyskotki.

- Może o to poszło! - Może wziął moje słowa za poselstwo od ciebie! Na Boga! Maisry, zdaje się, że rozwikłałem ten dramacik! Maisry jęknęła cicho.

- Jak się zachował, jaką miał twarz, gdy to usłyszał? - zapytała.

- Jaką miał twarz? Ha, wiesz, jaki to zagadkowy człowiek. Zachował się jak typowy Indianin. Twarz jak maska. Nic bym z niej nie wyczytał przez tysiąc lat. Ale powiem ci, jak to naprawić. Przekonasz się, że masz we mnie przyjaciela, godnego zaufania.

Musisz posłać tę ładną dzikuskę z listem do Rusty'ego Sabina. - Powiem ci, co ja zrobię. Prerie roją się od Ponich i Komanczów i niechby spotkali samotną dziewczynę z plemienia Szejenów, na pewno by ją porwali. Ale właśnie zamierzałem urządzić moim chłopcom ćwiczenia. Łobuzy tyją i rozleniwiają się, a i koniom przyda się trochę marszów. Co mi szkodzi poprowadzić ich w stronę obozowisk szejeńskich? Przynajmniej ta mała będzie miała eskortę przez większą część drogi.

Major zastosował chytrą taktykę. Zaczawszy od usprawiedliwienia, przeszedł na dobrą radę, wreszcie ofiarował się z pomocą. Mówił serdecznie, z uśmiechem na przystojnej twarzy. Maisry nie była podejrzliwa. Szczera dusza łatwo skłania się do ufności. Więc wszelkie jej wątpliwości co do majora rozwiały się bez śladu. Podziękowała mu z całego serca.

Obłudnik zwrócił się do Błękitnego Oka:

- Powiedz mi, jak daleko obozuje twój lud i dlaczego ściągnął taki szmat drogi na południe?

Dziewczyna zawahała się lekko. Niewiele sobie robiła z mężczyzn młodych i urodziwych. Jak prawdziwa Indianka, miała kult dla blizn i sławy wojennej i srogi stary wojownik bez oka, z przetrąconym nosem i farbowanymi piórami w głowie, oznaczającymi waleczne czyny, był dla niej piękny. Na majora Marstona patrzyła z respektem, bo choć jego mundur wydał się jej śmieszny, a przycięte wąsy - głupie” to godność wojennego naczelnika białych stawiała go

w jej oczach bardzo wysoko. Mimo to spoglądała na niego nieufnie. Przeczuwała intrygę i posądzała go o kłamstwo. Ale odpowiedziała:

- Nasz obóz leży o dzień drogi stąd, jeżeli kobieta jedzie. Ściągnęliśmy na południe z naszymi chorymi, bo przyszły wieści, że Czerwony Sokół jest w tym mieście.

Major uśmiechnął się z lekka szyderczo:

- Jak to, czy on jest lekarzem?

- Czerwony Sokół jest wielkim czarownikiem - odpowiedziała dziewczyna. Patrzyła na majora i myślała: „ma złe oczy i fałszywe”.

- Jakże wielki czarownik pomógł chorym? - pytał drwiąco Marston.

Przy tych słowach zerknął na Maisry, która się zarumieniła. Maisry cierpiała, gdy wspomniano przy niej o przesądach Rusty'ego.

- Czerwony Sokół ożywił umierających - rzekła Błękitne Oko z dzikim błyskiem oczu i chwiejąc lekko głową, opowiadała śpiewnie:

- Konali z głodu.

- Mięso nie dawało im sił. Marnieli w oczach. - Zsychali się. - Szarzeli! Major poruszył głową.

- Anemia. Indianie giną na nią tysiącami. Więcej ich pada od tej choroby, jak od kul. Cóż im poradził Czerwony Sokół? Powinnaś wiedzieć, że to nieuleczalna choroba.

- Ach! - wołała Indianka. - Nieuleczalna dla białych! Oni nie potrafią z niej wyleczyć. Ale Czerwony Sokół modlił się na pagórku do Manitou i z nieba zleciał orzeł z odpowiedzią. W obozowisku

panuje śmiech i szczęście. Radujemy się, że Czerwony Sokół do nas wrócił!

Pod jednym względem ta entuzjastyczna odpowiedź nie przypadła majorowi do gustu. Ale - natchnęła go nową myślą.

- Ilu macie tych chorych?

- Pięć dwudziestek - odparła Indianka.

- Stu chorych! - wykrzyknęła Maisry.

Major przymknął oczy, żeby go nie zdradziły. Nadarzała się wspaniała okazja. Stu wojowników, osłabionych chorobą! Ale już wracają do sił i pewnie niedługo będą mogli wstąpić na wojenną ścieżkę. Czy nie można by spróbować zmieść ich, gdyby się dało, póki są bezsilni? Prawda, że obecnie z Szejenami jest pokój. Ale to fraszka. Mógłby wsadzić w raport „indiańskie rozruchy” i gdyby rzeź się udała, Waszyngton nie wglądałby w sprawę zbyt skrupulatnie.

- Nie licząc chorych, ilu macie wojowników w obozie? - zapytał zdawkowo.

Błękitne Oko znów się zawahała. Nie podobały jej się obcesowe pytania. Zresztą liczenie sprawiało jej trudności. Major, widząc jej niepewność, podsunął łagodnie:

- Dwie dwudziestki? - Dwa razy po dwudziestu wojowników?

- Trzy dwudziestki - odparła.

Niewątpliwie ta druga cyfra była bliższa prawdy. Co się zaś tyczyło ścisłej prawdy, dziewczyna nie usiłowała się głowić. W rzeczywistości wojowników szejeńskich zdolnych do walki było około dwustu pięćdziesięciu.

Tym sposobem major uzyskał pierwszą błędną wskazówkę.

Wrócił do fortu poczynić natychmiastowe przygotowania do marszu. Im więcej się zastanawiał nad całą sprawą, tym silniej utwierdzał się w przekonaniu, że powziął świetną myśl. Postanowił wziąć z sobą lotny oddział wyborowych żołnierzy, wszystkiego stu ludzi i jak najwięcej luzaków. Eskortując Indiankę, miałby w niej najlepszą przewodniczkę. O list, który miała zawieźć Rusty'emu, nie trapił się. Umiał sobie radzić w trudnościach. Z każdą chwilą wierzył coraz mocniej, że uda mu się wziąć Indian zaskoczeniem i że szable jego junaków spłyną krwią. Zostałby pułkownikiem jak nic i do generalstwa byłoby niedaleko.

Biedna Maisry pisała tymczasem list do swego ukochanego. Zastanawiała się, chciała napisać możliwie zwięźle, ale ta listowna rozmowa napawała ją przedziwnym szczęściem i tęsknotą. Myślała, że go już nigdy nie zobaczy. Błogosławiła te literki za to, że mu powiedzą prawdę.

Przechylając głowę na bok, suwała piórem po papierze. Uśmiech nie schodził z jej ust. Chwilami spoglądała na Błękitne Oko, lecz nie ją widziała, tylko obrazy własnej wyobraźni. Szejenka za każdym razem uśmiechała się smutnie. Wiedziała, ach! wiedziała, jakie obrazy snują się przed oczami pięknej białej dziewczyny!

XXV. UCIECZKA BAWOŁÓW

Major Marston lubił okrągłe cyfry, toteż wyruszając nazajutrz rano na Szejenów, prowadził za sobą okrągłą setkę oficerów i

żołnierzy. Jechali na czele, mając u boku dobrowolną, bezpłatną przewodniczkę Błękitne Oko.

Major dużo z nią gawędził. Przybrał poważną minę, zadawał pytania, pochlebne dla inteligencji dziewczyny, słuchał jej odpowiedzi z uwagą i uszanowaniem. Może od czasu do czasu powiedział „coś nie tak”, ale Indianie wiedzą, że biali mają podwójne języki i mówią przewrotnie. Taka jest ich natura.

W każdym razie był ogromnie ciekawy wszystkiego, co dotyczyło Czerwonego Sokoła, a dla dziewczyny ten temat był najdroższy. Mogła się rozwodzić bez końca i miary. Z największym upodobaniem opowiadała o samotnej wyprawie Czerwonego Sokoła do Świętej Doliny i odwadze, z jaką stawił czoło Wielkiemu Manitou w pieczarze w klifie. Bładła na samo wspomnienie jego męstwa. Opowiedziała również, jak Czerwony Sokół wrócił do plemienia ze złamaną strzałą i jak wygłosił śpiewnie swą sławną opowieść wobec wszystkich Szejenów.

- Czy to jednak nie była zwykła sowa, nie żaden Manitou? - zapytał major powstrzymując się od śmiechu. - Sowy lubią się gnieździć w pieczarach.

Błękitne Oko zbyła to przypuszczenie gniewnym gestem.

- Ale - co to jeszcze było? - ciągnął major. - Czy prawdą jest, że Rusty Sabin uląkł się obrzędu wtajemniczenia, obowiązującego wszystkich wojowników?

Indianka zachmurzyła się, ale tylko na chwilę. - To się stało dlatego - wyjaśniła - że Manitou chciał go na jakiś

czas oderwać od plemienia. Wiadomo, że Dobrego Ducha też jego plemię skazało na wygnanie. Więc Czerwony Sokół wędrował długo i daleko. Ale wrócił na Białym Koniu! Tak! Chłopcy chrypli z radości, że taki wielki człowiek należy do plemienia Szejenów. Kobiety traciły dech. Oniemiały, zakrywały usta i goniły go oczami.

Major widział po oczach, co się dzieje w sercu dziewczyny i nienawiść do Rusty'ego przeszła go znów jak płomienne ostrze.

Marsz odbywał się dosyć wolno. Stu ludzi nie może pośpieszać tak jak jeden lub dwóch. Gdy noc ich zaskoczyła, mieli jeszcze szmat drogi do obozowiska Szejenów. Major wybrał na nocleg dobre miejsce w kotlinie nad rzeczką, osłonięte od tyłu wysokim grzbietem.

Gdy rozbijano obóz, Błękitne Oko rozsiadła swego mustanga, spętała jak zwykle i siadła na brzegu przyglądać się krzątaniu białych wojowników. Śmiała się w duszy z małych namiocików, przyborów kuchennych i obfitych racji żywnościowych, które żołnierze wydobywali z toreb przy siodłach. Rozniecono dziesięć ognisk śmiesznie wysokich. Przy każdym siedzieli w kucki żołnierze, zajęci przyrządzaniem wieczerzy.

Dymu było tyle, że nieprzyjaciel mógł ich wypatrzeć z odległości dziesięciu mil. Major, niosąc Indiance żelazny rondelk gorącego jada, zobaczył, że jest rozśmieszona. Nasypał jej do kawy cukru pół na pół. Piła z takim smakiem, że aż wykrzykiwała z uciechy. Powiedziała mu otwarcie, z czego się śmiała.

- Patrz, biały naczelniku - rzekła. - Kiedy zagon Szejenów wyrusza na ścieżkę wojenną, wojownicy zabierają z sobą tylko trochę

suszonego mięsa i palonego zboża. Czasami garstka zboża musi im wystarczyć na cały dzień. A nawet zdarza się, że nic nie jedzą i wtedy muszą wytrwać o głodzie. Jeżeli co upolują, mają ucztę, ale naszych dwustu wojowników nie narobiłoby tyle dymu co waszych dziesięciu!

Major skinął głową. Prawdą było, że Indianie z łatwością uchodzili przed pościgiem z powodu minimalnego obciążenia. Obchodzili się bez żadnych kapot, a w potrzebie potrafili się żywić myszami polnymi i korzonkami.

- Będiesz spała w oddzielnym namiociku obok mojego namiotu. Widzisz mój namiot - ten duży. Będziesz bezpieczna.

- W ciemnościach będę bezpieczna - odpowiedziała.

I gdy zapadła ciemność, znikła. Nie mogli jej znaleźć. Odeszła niedaleko od obozu, owinęła się w końską derkę i legła na ziemi. Dla znużonych kości ziemia jest miękkim łóżem.

Tętent kopyt wyrwał ją z głębokiego snu. Świecił księżyc. Dziewczyna usiadła. Z prerii zbliżał się ku obozowi jasny cień na czele korowodu ciemnych. Rozpoznała tabun koni. Ale ponad tętent kopyt wybijał się płynny pomruk, od którego ziemia wibrowała. Ten drugi odgłos szedł z dużej dali. Indiankę zdjął niepokój. Już gdzieś kiedyś słyszała taki rozlewny, słaby, daleki grzmot. Ale gdzie?

Widok koni przykuł jej oczy. Sylwetka przewodnika stawała się coraz widoczniejsza. Niósł się lekkim galopem prosto na nią. Na chwilę zniknął w zagłębieniu, lecz gdy się znów wynurzył rączym skokiem, poznała Białego Konia. Kolana się pod nią ugięły ze świętej zgrozy. Padła na ziemię. Koń Czerwonego Sokoła, a zatem i

Wielkiego Ducha! Ogier, na którego polowało dziesięć tysięcy myśliwych, białych i czerwonoskórych, na przestrzeni tysięcy mil, po preriach i górach, póki Czerwony Sokół nie wystąpił jak bóg i nie położył ręki na grzywie sławnego bieguna.

Indianie wydało się, że widmo ukochanego człowieka majaczy na grzbiecie rozpędzonego rumaka.

Za nim podskakiwały szybko łby tabunu, ale żaden z tych koni nie sadił równie długimi skokami jak przewodnik.

Biały Koń był już o kilkanaście kroków od niej. Upojony własną chwałą, rączością i siłą, spostrzegł się w ostatniej chwili. Nagle skręcił w bok, a tabun za nim - sto koni, gdzież tam, z dziesięć dwudziestek!

Błękitne Oko patrzyła i śmiała się radośnie. Tabun rozpraszał się, zostawał w tyle. Przewodnikowi się to nie podobało. Przyśpieszył biegu, zawrócił i jak błyskawica pomknął na tyły swego oddziału. Tu uderzył na maruderów, prąc ich, żeby pośpieszyli. Miał instynkt wodza, nie zanieczywał najslabszego z tych, co za nim szli - Tabun zginął w ciemnościach.

Dziewczyna wyteżala za nim wzrok przez księżycową mglistość, gdy grzmot, który ją przedtem uderzył, jął się wzmaczać i zbliżać. Od południa waliła niska, ciemna ławica jak przyziemna chmura.

Może to przepłoszyło Białego Konia z jego świtą? Ławica rozpościerała się powoli w obie strony, wydłużała na mile.

Teraz dopiero Błękitne Oko pochwyciła tu błysk księżyca, tam błysk księżyca.

Oprzytomniała.

Że też się od razu nie spostrzegła! Toż to bawoły w popłochu! Niezliczone stado, morze głów, poruszone trwogą równie tajemniczą jak siły, które rządzą przyływem i odpływem mórz! Tysiące rozpedzonych racic w żywiołowej ucieczce przed niewiadomym! Kolosalna, żywa ławica wali prosto na obóz żołnierzy. Pierwsze szeregi wystarczą, żeby stratować wszystkich tych ludzi na krwawą miazgę.

Zerwała się i popędziła co sił do obozu. Dla szybszego biegu zadarła krótką spódniczkę i zatknęła za pas. Biegła jak chłopiec - jak wyjątkowo rączy chłopiec indiański. Trzymała się prosto i oddychała głęboko.

Wpadła na wysoki brzeg, zeskoczyła z wysokości trzech metrów lekko jak kot, osunęła się na ręce, zerwała na nogi i wrzasnęła przeraźliwie:

- Bawoły! Bawoły! Gnają na obóz! - Białe twarze! Zbudźcie się, zbudźcie! - Głupie, senne cieleta, uciekajcie, ratujcie się, póki czas! - Już blisko, już blisko!

Lecz czy usłyszą?

Żołnierze wybiegli z namiotów, na pół rozebrani, z karabinkami w rękach. Major, jako człowiek odważny i rozważny, skierował się w stronę, gdzie wybuchł zamęt. Indianka chwyciła go za ramię i wciągnęła na wysoki brzeg. Za nim biegli sznurem wystraszeni żołnierze.

Stąd dopiero zobaczyli, co się dzieje. Księżyc oświecał żywy mur pędzącego stada. Tyły ginęły w kłębach kurzawy, podobnej do

dymu. W pierwszym szeregu gnały olbrzymie garbate byki; brodate pyski dotykały ziemi, rogi podrygiwały z każdym skokiem. Grzmot racic był jak przeciągły ryk, jakby ziemia się rozpekła i krzyczała wielkim głosem.

- Strzelajcie, bo was stratuja! - wrzeszczała przeraźliwie Indianka. - Ognia! Ognia!

O swoim bezpieczeństwie zapomniała. Ona - kobieta, a tu tylu mężczyzn - silnych mężczyzn, chociaż białych!

Major wystąpił dwa kroki w przód. Był zupełnie spokojny. Jego donośny, rozkazujący głos wybił się nad straszny zgiełk. Miał koło siebie tylko dwudziestu uzbrojonych ludzi.

- Baczność! - krzyczał. - Brać na cel! Na rozkaz strzelić prosto tak, jak stoimy. Mierzyć w środek stada. Wy, na prawo, strzelicie pierwsi - na rozkaz. Wy, na lewo, gdy podniosę rękę drugi raz.

Chwilę czekał. Jego wielka odwaga sprawiła, że choć kłamca i obłudnik, wydał się w tej chwili Indiance pomnikiem szlachetności.

Wrzasnął i podniósł rękę. Pierwsza salwa trzepnęła po ogromnych zwierzętach niby garść kamyków o skałę. Dwa - trzy byki - nie więcej - zwały się na ziemię. Miejsca ich upadku zaznaczyły się falistymi smugami, gdyż stado spływało po nich, jak woda po przeszkodzie.

Błękitne Oko czuła już prawie na twarzy ciepłe oddechy zwierząt, niby rozpryski piany gdy sunie fala powodzi. Rogi tarły o siebie z metalicznym chrzęstem. Nieodparta ławica była tuż...

Huknęła druga salwa i naraz, bez rozkazu, wszyscy żołnierze zaczęli podskakiwać, krzyczeć i wywijać strzelbami.

Stado rozdzieliło się, nie z wolna, lecz nagle, tak jakby w miejscu gdzie trzy byki zwały się na kupę, wyskoczyła z ziemi stroma skała. Dwa nurty przyspieszając szybkość spłynęły w prawo i w lewo.

Kłęby kurzawy, choć nie było wiatru, buchały w twarze patrzącym; wilgotny bydlęcy zapach dusił w nozdrzach. Ale niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Luka się rozszerzała, bawoły opływały obozowisko z dwóch stron. Z wysokiego brzegu waliły się jak rzeka, wiele skręcało karki, niektóre przewracały się i ginęły, tratowane przez dalsze szeregi. Wysoka krawędź zrównała się z niższym poziomem. Po zbitej powierzchni stratowanych trupów nowe zastępy płynęły, płynęły... Pierwsze szeregi buchnęły w rzeczkę. Woda spieniła się biało. Ruchoma grobla zahamowała potok.

Stado wdzierało się na drugi brzeg, nie tracąc szybkości. Chmura kurzawy unosiła się w powietrzu, odejmując blask gwiazdom i księżycowi. Żołnierze przyglądali się niespokojnie długi czas w obawie, żeby późniejsze szeregi nie zwały się i nie zalały obozu. Ale zwierzęta szły za przewodnikami i dokładnie w punkcie, gdzie leżały na kupie trzy zabite bawoły, rozdzielały się na podobieństwo długich włosów kobiecych od miejsca przedziału.

Nareszcie ukazały się luki. Ostatnie setki szły w rozsypce, ale i one skręciły i zniknęły po drugiej stronie rzeczki. Tylko słabnący grzmot kopyt leciał do obozu echem pożegnania.

Major rozejrzał się za przewodniczką. Musiał jej przecież podziękować. Rozumiał, że uratowała mu życie, jemu i całemu oddziałowi.

„Zginął pod kopytami bawołów!” Cóż by to był za głupi napis grobowy dla takiego człowieka jak on! Ona do tego nie dopuściła. Jutro ofiaruje jej sznur paciorków.

- Możesz spać w namiocie prowiantowym - rzekł. - Do świtu niedaleko.

Odchylił klapę dużego namiotu. Wzdłuż ścian leżały zapasy, które w marszu dźwigały juczne konie. Major zwalił stos derek i kazał jej się na nich położyć. Jeszcze nie wyszedł, gdy już się rozciągnęła z westchnieniem znużenia.

W pół godziny major był z powrotem. Odciągnął klapę, nasłuchując, czy dziewczyna śpi. Spała. Miał trochę kłopotu zanim ją znalazł i wymacał ostrożnie torbę u pasa.

Z wielką ostrożnością, żeby papier nie zachrząścił, wyjął ze środka kopertę.

Wyszedł z namiotu z twarzą zlaną potem. Wróciwszy do swojego namiotu, przeczytał list. Pismo było duże, zamaszyste, pisane ręką, którą kierowało wzburzone serce:

Rusty mój Najdroższy! Nie zrozumiałam dobrze. Myślałam, że major żądał zwrotu żuka w Twoim imieniu, bo zaczęło Ci się bez niego niepowodzić. Jak mogłeś zwątpić o mnie? Odeślij mi go - przywieź sam, żebym i Ciebie odzyskała. Dni mi upływały ciężko i

gorzko. Wracaj prędko. Jeżeli mnie kochasz chociaż w połowie tak, jak ja Ciebie, będę najszczęśliwsza na świecie.

Twoja Maisry.

Słowa te wywarły na majorze gwałtowne wrażenie. Groźny mars zmarszczył mu czoło, oczy zaszyły mgłą. Widział już Sabina na placu kaźni przed oddziałem egzekucyjnym.

Wyjął z torby papier, przyciął do miary listu Maisry i przez jakiś czas wprawiał się w naśladowaniu jej pisma. Rękę miał pewną i wyrobioną. Doszedł do przekonania, że Rusty Sabin nie pozna się na sfalszowanym piśmie.

Przystąpił do dzieła.

Kochany Rusty!

Czemu nie próbować zapomnieć? Mnie się łatwo udało, to i Tobie powinno przyjść bez trudu - zresztą masz Błękitne Oko. Czy to nie dosyć?

Nie bylibyśmy wcale dobranym małżeństwem. Miałam dużo czasu do namysłu i teraz widzę, że nie mogłabym się zżyć z Indianinem - nawet z białym Indianinem. Niech Ci zielony żuk przynosi szczęście.

Maisry.

Zapieczętował kopertę i zakradł się znów do namiotu prowiantowego, żeby podrzucić list. Potem poszedł obudzić dwóch kapitanów i zabrał ich do swojego namiotu.

W niecałą minutę po odejściu majora Błękitne Oko obudziła się nagle z mocno bijącym sercem. Miała nieodparte wrażenie, że ktoś

przy niej był. Nie mogła złapać tchu. W namiocie było duszno od zapachów żywności, derek i prochu strzelniczego.

Wybiegła na powietrze.

Skierowała się ku namiotowi majora po prostu dlatego, że jego najlepiej знаła, a w przyływie niezrozumiałego strachu zapragnęła mieć przy sobie przyjazną duszę.

XXVI. OTOCZYĆ I ZGNIĘĆ

W namiocie płonął mały ogienek. Różowe odblaski przeświecały przez płótno, na którym co chwila ukazywał się wielki, chwiejny cień. Pierwsze słowa majora poraziły Błękitne Oko. Zamieniona w słuch, znieruchomiła przed namiotem.

Marston mówił:

- Moi przyjaciele, jesteśmy już tak daleko, że muszę wam powiedzieć, o co chodzi. To wcale nie jest marsz ćwiczebny. Maszerujemy na obozowisko Szejenów, dowodzonych przez Stojącego Byka. Musimy ich otoczyć i zgnieść. Wiem, że jest tam tylko sześćdziesięciu wojowników i...

- Ależ to spokojni poczciwcy, ci Szejenowie - przerwał któryś z oficerów. - Spokojni? - wykrzyknął major. - Nie ma spokojnych Indian.

Między innymi muszę uśmierzyć Rusty'ego Sabina. Czerwonego Sokoła, jak go nazywają. Ten łajdak będzie bruździł póki nie zdechnie. Nim jutro słońce zajdzie, muszę mieć go żywego albo umarłego!

Na te straszne słowa z gardła Błękitnego Oka wydarł się zduszony krzyk. Nie wiedziała, że krzyknęła, i nie uciekła. Major usłyszał, wybiegł i znalazł ją przed namiotem.

Wziął ją za ramiona i wepchnął do środka.

- Mamy tu szpiega! - rzekł. - Na Boga, przyszła podsłuchiwać
Należałoby rozprawić się z nią jak ze szpiegiem.

Kapitan Dell, chudy, o ostrej twarzy i oczach błyszczących jak u jamnika, odwrócił się obojętnie. Za to przysadzisty kapitan Wilbur zaprotestował gwałtownie:

- Ta dziewczyna uratowała nas przed bawołami - rzekł z naciskiem. - Co się tyczy planu majora, to będzie to morderstwo!

Major spiorunował go wzrokiem.

- Wilbur - odpowiedział - widzę, że nie nadajesz się do walk z Indianami.

- Do walk, owszem, ale nie do rzezi - odciął się kapitan Wilbur. Major warknął gniewnie i chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył.

Błękitne Oko, która stała obok, wyszarpnęła się majorowi, ominęła zręcznie ręce kapitana Della i nurknęła przez klapę na dwór.. Major wypadł za nią z ostrzegawczym krzykiem. Zobaczył, jak podobna do lotnego cienia, wskoczyła na jego ulubionego karosza, uwiązanego niedaleko namiotu.

Rzucił się ku koniowi, lecz błysk noża osadził go na miejscu. Ogromny koń, spłoszony krzykiem Indianki, porwał się z miejsca galopem.

Major Marston nie żywił rycerskich uczuć w stosunku do kobiet. Bez wahania wyciągnął wielki rewolwer i strzelał raz po raz za uciekającą w zamiarze strącenia jej z siodła. Ale Błękitne Oko skręciła za namiot prowiantowy i skryła się w zaroślach.

- Łapać! - Za nią! - ryczał major. - Schwycić żywą - albo umarłą!

Za chwilę kawalerzyści Marstona lecieli przez prerię co koń wyskoczy. Ale karosz był niedościgły i Indianka zostawiła pogoń w tyle, a w końcu zginęła w mglistej dali.

Nie jechała do obozu Szejenów prosto jak strzeł. Zataczała ogromny łuk na zachód od prostego kierunku. Już się miało pod wieczór i karosz, okryty pianą i pręgami od bata, żaloszny przedstawiał widok, gdy oczy jej wypatrzyły na widnokręgu cieką smuzkę dymu z wioski Szejenów.

Udała się prosto przed oblicze Stożącego Byka. Wojenny naczelnik Szejenów siedział w swoim namiocie, kurząc długą fajkę. Gdy wdychał dym, policzki zapadały się głęboko, gdy wydmuchiwał, oczy się przymykały. Rozumie się, Czerwony Sokół był u przyjaciela. Ponieważ w namiocie było gorąco, zrzucił derkę z ramion. Na piersiach miał wymalowany kunsztownie czerwoną farbą wizerunek sokoła. Z ubioru białego człowieka nie zostało na nim ani śladu.

Na widok podnieconej Indianki skoczył na równe nogi. Błękitnemu Oku wydało się, że pochwyciła w jego oczach błysk szczęścia. Wiew jego rudych włosów mignął jej jak wybuch płomieni.

- Stojący Byku! żołnierze jadą nas mordować - zakrzywała. Naczelnik otworzył senne oczy.

- Mają pozabijać chorych i zdrowych! - mówiła w podnieceniu. - Ale ich jest tylko pięć dwudziestek. - Możesz ich połknąć z naszymi wojownikami. Możesz ich połknąć, jak wąż połyka mysz.

XXVII. UCIECZKA

Godność Stojącego Byka była tak wielka, że nawet nie mrugnął. Zaciągnął się jeszcze raz dymem, wstał bez pośpiechu, odłożył fajkę obrzędowym ruchem, narzucił na siebie skórę bawołą, wziął w rękę dzidę długości siedmiu stóp i opuścił wigwam, nie powiedziawszy słowa.

Rusty choć był w serdecznej przyjaźni z naczelnikiem nie odważył się odezwać, póki ten nie wyszedł. Wtedy pochwycił Błękitne Oko za obie ręce. Aż ją zabolalo, tak mocno ścisnął. Mimo to, uśmiechnęła się. Od niego nawet ból był miły.

- A Maisry? - pytał. - A Maisry? - Maisry?

Wyjmując list z torby, pochyliła nisko głowę, żeby nie zobaczył, co się dzieje z jej sercem. Gdy ją znów podniosła, miała twarz spokojną. Nie na darmo była pół-Indianką.

Czerwony Sokół rozerwał kopertę. Czekwała w jakimś przewrotnym samoudręczeniu na pożar radości na jego twarzy. Ale zobaczyła tylko, że otwiera oczy szerzej i blednie.

Czytał na głos, ale tak cicho, że ledwie było słyhać. I przy tym łapał oddech:

Kochany Rusty!

Czemu nie próbować zapomnieć? Mnie się łatwo udało, to i Tobie powinno przyjść bez trudu. - Zresztą masz Błękitne Oko. Czy to nie dosyć?

Nie bylibyśmy wcale dobranym małżeństwem. Miałam dużo czasu do namysłu i teraz widzę, że nie mogłabym się zżyć z Indianinem - nawet z białym Indianinem. Niech Ci zielony żuk przynosi szczęście.

Maisry

Opuścił porywczo rękę i spojrzał na Indiankę. W oczach miał ból. Jednak za mało w nim było indiańskiej natury. Na widok jego żalostnej twarzy wstyd ogarnął dziewczynę. Ona choć kobieta, lepiej umiała nad sobą panować.

- Co to znaczy, Czerwony Sokole? - zapytała. - Biała dziewczyna była szczęśliwa. Gdy jej mówiłam o tobie, oczy jej błyszczały, a usta się śmiały.

- A! - rzekł Rusty - usta się śmiały.

Rzucił list w gasnący ogień pod kociołkiem z bawolim mięsem. Strzelił jasny płomień i zgasł, pozostawiając na zarzewiu wiotkie płatki szarego popiołu.

Czerwony Sokół podniósł głowę.

- Biali nie są równi Indianom - dodał. - Biali nie są wierni. -
Spojrzyj na mnie, Błękitne Oko!

Wyciągnął ręce do dymu, który rozpościerał się leniwie nad ogniskiem i odpływał przez otwór w górze.

Skąpał w nim twarz, ramiona, ręce, całe ciało. Nabierał w garście jak rzecz uchwytną.

- Zmywam z siebie naturę białych - mówił surowo. - Staję się prawdziwym Szejenem! Moja krew to krew Szejenów. Moje serce to serce Szejenów...

Głos mu się załamał.

Błękitne Oko spojrzała prędko w ziemię, żeby nie zobaczyć łez w oczach wielkiego naczelnika i czarownika. Była tak oszołomiona, że nawet nie widziała, jak wyszedł.

Gdy podniosła głowę, już go nie było.

Na świecie zachód słońca palił się już godowym ogniskiem. Wiatr zawiewał łagodnie płomienne obłoki ku zenitowi, gdzie roztopiały się w zapadającym zmierzchu.

Wyszędłszy z namiotu Rusty usłyszał za sobą grzmiący głos i Bill Tenney uderzył go mocno po ramieniu.

- Słyszałeś nowinę, Sabin? Żołnierze ciągną na nas. Chcą nas podobno wydusić. No! Niech ja tylko dostanę na cel tego majora! Niech ja tylko dostanę psubrata pod strzał!

Potrząsnął strzelbą w powietrzu, zaśmiał się i znów grzmotnął Rusty'ego po ramieniu.

- Co ci to, bracie? - zapytał. - Nie palisz się do bitwy. Strach cię obleciał? Co tam, niejeden zuch z początku się wzdryga, ale niech się zacznie strzelanina, duch wstępuje w mdłe ciało. Przekonałem się nie raz i nie dwa razy, że ci, co się najwięcej boją, najdzielniej się potem spisują.

Sabin nie odpowiedział. Patrzył na przyjaciela, ubranego po indiańsku. Bill Tenney miał na sobie skórzane spodnie z frędzlami, pięknie przybraną, spadającą do kolan bluzę, pęk piór we włosach i mokasyny, przyozdobione paciorkami. Słowem wyglądał jak indiański dostojnik. Tylko jasna mimo opalenizny cera zdradzała jego przynależność do białych.

Czuł się szczęśliwy wśród Szejenów. Już nie spoglądał wilkiem jak zwykle. Znalazł się wśród ludu, który go uznał za swego. Był „bratem” Czerwonego Sokoła, a to pociągało za sobą braterstwo z wszystkimi Szejenami spod komendy Stojącego Byka. Mógł robić, co mu się żywnie podobało i nikt go nie ganił. Był zapraszany na każdą ucztę. Nauczył się już tylu słów szejeńskich, że mógł przemawiać. Gdy mu brakowało słów, Leniwy Wilk śpieszył z pomocą jako tłumacz. Bill opowiadał „braciom” o swoich rodzinnych stronach w Kentucky i o niektórych swoich wyczynach. Wojownicy mruzcili z uznaniem, bo przecież „brat” Czerwonego Sokoła nie mógł zrobić nic naganego.

Atmosfera uznania sprawiała, że Bill nabierał godności. Oczy miał teraz spokojniejsze i uczciwsze. Rusty choć sam patrzył na świat przez mgłę smutku, był rad ze zmiany w przyjacielu.

- Jeśli będzie walka - rzekł łagodnie - otrząsnę się z przygnębienia.

W istocie śmierć wydawała mu się w tej chwili rzeczą tak błahą, że zdobył się na uśmiech.

Tenney nie zrozumiał tego uśmiechu. On był pochłonięty innymi myślami. Chwycił Sabina za ramię.

- Czy to prawda, że Błękitne Oko wróciła? - zapytał Tenney.

- Prawda - odpowiedział Rusty i widząc rumieniec - przyjaciela, zapytał z kolei: - Czy ty ją chcesz?

- Czy ja ją chcę? Życie bym za nią oddał! - Chcę tak bardzo, że z miłości zapomina o duszonych ozorach bawolich, a to smaczna strawa! Myśl o niej przeszkadza mi polować. Mustang może mnie podrzucić jak chce, a ja, bracie, nic nie czuję, tak mnie wzięła.

Twarz złodzieja drgała wzruszeniem.

- Więc to tak? - rzekł Rusty z rozmarzeniem, aż Bill zrobił wielkie oczy. - Ano, piękna dziewczyna. Wiem o tym. Mogę na nią patrzeć bez końca. Usta ma takie dobre, takie łagodne... Zauważyłeś?

- Czy zauważyłem? Nie jestem ślepy! - krzyknął zakochany złodziej.

- Brodę ma energiczną, czoło duże, gładkie. - Przy tym jest dzielna i wesoła. Czasami, gdy myślę o niej, zbiera mi się na śmiech szczęścia.

Tenney popatrzył z niepokojem na mówiącego.

- Ale nóż musi pasować do ręki, koń do gustu, a kobieta do serca. Dlatego Błękitne Oko nie dla mnie - ciągnął Rusty Sabin. - Jeżeli chcesz ją pojąć za squaw, proś jej ojca, bracie. Jeżeli Leniwy Wilk zażąda zapłaty, oddam ci wszystkie moje bogactwa. Teraz chodźmy zobaczyć, dlaczego wojownicy krzyczą za obozem. Bill nie potrafił zdobyć się na odpowiedź.

Wyszli za wioskę. Wszyscy Szejenowie podążali gdzieś ku prერიom. Słychać było krzyki. Równiną sunął szybko ku nim kłęb kurzawy.

Kurzawa nie była gęsta. Raczej przejrzysta jak mgła. O tej porze roku nie mogło być kurzu na łące. W mglistym tumanie gnał tabun koni ze srebrzystym przewodnikiem na czele!

- Biały Koń! - zakrzyczał Sabin. - Biały Koń!

Tak, to był on, sławny ogier, lotny jak dzirynt, ciśnięty ręką wojownika. A za nim tabun, jak burza.

- Co to? - dopytywał się Bill Tenney. - Wyprawił się na polowanie i prowadzi łup?

Tak to wyglądało.

Szejenowie śmieli się i wykrzykiwali. Niektórzy spoglądali na Czerwonego Sokoła, potrząsając głowami z wielkiego podziwu. Jeżeli to prawda, że Biały Koń zwerbował sobie tabun kradzionych koni i prowadzi go swemu panu, to Czerwony Sokół jest zaiste potężnym czarownikiem.

Tymczasem obozowe konie, widząc nadciągający w takiej masie tabun, zbiły się w gromadę. Chłopcy i młodzi wojownicy, którzy pilnowali pastwiska, rozstąpili się, dając gościom przejście. Bogactwo samo szło Szejenom w ręce! Ale Rusty mrucał do siebie:

- Czy naprawdę wraca do mnie, czy chce nam ukraść nasze konie? Biały Koń świecił na tle prerii jak światło. Gdy już był blisko, podrzucił łbem i zarżał tak przeraźliwie, że dreszcz przeszedł ludzi i zwierzęta.

Za chwilę rozwiana biała grzywa sunęła środkiem gromady indiańskich koni. Te rozstępowały się na boki wśród ogólnego zamętu, bo fala obcych biegunów parła za przewodnikiem. Powiększony w ten sposób tabun kłębił się parę sekund w miejscu wśród rżenia i kwiku i nagle rzucił się do ucieczki.

Rżenie przewodnika wskazywało drogę. Przebiegł przez całe stado i wynurzywszy się z drugiej strony, ruszył przodem, a za nim tabun.

Wszystko to stało się tak szybko, że nawet koniuchowie, którzy byli najbliżej, nie zdążyli temu przeszkodzić. O takim zuchwalstwie u dzikiego konia jeszcze nie słyszano. Czyżby Biały Koń spoufaliwszy się z ludźmi, nabrał dla nich aż tak wzgardliwego lekceważenia?

Prawie wszystkie wierzchowce szejeńskie uciekły. W obozie zostało z dziesięć sztuk. Część ich pochwycili koniuchy, żeby ścigać zbiegów.

Ale obciążone wierzchowce nie mogły doścignąć swobodnych koni, i tak dość dzikich, a teraz jeszcze podnieconych przykładem najeźdźców. Koniuchowie od razu zaczęli zostawać. Tabun ginął w oddali. Raz jeszcze dało się słyszeć triumfalne rżenie Białego Konia i wszystko ucichło.

XXVIII. ZAKŁADNICY

Taka strata była zawsze ogromną klęską, a cóż dopiero przed spodziewanym napadem białych! Teraz było to przekleństwo niebios. Jeżeli cały obóz wyruszyłby w pościg za końmi, to musiałby się czołgać wolno jak raniony wąż, gdyż jakkolwiek liczni chorzy szybko

przychodzili do zdrowia, to jeszcze nie mogli odbywać długich marszów. Jeżeliby zaś za końmi wyprawiono najlepszych wojowników pieszo i na pozostałych koniach, to wioska zostałaby bez obrony.

Groza położenia stała się jasna. Obozowisko zaniósł się zawodzeniem kobiet. Nawet psy posiadały i wtórowały wyciem ogólnemu lamentowi.

Obozowisko dałoby się może obwarować, ale Indianie z prerii nie znali się na sypaniu wałów Obronnych, byli przyzwyczajeni bić się w miejscu za szańcami i nie umieli walczyć pieszo. Dla Indianina być bez konia to bez mała to samo, co stracić nogi.

Siły szejenkie znacznie przewyższały zastęp majora Marstona, ale cóż z tego? Kawaleria uchyliłaby się łatwo od natarcia pieszych, a potem uderzyła na cofających się. Zapasów w obozie było niewiele, o łowach nie mogło być mowy. Co najgorsze, wyprawiając się na południe, Szejenowie zabrali z sobą niewiele amunicji i w dwa trzy dni, gdyby walki były zacięte, zabrakłoby i prochu, i ołowiu. Wtedy Szejenowie, choć potężni liczbą, znaleźliby się na łasce i niełasce białych i pewnie by się długo nie opierali. Major Marston potrafiłby sobie z nimi poradzić. - Dlatego wojownicy stracili ducha.

Na domiar złego cios spadł na nich z winy konia wielkiego czarownika - samego Czerwonego Sokoła. Rzecz była po prostu niepojęta. Szejenowie spoglądali na niebo w połowie ozłoczone pożogą zachodu, w połowie ciemniejące zmierzchem, modlili się o pomoc do Wielkiego Ducha.

W oddali ukazali się koniuchowie wracający z bezskutecznego pościgu. Prawie jednocześnie, jakby los wysiłał się przeciwko Szejenom, od południa wypełzała zza czerwonego widnokręgu niby rząd mrówek długa, cienka kolumna kawalerii.

Stojący Byk, mimo, że tęga głowa i dzielny wojownik, był w tych warunkach bezsilny i na czoło obrony wysunął się biały człowiek, Leniwy Wilk. On poruszył wojowników krótką przemową, on pchnął do czynu naczelników. Córkę wyprawił w poselstwie do głównych squaw i niebawem, pod jego osobistym nadzorem, mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci, słowem całe plemię rzuciło się kopać naokoło obozu płytką fosę, osłoniętą niskim wałem. Nawet ci silniejsi chorzy przyłożyli ręk do dzieła. Kto nie miał lepszego narzędzia, dziobał ziemię nożem.

Leniwy Wilk, z fajką w ustach, udzielał spokojnie rad i przestróg. Słuchano go bez sprzeciwu. W zwykłych okolicznościach niewiele się wtrącał w sprawy plemienia, ale gdy nadchodziło niezwykle niebezpieczeństwo, odwoływano się ufnie do jego wielkiej przemyślności, której dowody dawał w każdej potrzebie.

Płytki rów z niskim wałem, mogącym osłonić strzelców, był gotów z zapadnięciem ciemności.

Raptem z ciemności zakrzyczał ktoś łamanym szejeńskim narzeczem, jakim mówią kupcy. To wysłaniec białych zapraszał Stojącego Byka, by postąpiwszy pięćdziesiąt kroków za obóz, rozmówił się z wojennym naczelnikiem białych.

Stojący Byk wziął strzelbę, dosiadł konia i wyjechał za wał. Postać jego odcinała się mrocznie na tle gwiazd. Z prerii zbliżał się drugi jeździec, major Marston we własnej osobie, szczęśliwy jak nigdy w życiu. Major bez wstępu zaczął układy. Tłumacz powtarzał słowa białego naczelnika.

- Twój lud jest bezsilny. Stojący Byku, straciliście konie. Widzieliśmy, jak wam uciekły. Jeżeli chcesz walki, wiedz, że będziesz pokonany bez mała w mgnieniu oka. Rozesłałem patrole naokoło wioski. Wasi wojownicy nie zdołają ujsć. W kilka dni głód zajrzy wam w oczy i wkrótce będzie po was. Czy rozumiesz, że jesteście zgubieni?

Stojący Byk odpowiedział:

- Byliśmy przyjaciółmi. Między Szejenami i białymi nie ma wojny. Czemu chcecie nas skrzywdzić?

- Psy i wilki nigdy nie będą przyjaciółmi - odpowiedział major siląc się na indiańską kwiecistość stylu. - Iluż to białych traperów i osadników zginęło okrutną śmiercią z rąk twoich wojowników! Ale mamy was w ręku i nie wymkniecie się nam, mili przyjaciele. Jeżeli chcesz dać dowód przyjaźni, wydaj nam dwóch ludzi.

- Których? - spytał Stojący Byk.

- Rusty'ego Sabina, którego nazywacie Czerwonym Sokołem i drugiego, Billa Tenney'a.

Stojący Byk odpowiedział słowami, które dotąd żyją w pamięci Dzikiego Zachodu:

- Czerwony Sokół jest mi bratem. Jego oko - moje oko. Jego serce - moje serce. Jego krew - moja krew. Tak! Czerwony Sokół jest nam Szejenom ojcem i bratem i obroną w złych dniach. Żądaj, żebym wyrwał zęby z ust i oddał ci. Żądaj, żebym odciął palce od rąk i oddał ci, ale nie żądaj, żebym ci wydał Czerwonego Sokoła.

Zrozumiawszy odpowiedź, major wpadł we wściekłość i ryknął:

- Jeżeli go nie dostanę żywego, to wezmę umarłego. Wracaj do obozowiska, głupcze, i powiedz kobietom, że mogą zacząć lament. Żywa noga nie ujdzie z plemienia. Wypiszę moje imię krwią Szejenów tak głębokimi zgłoskami, że nic go nie zmaże na ziemi! - Wracaj do swoich czerwonoskórych psów. Niech wyją, kundle. Ucho moje pożąda psiej muzyki!

Z taką odpowiedzią wracał do swoich Stojący Byk i serce jego było ciężkie od smutku. Gdy zapytał o Czerwonego Sokoła, posłano go do namiotu Leniwego Wilka. Był i trzeci biały, Bill Tenney. Leniwy Wilk, jak zwykle spokojny, czytał kurząc fajkę. Bill Tenney, rozciągnięty na brzuchu, z brodą wspartą na rękach, nie zdejmował oczu z twarzy Czerwonego Sokoła. Ten, oczyściwszy wigwam dymem z wonnej trawy, modlił się półgłosem do Wielkiego Ducha. Błękitne Oko, skulona w rogu, również nie zdejmowała oczu z wielkiego czarownika.

Stojącego Byka zdjęła święta zgroza. Nie śmiejąc przerwać modlitwy, przysiadł na piętach i czekał.

XXIX. NA PRERII

W oddali podniósł się lament kobiet i rósł, zbliżając się i wciągając w siebie coraz więcej głosów, w których zamknięta rozpacz mroziła krew w żyłach. Ale w namiocie modlitewny szept Czerwonego Sokoła szemrał ledwie dosłyszalnie.

Złożywszy na piersiach ręce i spuściwszy głowę, wielki czarownika utonął jakby we śnie. Długo pozostawał w tej pozie wśród uroczystego milczenia obecnych, z których prócz niedowiarka, Leniwego Wilka, nikt nie wątpił w cudowną moc Rusty Sabina.

Ale gorące modły Czerwonego Sokoła zostawały bez odpowiedzi i oczy jego duszy widziały wciąż jeden i ten sam obraz - Białego Konia z rozwianą grzywą na tle zorzy zachodu. Jeżeli Słodki Lek przemawia, to czemu tylko tym obrazem?

Rusty emu wydało się, że zrozumiał. Wstał przeto i rzekł krótko:

- Muszę iść do Białego Konia, Manitou mnie posyła.

- Dobrze! - rzekł Stojący Byk. - Tylko jak pójdziesz? Księżyc świeci. Na preriach jasno jak w dzień. A biali jeżdżą ze strzelbami naokoło obozowiska.

- Muszę iść - powtórzył Czerwony Sokół - Jeżeli Wielki Duch mnie wzywa, to odchyli kule od mego ciała. Jeżeli wzywa mnie na śmierć, to widocznie wybiła moja godzina! W sercu moim nie ma wielkiego szczęścia, o mój przyjacielu! Ojciec mnie opuścił. Biały Koń buja na swobodzie. Kobieta, która miała przyjść do mego wigwamu, wyśmiewa się z mojego imienia. Jestem gotów umrzeć.

Błękitne Oko, nakrywszy głowę, zaniósła się płaczem. Łkanie jej brzmiało jak cicha, żałobna muzyka.

- Ha! Jeżeli ty idziesz nadstawić głowę - odezwał się Bill - to się zabierzemy razem.

- Ja muszę zostać, żeby umrzeć razem z moim ludem! - wykrzyknął Stojący Byk. - Czerwony Sokole, czy zabierasz tego człowieka ze sobą?

Czerwony Sokół spojrzał na Billa z dziwnie łagodnym uśmiechem:

- To mój brat. Musi iść, to musi. Jeżeli musi iść niech idzie. Dwaj biali przyjaciele wyszli z namiotu i spośród pozostałych kilkunastu szkapin wybrali sobie dwie najlepsze i najbardziej ręce.

Już w siodle, Rusty rzekł pytająco:

- Czy Szejenowie powiedzą, że porzucam ich w ciężkiej potrzebie? Cichy głos Błękitnego Oka zabrzmiał w odpowiedzi:

- Jeżeli Szejen powie złe słowo przeciwko Czerwonemu Sokołowi, ziemia rozstąpi mu się pod nogami - ogień porazi go z nieba!

Tenney, jako że był cięższy, dostał większego i silniejszego konia. Ze skraju obozowiska dostrzegli na tle ciemnego nieba sylwetki czterech kawalerzystów, patrolujących w pobliżu.

- Gdy się oddalą, ruszymy my - rzekł Rusty do Billa. - Pociągniemy cichaczem, żeby kopyta nie dudniły. Gdy nas zobaczą, pomkniemy co koń wyskoczy.

Tenney skinął głową. Stojący Byk podniósł potężne ramię nad głową Sabina.

- Mamy umrzeć, bracie - rzekł. - Ale szczęśliwe dni, któreśmy spędzili razem na ziemi, zaczną się dla nas na nowo na niebieskich błoniach. - Zegnaj!

Patrząc na olbrzymiego Szejena Rusty odczuł, że najgorszy ból śmierci już nad nim przepłynął. Ale dławilo go w gardle i tylko wyjąkał coś niezrozumiałego. Ponieważ biały patrol już skrył się w mroku, ruszył kłusem. Tylko Stojący Byk i Błękitne Oko byli świadkami odjazdu dwóch białych. Reszta Szejenów o tym nie wiedziała. Księżyc świecił bardzo jasno. Na prawo i na lewo droga była wolna. Przyspieszyli biegu. Ziemia uciekała spod kopyt galopujących koni.

Gdyby trafili na parów lub wyrwę w rodzaju tych, jakie wiosenne deszcze wymywają na równinach, byłiby bezpieczni. Ale księżyc wydawał się jaśniejszy, niż słońce w południe, a preria szła w dal prawie gładką płaszczyzną, niby zamarznięty ocean.

W zadumę Rusty'ego wdarł się nagle cichy okrzyk Billa Tenney'a:

- Jadą! - uciekajmy!

Czerwony Sokół usłyszał w tej samej chwili tętent kopyt. Od prawej strony ciągnęło za nimi pięciu jeźdźców. Od lewej - czterech. Bill Tenney rzucił konia w cwał. Mustang Rusty'ego gnał za nim bez popędzania. Zaczęli zostawiać pościg.

Oglądając się Tenney zobaczył, że oba patrole zbiły się razem i suną za nimi zwartą masą. Zaśmiał się:

- Zjedzą diabła, bracie. Zostawimy ich w tyle...

Radosny okrzyk urwał się nagle i Bill razem z mustangiem zniknął Rustemu z oczu, jakby w ziemię zapadli. Biednemu mustangowi noga wpadła w dziurę.

Sabin zawrócił z krzykiem rozpaczony. Zobaczył straszny obraz. Koń próbował dźwignąć się na trzech nogach. Bill leżał twarzą do ziemi z głową przygiętą pod tak ostrym kątem, jakby skręcił kark.

Rusty nie miał wątpliwości, że tak się stało. Jęk bólu rwał mu się z piersi. Wyciągnął rękę do świetlistego sierpa księżyca:

- Manitou, miej miłosierdzie nad jego duchem! Zawieź go na niebieskie, łowieckie błonia Szejenów. Niech znów jeździ z nami na bawoły!

Słyszając za sobą wrzawę pogoni, popuścił cugli podrażnionemu koniowi i pędził dalej. Obejrzawszy się, stwierdził, że dwaj jeźdźcy zatrzymali się koło ciała Billa, ale siedmiu gna za nim.

Wszyscy mieli świetne wierzchowce. I nic dziwnego. Major nie darmo sam wybierał konie dla garnizonu. Jeżeli mu przyprowadzono dziesięć mustangów, brał jednego - najlepszego. Zważał na wielkość, dobierał podobne sztuki, wypróbował rączość. Toteż siedmiu ścigających trzymało się prawie na jednej linii i byli coraz bliżej. Czerwony Sokół, przyzwyczajony do olbrzymich skoków Białego Konia, miał uczucie, że podryguje na miejscu.

Nieprzyjaciel przybliżał się powoli. Odległość zmniejszyła się tak dalece, że mogli otworzyć ogień. Nad głową Rusty'ego jęły gwizdać pojedyncze kule.

Biali nie marnowali zbyt dużo amunicji. Strzelali od niechcenia dla postrachu.

W odległości zaledwie pół godziny jazdy od obozowiska Rusty poczuł się zgubiony. Mustang zaczynał podrzucać łbem. I właśnie w tej chwili, gdy wszystko było stracone, otworzyła się przed nim kręta, sucha wyrwa, głęboka na dziesięć stóp, o bokach zupełnie prostopadłych.

Zawrócił i ruszył skrajem wyrwy. Ale zaledwie dał dwa skoki, kula karabinowa dużego kalibru łupnęła ciężko w mustanga. Biedne zwierzę skręciło się z bólu i runęło w wyrwę.

Nie tracąc przytomności umysłu, Rusty wyciągnął stopy ze strzemion. Gdyby nie to, że się w upadku potoczył, co osłabiło uderzenie, byłby zemdłał. W jednej chwili zerwał się chwiejnie na nogi i pobiegł za bliski zakręt wielkiego rowu.

Słyszał nad sobą wrzaski białych. Chowając się za krzak, wyrastający ze zbocza, zobaczył głowy i ramiona dwóch kawalerzystów. Szelest żwiru ostrzegł go, że znaleźli dogodne miejsce i zjeżdżają do wyrwy. Za chwilę trzech minęło go pędem. Kopyta waliły z trzaskiem w kamienie.

Łomot przycichł, znów się wzmógł, znów przegalopowali koło niego. Gdyby spojrzeli uważniej za rozłożysty krzak, zobaczyliby go. Ale nie spojrzeli. Odjechali. W powietrzu został słaby zapach końskiego potu. Rusty usłyszał grzmiący głos:

- W tamtą stronę! Tu go nie ma!

I grzmot kopyt końskich poniósł się w przeciwnym kierunku.

Rusty wyszedł z ukrycia i z minutę pędził po kamienistym dnie wyrwy, po czym północnym zboczem wydrapał się na wierzch. Ale nic stąd nie zobaczył. Jeźdźcy zginęli w parowie. Puścił się biegiem prosto na północ, długimi, swobodnymi skokami. Tak umieją biegać tylko Indianie.

Na niebie nie było najmniejszej chmurki i świetlny blask księżyca gasił sąsiednie gwiazdy, a te nad widnokrzem przyćmiewał.

Daleko na prawo zamajaczył drobny, ciemny kształt w ruchu. To jeden z żołnierzy z patrolu szukał uciekiniera. Rusty, nie przestając biec, obejrzał się za siebie. Dostrzegł drugą postać.

Czy bezpieczniej będzie rzucić się plackiem na ziemię? Nie, bo jeżeli patrol przeszukuje prerię tak starannie, to zjeżdżą okolicę wzdłuż i wszerz, a tu trawa niska, że schować się nie sposób.

Nagły łomot rozległ się od prawej strony. O ćwierć mili rozciągała się płaska kotlina. Stamtąd szedł ów łomot. Samotny kawalerzysta spłoszył wielkie stado koni. Tabun ruszył w lewo, pod kątem prostym do kierunku ucieczki Rusty'ego. Środkiem migał srebrzysty biegun, niby biała piana na grzbiecie ciemnej fali.

Biały Koń!

Rusty zaczął krzyczeć. Pędził prosto na tabun. Narazał życie. Dzikie lub na pół dzikie konie, które uciekną przed jeźdźcem, często stratują piechura. Ale widok białego ogiera pozbawił go przytomności.

Konie gnały prosto na niego, lecz zobaczywszy go, skręciły. Wrzeszczał na całe gardło, ale tętent kopyt, **kwiki** i parskania zagłuszały głos.

Stanął i złożył usta do gwizdnięcia. Bez skutku, bo dusił się z braku tchu. Rzucił okiem naokoło. Jeździec z lewej strony zobaczył go i leciał z pochyloną głową dla większej szybkości.

Rusty raz jeszcze spróbował przywołać ogiera przeraźliwym gwizdnięciem, jak to zawsze czynił. Tym razem udało mu się. Ale dźwięk, cienki i wysoki, zgubił się w tętencie.

Jednakże konie mają słuch daleko bystrzejszy od ludzkiego. Czerwony Sokół zobaczył, że wyniesiony nad stado biały łeb skręca w jego stronę. Gwizdnął ponownie. Potężny ogier wynurzył się spośród tabunu niby księżyc spomiędzy lotnych chmur. Chwilę stał z podniesionym łbem, z ogonem odwianym na bok, piękny i wspaniały. Nagle ruszył prosto na swego pana i zatrzymał się przed nim z poślizgiem. Za chwilę Rusty był na grzbiecie ulubieńca.

Jedną rękę wplótł w grzywę. Kawalerzyści nadjeżdżali wykrzykując ze zdumienia. Z prawej strony zbliżał się jeden cwałem. Rusty zaśmiał się śmiechem szaleńca. Mogli go teraz łapać. Równie łatwo mogli zgonić błyskawicę.

Krzyknął. Ogier runął w rozpędzoną ciżbę koni. Rusty znalazł się w wirs końskich grzbietów. Tu i ówdzie latały w powietrzu urwane końce linek. Znak to był, że biały szatan pokradł konie Indianom. Ale łaskawy los znów je zwracał. Indianom.

Pościg został daleko w tyle. Ze swego stanowiska Rusty widział, jak żołnierze wstrzymali wierzchowce i patrzyli za nim osłupiali.

Pół godziny lub dłużej płynął z tabunem. Potem wysunął się powoli na czoło. Koń nie miał uzdy, ale Rusty potrafił się obejść bez uzdy. Ogier dawał się kierować głosem i pociąganiem za grzywę, co działało jak najdotkliwsze wędzidło, W razie potrzeby Rusty przechylał się, lub naciskał bok konia kolaniem. I to także działało niezawodnie.

Jadąc przed czołem tabunu, czuł w Białym Koniu drgawki radości. Powoli ogier uspokoił się i wtedy Rusty zaczął zawracać tabun. Nie spieszył się. Wiedział, że najważniejszą rzeczą będzie uchwycić odpowiednią chwilę. Nie miał sposobu ostrzec Szejenów, jaką odsiecz im prowadzi. Chciał wziąć białe patrole zaskoczeniem, zwalić się na nich żywym murem mustangów.

Ale czy tabun, nabrawszy znów rozpędu, nie skręci z powrotem na prerię?

Albo, czy biali, zobaczywszy z dala, co im grozi, nie przepłoszą i nie rozproszą stada?

Trudno było coś powiedzieć. Nie miał innego sposobu, jak przeć naprzód, zaganiając tabun, żeby się nie rozlatywał. Zawodzenie kobiet szejeńskich szumiało mu pod czaszką jak wichura.

XXX. KLAMSTWO BILLA

Bill Tenney nie skręcił karku. Co prawda, gdy poczuł się w rękach dwóch kawalerzystów, z dłońmi, związanymi z tyłu, o mało nie pożałował, że się tak nie stało.

Pognali go przed sobą. Gdy zwalniał, jeden kłuł go końcem szabli w plecy. Drugi smagał raz po raz batem.

Gdy przyspieszał kroku, wybuchali śmiechem.

- Pan major będzie rad, jak cię zobaczy! - powtarzali na przemian.

Major był w istocie mocno rad. Nie mógł spać tej nocy nie tyle z niepokoju, co z radości. Posławszy patrole, nie wątpił, że ma zwierzynę w ręku. Gdyby Szejenowie mieli konie, byłby kłopot, gdyż ledwie rzucił okiem na obóz, poznał, że Błękitne Oko wprowadziła go w błąd, że wojowników było daleko więcej niż trzy dwudziestki. Obliczył w przybliżeniu „garnizon” wioski na dwie, trzy setki. Gdyby nie to, że nieprzyjaciel został bez koni, odwrót do fortu byłby przy takim stosunku sił diabelnie niebezpieczny.

Ale major wiedział, że Indianin bez konia jest do niczego.

Czerwonoskórzy nie wytrzymają oblężenia. Wkrótce zabraknie im amunicji i żywności.

Widział się już zwycięzcą.

Zastanawiał się, jak wykorzystać to zwycięstwo dla swej żołnierskiej kariery. Nic dziwnego, że te świetne plany nie pozwalały mu zmrużyć oka.

Major siedział właśnie przy stoliku polowym, zajęty szkicową redakcją długiego, kłamliwego raportu, który miał posłać do Waszyngtonu. Niewielka latarnia rzucała słabe światło, ale majorowi to nie przeszkadzało. Już czuł na ramionach epolety generalskie.

Wiedział, że mężowie stanu w stolicy nie będą zwlekali z nagrodą dla niego, dla bohatera.

Usłyszał kroki, stukanie w palik i słowa:

- Nocny patrol z jeńcem, panie komendancie!

Podniósł głowę i uśmiechając się, zawołał:

- Wejść!

Kapral i szeregowiec wepchnęli przed sobą Billa Tenney'a.

Uśmiech rozmarzenia znikł z twarzy majora, a pojawił się wyraz złośliwego szyderstwa.

- A, jesteś, przyjacielu?!

Tenney nie odpowiedział. Znów pożałował w duszy, że nie skręcił karku. Był pewny, że major wymyśli mu straszną, męczeńską śmierć. Ale przejścia w obozie Szejenów, gdzie mu groziło to samo, uzbroiły go w pewien hart.

- Dwóch uciekło z wioski. Ten i drugi - raportował kapral. - My za nimi - pierwsze dwa patrole! Ten zleciał z siodła, bo koń złamał nogę. Drugi zwiął. Ale widziałem, że chłopcy go doganiają.

- Dobrzeście się spisali, chłopcy! - pochwalił major. - Takich zasług się nie zapomina. Nie wyrzucę was z pamięci. W parę dni obozowisko będzie nasze. Przypilnuję, żeby się wam dostała sowita nagroda.

Kapral zasalutował. Szeregowiec wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- No, Tenney - major zwrócił się do jeńca - gadaj, dokąd szorowałeś z towarzyszem i co on za jeden? Jak się to stało, że

Indianie pozwolili wam zabrać dwa konie, kiedy im zostało tylko kilka?

- O, z tym nie było biedy - zagadał zdumiewająco swobodnie Tenney, wbrew obawie, że zapomni języka w gębie. - Temu, co ze mną jechał, oddaliby żywcem wszystką krew, gdyby zażądał.

- Czy to ich naczelnik? Jak to, naczelnik zwiął w takiej chwili z obozu? - pytał major.

- Ja nie mówię o ich naczelniku. Stojący Byk ma u nich wielkie wzięcie, ale nie gra u nich pierwszych skrzypiec.

Zimny niepokój ścisnął majora za serce.

- Czy nie mówisz przypadkiem o tym wyrzutku - Rustym Sabinie? - zapytał.

- Ano, o nim.

Major zbladł tak silnie, że koło ust zrobił się zupełnie biały. Gdyby Rusty umknął, zwycięstwo byłoby mniej niż połowiczne, bo przecież, gdyby się znów zszedł z Maisry, jedno spojrzenie obróciłoby wniwecz wszelkie intrygi majora.

- Czy to znaczy - ryknął - że właśnie teraz, kiedy otoczyłem Szejenów, ten, na którym mi najwięcej zależy, pognał w świat.

- Złapią go, złapią - odezwał się kapral. - Jakem zawracał, już go bez mała mieli w ręku.

- Czemuś nie gonił z innymi? - wrzasnął major. - Wiedząc, że główna zwierzyna umyka, nie powinienesz być bawić się z tym durniem!

- Nie wiedzieliśmy, że to był Sabin, panie komendancie. I po drugie sierżant kazał brać tego!

- Do diabła z sierżantem! - Więc mówisz, że doganiali Sabina?

- Na pewno, panie komendancie.

- Jeżeli go nie schwytają, niech ich Bóg ma w opiece! - rzekł srogo major Marston.

Zwrócił się znów do Tenney'a.

- Dokąd żeście uciekali?

- Przez prerię - odpowiedział Bill.

- Dokąd? - warknął major.

Tenney'owi wydało się, że dostał kańczugiem przez plecy jak wtedy na dziedzińcu fortu. Poratował się z pośpiechem kłamstwem.

- Tu gdzieś na preriach koczuje drugi obóz Szejenów - objaśnił. - Naczelnik nazywa się Cętkowana Antylopa, czy jak tam.

- Ilu tam będzie wojowników?

- Tego sobie nie przypominam - kłamał swobodnie Bill. - Indianie nie rachują ludzi tak jak my. Mówili - że zebraliby się z dziesięć dwudziestek.

- Dwustu ludzi! - krzyknął major.

- Coś koło tego - potwierdził niedbale Tenney.

- I wyście mieli dać im znać?

- Ano, tak. Tutejsi - pod Stojącym Bykiem, mieli siedzieć w wigwamach i czekać aż się kurz podniesie na widnokręgu. Wtedy by wypadli i otworzyli do was ogień, a tymczasem Cętkowana Antylopa

ze swoimi zaszedłby was niepostrzeżenie od tyłu. Liczyli, że w ten sposób wezmą dużo skalpów.

- Ty psie! - wrzasnął major.

Miał przed sobą na stoliku bat. Porwał go i zamierzył się na Billa, chcąc go chlasnąć przez twarz. Ale, tknięty jakąś myślą, opuścił rękę. Chwilę spoglądał na olbrzymiego jeńca, po czym kazał go związać, wziąć pod straż - i czekać na dalsze rozkazy.

Zamyślił się.

Dziwne, że druga banda Szejenów, tak samo liczna jak pierwsza, zapędziła się tak daleko na południe. Pierwsza przyciągnęła po to, żeby prosić Sabina o lek na chorobę. Ale po co by tu przyszła druga? Coś w tym jest. Może Tenney zełgał. Wygląda na spryciarza zdolnego do oszustwa na zimno, mimo grożącego mu niebezpieczeństwa.

Jeszcze nie rozważył sprawy wszechstronnie, gdy zjawił się drugi patrol i sierżant, znękany i zdenerwowany, złożył raport. Mówił wolno, bo stracił z trwogi władzę nad językiem. Właśnie jego koń spłoszył tabun - był blisko, widział jak uciekinier zwabił do siebie ogiera.

- Machnął ręką czy coś - mówił z wysiłkiem sierżant - i koń do „niego. On na konia i hajda! Wiatr nie dorówna temu ogierowi, panie komendancie!

- Niech was wszyscy diabli! - ryknął major. - Durnie, gamonie, niedołęgi! Na Boga! że ja też nie mam w oddziale choć kilku ludzi! Nie przyszło ci do łba, głupcze zatracony, spróbować strzelić?

- Tak jest, panie komendancie. Ja na ziemię - plackiem - przepisowo, panie komendancie! Trzy kulki posłałem. I nic. Jakbym strzelał do fali na morzu. Od razu czułem, że nie trafię.

- Czułeś, durniu? - Toś i ty uwierzył, że Sabin wyprawia sztuki magiczne?

- Nie wiem, panie komendancie. Wiem, com widział i póki żyję, panie komendancie, nie chcę oglądać takich sztuk! Nieludzkie sprawy, panie komendancie. Dziki tabun jak rzeka, środkiem biały ogier... Sabin podniósł rękę, koń do niego i hajda! Nie wierzyłem oczom. To czary, panie komendancie!

- Precz mi z oczu! - wrzasnął major i sierżant czmychnął jak zmyty.

Ale major nie mógł już skupić myśli nad gładkim raportem do Waszyngtonu.

Jeżeli to prawda, że druga banda Szejenów czai się gdzieś w preriach, w takim razie Rusty Sabin na Białym Koniu prędko do nich dotrze i na żołnierzy wyruszy silny oddział czerwonoskórych wojowników.

Postanowił wysłać na zachód oddziałek z dziesięciu ludzi, żeby, rozstawieni parami, dali na czas znać o zbliżającym się niebezpieczeństwie, gdy nowa klęska spadła na jego głowę.

Przed namiotem dały się słyszeć krzyki, które natychmiast przeszły w ogólną, alarmową wrzawę.

- Indianie! - Idą w tysiąc koni! - Indianie! Wrzaski, przekleństwa, krzyki trwogi!

Major wypadł z namiotu.

Już świtało.

Rusty Sabin tak chytrze zdołał podprowadzić tabun pod obozowisko szejeńskie, że biali tego nie zauważyli. Wyczekał mianowicie na tę porę, kiedy przedświt i światło księżycowe zlewają się w pomrokę, nieprzeniknioną dla oczu, znużonych długim czuwaniem. W tym momencie ludzie czekają tylko na świt. Rusty prowadził tabun ku obozowisku Szejenów nie cwałem, lecz powolnym galopem, który Indianie mogli powstrzymać.

Major wybiegł za namioty. Chwilę patrzył w mrok. Nagle podniósł pięści nad głową.

- To nie Indianie! - To tabun - ogier nazbierał koni. - Patrzcie głupcy! Konie bez jeźdźców. - Trąbić wsiadanego! - Trębacz, trąbić wsiadanego! - Na koń! Psy parszywe, nie jazgotać, nie skomleć! Na koń! Musimy przeciąć drogę tym koniom! - Gdzie warty, psiakrew?! Czy wszyscy posnęli?

Raptem major zobaczył Białego Konia, uwijającego się na tyłach i po bokach tabunu, popędzającego maruderów i nadającego kierunek. Siedział na nim człowiek, którego major nienawidził bezgraniczną nienawiścią dla tej prostej przyczyny, że zawsze nienawidzimy tych, których żeśmy skrzywdzili.

Major dosiadł swego wierzchowca. Dwa patrole już zajeżdżały tabunowi od czoła. Ale widok rozpędzonej gromady setek na pół dzikich koni okazał się nad nerwy żołnierzy. Zaczęli strzelać. W tej chwili z obozowiska Indian wybiegli wojownicy ze strzelbami i

popadali na ziemię, celując. Żołnierze rozpierzchli się na wszystkie strony. Widać było jak nachylają się do grzyw. A tymczasem ogromny tabun płynął bez przeszkody ku obozowisku Szejenów.

XXXI. ZASŁUŻYLI NA ŚMIERĆ

Ten nocy Szejenowie czuli, że już przepadła nadzieja na zdobycie skalpów. Ale ze świtem przyszły konie zaświtała nadzieja walki - więcej niż walki, bo zemsty. Ucieczka rączych wierzchowców przykuła wojowników do miejsca. Teraz mieli koni pod dostatkiem. Na każdego Szejena wypadały trzy - cztery i więcej! Stado szło i szło - bez końca.

Szejenowie wybiegli z lassami. Najprzód mężczyźni i zwinni chłopcy. Ale nawet starzy wylegli, nawet chorzy, nawet kobiety, nawet dzieci i żadna para rąk nie pozostała bez zdobyczy.

- To nie Szejenowie - same konie! - mówił major patrząc za tabunem. - A jednak przebiły się przez moje patrole! - O! Boże! Nie mam pod sobą żołnierzy, tylko durniów i tchórzów! - Zwijać namioty! Nie, do diabła z namiotami! - Nie, niech diabli biorą wszystko! - Na koń i marsz! Tylko patrzeć jak będziemy mieli na karku dwie-trzy setki czerwonych diabłów! Sabin tego wszystkiego narobił! Niech go jasne pioruny! - Jestem zgubiony!

Widok żołnierzy, szybko dosiadających koni, był dla niego obrazem klęski.

Z obozowiska Szejenów, w którym przeciągłe wycia żałobników ustały jak ręką odjął, zaczęły dolatywać nowe dźwięki - podwójny

okrzyk, powtarzany bez końca. Głosy kobiet mieszały się z radosnymi piskami dzieci i grubymi basami mężczyzn.

- Co oni krzyczą, do wszystkich diabłów? - zapytał major tłumacza, gapiącego się z otwartymi ustami.

- Wołają w kółko: „Czerwony Sokół! - Czerwony Sokół! - Czerwony Sokół!” - odpowiedział tłumacz. - Oni tak nazywają Rusty’ego Sabina! Uważają go za boga! Może nawet więcej niż za boga!

I tak było. Każdy wojownik wsiadając na konia, zwracał się w stronę jeźdźca na wielkim białym ogierze i potrząsając strzelbą nad głową, pozdrawiał go jego imieniem.

Samo to imię stało się pieśnią pochwalną. Mogli być okrutnie zazdrośni o sławę innych bohaterów, ale nie o Czerwonego Sokoła. Jego uważali za coś więcej niż za człowieka, bo za naczynie łask Wielkiego Ducha. Dlatego Czerwony Sokół jaśniał nad wszystkimi plemionami. Wszak przywrócił zdrowie umierającym, przedarł się bez szkody przez szranki nieprzyjacielskie i sprowadził z prerii rozproszone konie - w ostatniej chwili - na ratunek. Sam Manitou nie o wiele był potężniejszy.

Gdy Rusty Sabin zsiadł z konia, podeszła do niego chwiejnie olbrzymia tłusta squaw i dotknąwszy go delikatnie wskazującym palcem, zaczęła podrygiwać w ekstazie z rękami nad głową, wyrzaskując jego imię.

Zbliżyli się inni z jeszcze większą czcią, lecz z praktyczniejszymi zamiarami. Przynieśli najpiękniejsze siodło

Stojącego Byka i nałożyli na ogiera. Przynieśli uzdę, ozdobioną paciorkami.

Błękitne Oko przybiegła pędem, niemal frunąc nad głowami, i włożyła w ręce Rusty'emu najlepszą, najnowszą strzelbę Sharpa w darze od ojca.

- Dostali ci się w ręce, Czerwony Sokole - wielki bracie! - zawołała. - Obmyj się w ich krwi.

- Zdrajcy! Umaluj się na czerwono! Uczyni się na zawsze Szejenem! Od dzisiejszego dnia będziesz na zawsze nasz sercem i ręką!

Uśmiechnął się niewyraźnie i dosiadł ogiera. Wszyscy wojownicy byli już na koniach. On wsiadł ostatni. Wielki zastęp jeszcze nie wyruszył z obozowiska. Jeźdźcy uwijali się to tu, to tam, wypadali na skraj ciżby, udawali, że rąbią toporkami nieprzyjaciela i przebijają nożami. Zapaleni bojową ochotą i nadzieją zwycięstwa, udawali, że potrząsają w powietrzu skalpami.

Cała ta gromada czekała na rozkazy Czerwonego Sokoła.

Stojący Byk, choć był przecież naczelnikiem wojennym, nie doświadczał ani cienia zazdrości. Straszny w wojennym malunku, wykonanym z grubsza, bo pospiesznie i pokrywającym twarz i potężne, prawie nagie ciało, czekał na ognistym koniu obok Rusty'ego Sabina.

- Gdy dasz hasło - zawołał - gdy powiesz słowo, Czerwony Sokole, uderzymy na nich! - Mamy ich w rękę!

I w przystępie bojowego zapału jął wykrzykiwać razem z innymi:

- Czerwony Sokół! - Czerwony Sokół! - Czerwony Sokół!

Robiło się coraz widniej. Czerwony Sokół spojrzał ku preriom i zobaczył kolumnę kawalerii w odwrocie. Namioty zostały na miejscu. Kolumna, maszerując, formowała się w ruchomy czworobok, pusty w środku. Czerwony Sokół wiedział, że żołnierze walczyliby jak lwy. Ale jakkolwiek odważni - wyćwiczeni, wytrzymali - zbyt byli nieliczni, żeby odeprzeć atak Indian. Parę salw i byłoby po wszystkim.

Otoczyliby i zgnięli nieprzyjaciela samą przewagą liczebną. Na jednego kawalerzystę wypadłoby dwóch do trzech olbrzymich Szejenów, spragnionych sławy, chciwych skalpów, żądnych zemsty za okrutną zdradę majora Marstona lub - chwalebnej śmierci.

Rusty Sabin rozumiał położenie i zastanawiał się, jak ma postąpić. Gdyby najlepsza część garnizonu z Fortu Marstona poległa, sam fort prędko by wpadł w ręce Indian i placówka białej cywilizacji przestałaby istnieć. Może ta klęska wystarczyłaby, żeby na zawsze położyć kres pochodowi białych na Zachód, może rasa czerwonoskórych uwolniłaby się na zawsze od whisky i chorób białych.

Spojrzał w bok.

Leniwy Wilk potrząsał ręką, w której trzymał książkę, wykrzykując coś nie dającego się w tym harmidrze rozróżnić i na próżno usiłując się przepchnąć do bohatera dnia. Leniwy Wilk na pewno starałby się odradzić mu atak na białych. Ale Leniwy Wilk jest

sam białym człowiekiem, zbyt ociężałym, żeby poprzeć czerwonoskórych. On, Czerwony Sokół, jest natomiast prawdziwym Indianinem z ducha.

Zdecydował się.

Maisry i jej rodzinę potrafi uratować od rzezi, gdy przyjdzie do ataku na Fort Marstona. Co się tyczy innych, to czyż biali byli kiedy dla niego dobrzy i sprawiedliwi?

Grubemu szynkarzowi także daruje życie. Reszta zasłużyła na śmierć. Przewrotni, kłamliwi, okrutni, chytry! Powinni umrzeć!

W sercu Rusty'ego wzbierał gniew.

Wysunął się na skraj skłębionej ciżby wojowników.

Podniósł rękę do góry. Najbliżsi umilkli. Dalsi powtarzali przez chwilę sąsiadom:

- Czerwony Sokół mówi!

Zrobiło się zupełnie cicho. Sabinowi wydało się, że nawet psy przestały hałasować.

- Stojący Byku! - zawołał.

Wojenny naczelnik Szejenów zjawił się natychmiast u jego boku.

- Ustaw ich w dwie gromady - rozkazał Czerwony Sokół. - Pierwszą ja poprowadzę. Ty zajdziesz z drugą na tyły białym. Zobaczywszy was, będą musieli stanąć. Wtedy...

- Rozumiem - zawołał Stojący Byk wspierając konia.

- Wtedy - zakrzyczał Czerwony Sokół - ja dam znak. Gdy usłyszysz krzyk moich ludzi, uderzysz na białych. Napadniemy ich z dwóch stron jednocześnie.

XXXII. ODWRÓT

Major Marston pocieszał się już tylko tą nadzieją, że Szejenowie, szarżując na oślep, załamią się od pierwszych salw żołnierzy. Major znał Indian. Wiedział, jak łatwo tracą ducha. Jeżeli Szejenowie są tacy jak inni, to straciwszy w pierwszym ataku czołowe szeregi, nie odważą się szarżować drugi raz.

Cofną się i będą harcować wokół pustego czworoboku, dopadając i odskakując.

W tej chwili major zobaczył za sobą oddział Indian galopujący przez prerię, wśród nich jeźdźca na Białym Koniu. Wyjąc głośno czerwonoskórzy utworzyli półkole i zatrzymali się za oddziałem białych.

Tu ustalili się nie w jeden szereg, lecz w trzy zbite gęsto, ramię do ramienia.

Indiański mózg nie zdobyłby się na taki manewr. Musiał więc to być pomysł Czerwonego Sokoła.

Spojrząwszy przed siebie major zobaczył, że z przodu ustawia się taki sam mur indiańskich wojowników.

Poczuł, że dożył swego ostatniego dnia na ziemi. Maisry - sława wojenna - wszystko, co stanowisko i pieniądze mogą dać człowiekowi - wszystko to wydało mu się w porównaniu z życiem nędzne i bezwartościowe. Ale wiedział już, że nie uratuje życia. Szejenowie,

odważni, zaciekli wojownicy, przewyższali białych o całe niebo. Jeżeli kawalerzyści pokładają się za końmi, Szejenowie zwałą się na nich jak lawina. Jeżeli zostaną w siodłach, i tak się nie oprą.

Major kazał swoim stanąć. Wychodząc z fortu był pod wrażeniem, że prowadzi silny oddział, zdolny bez trudu wymordować dwie czy trzy dwudziestki Szejenów. Teraz widział, że ma pod sobą garstkę.

Żołnierze rozumieli, na co się zanosi. Trzymali się niby to dzielnie, ale byli bladzi i oczy latały im niespokojnie.

Najgorsze było to, że milczeli. Gotując się do bitwy, wybierając wzrokiem żywe cele, powinni byli kląć. Tymczasem żaden nie otworzył ust. Tylko jeden głos ryknął z szeregu za plecami majora, jak gdyby w odpowiedzi na wrzaski Szejenów, ale także w ich języku. To Bill Tenney dawał znać o sobie.

Major wykręcił się w siodle i spojrzał srogo na jeńca. Ten siedział na koniu z nogami związanymi pod brzuchem wierzchowca. Marston zapomniał prawie o jego istnieniu, ale teraz sobie przypomniał.

- Ty psie! - rzekł. - Iz tobą zrobimy porządek. Coś wrzeszczał?

- Wołałem: „Czerwony Sokół!” - odparł nieustraszenie Bill. - Strzel mi w łeb, komendancie, i niech cię wszyscy diabli! W chwilę po mnie i ty zginiesz i psy Szejenów będą gryźć twoje kości!

Major wzdrygnął się lekko. Ale przebiegły jak zawsze, zastanowił się, czy osoba jeńca nie mogłaby się na coś przydać.

- Wołałeś coś więcej. Słyszałem więcej słów. Co one znaczą?

- O, wołałem tylko: „Czerwony Sokole - mój bracie!” Bo my jesteśmy braćmi.

- Braćmi?

- Jeżeli on tak powiada, to tak jest - odpowiedział tonem wesołej beztroski Tenney. - Zapytaj, komendancie, w szejeńskim obozie o braci Czerwonego Sokoła. Wskażą ci mnie i wodza, Stojącego Byka, naczelnika wojennego. Mam tam u nich wielkie poważanie.

- Wilk ciągnie do wilka - rzekł szyderczo major. - No, ale zwiąłeś na Białym Koniu. Nic ci to nie zaszkodziło w ich oczach?

- Dziwacznicy ludzie i tyle. Widocznie Czerwony Sokół wiedział, że odzyska Białego Konia. I odzyskał.

- Jesteś nędzne narzędzie, Tenney, ale może mi się uda coś przez ciebie zrobić - powiedział. - Rusty Sabin ma ptasi mózdzek. Spróbuję mu zamącić w głowie.

Ruszył na czoło kolumny, gdzie stali wojownicy Czerwonego Sokoła. Ten przejeżdżał między szeregami, zagadując to do tego, to do tamtego. Major widział wyraźnie zacięte twarze wojowników.

Major wyjął białą chustkę, powiał nią nad głową, i mając za sobą trzech ludzi, ruszył prosto ku nieprzyjacielowi, ciągle z chustką w powietrzu. Szejenowie powitali go urągliwym wyciem i okrzykami nienawiści. Kilku wojowników porwało za strzelby. Major ocalał, bo Sabin krzyknął coś ostro i lufy zniżyły się. Ale wojownicy byli niezadowoleni.

Naprzeciw majorowi wysunął się sam Czerwony Sokół na swoim wspaniałym koniu w asyście Stojącego Byka i dwóch pomniejszych wodzów.

Czy jednak major chciał pertraktować, czy poddać się? Wątpliwości rozwiąły się od pierwszych jego słów.

Panie Sabin - rzekł - wzięłeś nas w potrzask. Jeżeli uprzesz się, żeby stoczyć bitwę, padnie mnóstwo ludzi. Masz przeważające siły, ale ręczę ci, że każdy z moich żołnierzy, nim ich pokonacie, zabije jednego wojownika. Mam dobrą broń i żołnierze są wyćwiczeni w strzelaniu. Jeżeli przypuścicie atak, pierwsze wasze szeregi padną. Potem wy nas pewno zgnieciecie, ale czy wam się to opłaci? Niektórym wigwamom przybędą świeże skalpy, za to reszta będzie wyla nad poległymi. Czyś się nad tym zastanowił?

Majora dużo kosztowała ta przemowa. Usta mu drżały, nozdrza latały. Nie mógł zapomnieć, że miał niedawno Rusty'ego Sabina w forcie na swojej łasce i niełasce.

Sabin patrzył na niego dziwnym wzrokiem, takim jak nigdy dotąd. We wzroku tym było niewiele nienawiści, ale za to dużo odrazy.

- Nie jesteś mężczyzną - odpowiedział. - Żal mi moich braci, ale przecież gdybyś mógł postawić na swoim, to by Szejenowie zginęli wszyscy. Wpierw byś ich zagłodził, potem musieliby walczyć pieszo i zginęliby od waszych kul. Czemu mi mówisz, że wielu Szejenów umarłoby w bitwie? Wszyscy jesteśmy gotowi umrzeć, byle zabić trochę białych!

- Sabin, tyś sam biały.

- Mam białą skórę, ale dziś moja krew stała się taka jak krew Szejenów. To mój lud. Patrzę na ciebie i widzę, że musisz umrzeć. Jakiś głos mówi mi, że zginiesz z mojej ręki!

Mówił tak uroczyście, że major na chwilę oniemiał. Śmiertelny strach przeszył mu duszę niby ostrze noża.

- Więc skazujesz na śmierć Tenney'a?

- Tenney'a? - gniewnie zawołał Czerwony Sokół. - On już nie żyje. Spadł z konia i leży martwy na prerii. Później każę go położyć na wysokim drzewie i zabiję pod nim twoje najlepsze konie, żeby jego duch miał na czym jeździć po niebie. Bo twoi ludzie go zabili!

- Jeszcze nie - poprawił major. - Ale spróbujcie szarżować, to z pewnością strzelą mu w łeb. Jeżeli nie wierzysz, że on tu jest, popatrz po naszych szeregach. Widać go, bo większy od innych. To Tenney. Widzisz. Nie zabił się, tylko zemdlał. Złodziej, ale kazałem się z nim obejść po ludzku.

Rusty uniósł się w strzemionach i patrzył z radością, lecz i niedowierzaniem.

Major mówił prawdę. Bill odwrócił głowę i Sabin rozpoznał wyraźnie wilczą twarz druha.

A więc Tenney żyje. Nie unosi się w powietrzu bladym widmem! Uśmiech szczęścia rozjaśnił twarz Czerwonego Sokoła.

- Prawda! Jest - wykrzyknął z radością.

- Teraz żyje, ale ruszcie do ataku, to dostanie kulą w łeb - odparł major. - Zastanów się, Sabin. On ciebie nazywa „bratem”. A ty jak chcesz go nazwać? „Trupem”?

Rusty westchnął. Widać było, że jest poruszony. Spojrzawszy w prawo i w lewo, odpowiedział:

- A ty? Jak ty umrzesz? - wskazał wyciągniętą ręką na pierś majora. - My dwaj musimy się rozprawić.

- Z miłą chęcią - odparł fałszywie major. - Ale pierwszym moim obowiązkiem jest doprowadzić bezpiecznie oddział do fortu. Potem się spotkamy.

- Wiele razy mówiłeś tak, jak nie jest - rzekł wolno Rusty. - Jakże ci teraz zaufam?

- Możesz zaufać - ryknął major z wybuchem wściekłości i nienawiści - bo niczego tak nie pragnę jak twojej śmierci! Czy teraz wierzysz?

- Tak! - zgodził się Rusty, gdyż wybuch majora powiedział mu prawdę. - Teraz ci wierzę. Ale gdzie się spotkamy - i kiedy?

- Za trzy dni. Nad Tulmakiem w górę od fortu, w miejscu, gdzie wpada pierwsza rzeczka od północy. Tam ludzie nie chodzą. Nikt nam tam nie przeszkodzi.

Rusty długo się zastanawiał.

Raptem podniósł oczy i rękę do nieba.

- Manitou, natchnij mnie mądrością!

Ale wyobraźnia ukazywała mu tylko twarz majora Marstona, wykrzywioną przedśmiertnym skurczem.

- Czuję, że mogę ci zaufać. Czy sam się stawisz, biały naczelniku?

- Sam - zgodził się major.

- Więc trzeciego dnia, czyli pojutrze, skoro świt, spotkamy się nad rzeczką?

- O świcie, pojutrze - potwierdził major i już zaczął się głowić, jak wybrnie z matni.

- To wydasz mi teraz Tenney'a?

Major skrzywił się. Mimo to odpowiedział:

- Tak jest. Wydam ci go.

- Oddajesz mi Tenney'a i przysięgasz, że się spotkamy trzeciego dnia rano. Podnieś prawą rękę - tak - z szablą w dłoni - twarzą do słońca. - Przysięgasz?

Major wyciągnął szablę.

- Przysięgam, że spotkam się z tobą trzeciego dnia rano, w dolinie rzeczki.

Powiedział to, zwracając twarz ku wschodzącemu słońcu. Rusty odetchnął z ulgą.

- Mnie wydasz Tenney'a - powtórzył, gdy szabla skryła się w pochwie. - A co dasz Szejenom?

- Szejenom? - Cóż ja im mam dać? Cóż mam do dania? Rusty pokazał ręką.

- Masz strzelby i amunicję; masz dobre konie - bardzo dobre. Namioty i derki zostawiłeś, ale masz jeszcze dużo innych rzeczy. Czy każesz złożyć wszystko na ziemi i odmaszerujecie?

- Żebyście nas wyrznęli? - wrzasnął major. - Czy mnie masz za głupca, Sabin? Człowieku, mamże się okryć wieczną hańbą? Czego żadasz?

Czerwony Sokół pokiwał głową.

- A! - i rzekł. - Widzę, że człowiek może kłamać, może oszukiwać, może chcieć mordować śpiących i przy tym wszystkim zachować dumę w sercu. Dziwy, dziwy! Ale nie bój się, nie wyrzniemy was. Żaden z Szejenów nie podniesie na was ręki. Zresztą zatrzymacie rewolwery.

- A jak wrócimy do fortu?

- Macie mocne nogi - odparł Rusty. - Ja sam odbyłem tę drogę pieszo.

- Piekło i szatani! - jęknął major.

Ujrzał okiem wyobraźni swoją przyszłość. Ta hańba przekreśli wszystkie jego dotychczasowe zasługi. Na pewno zostanie zdegradowany, może nawet wyrzucony z wojska. I raptem będzie chodził po ulicach miast, ubrany jak inni ludzie. Nie będzie ciągnął za sobą zachwyconych spojrzeń, nie będzie wydawał rozkazów.

W pewnym sensie będzie to dla niego wyrokiem śmierci.

I wszystko to ma spaść na niego przez tego naiwnego białego dzikusa o łagodnej twarzy i jeszcze łagodniejszym głosie! Majorowi zrobiło się niedobrze. Przyszło mu nagle do głowy, że ten człowiek musi być w przymierzu z nadziemskimi siłami.

- To się nie da zrobić - powiedział. - Moi ludzie będą woleli zginąć!

- Nie - zaprzeczył łagodnie Rusty. - Oni nie chcą umrzeć. Widzę, że bardzo pragną żyć. Z radością pomaszerują pieszo. Może sobie poodparzają nogi, ale to drobnostka!

Przy tych słowach Czerwony Sokół uśmiechnął się pogardliwie.

Za namową Leniwego Wilka Sabin zmusił majora do podpisania aktu kapitulacji.

Dla Marstona była to chwila śmiertelnego upokorzenia. Podpisując się na tym papierze, wystawił sobie po wieczne czasy świadectwo zdrajcy, kłamcy, najezdника i mordercy. Twarz mu nagle postarzała, zapadła się, skostniała w maskę rozpacz i nienawiści.

Nachylił się do Czerwonego Sokoła i rzekł zduszonym szeptem:

- Nie zastanawiam się, czy cię zabić, tylko jak cię zabić. - Na Boga, Sabina gdybyś miał w sobie tyle życia, co cała brygada, to jeszcze by to dla mnie było za mało. Zabijałbym cię bez końca.

- Dlaczego tak mówisz? - zapytał z prostotą Rusty. - Możesz mieć swoje pragnienia, ale dokonasz tylko tego, na co ci, pozwoli twój Wielki Duch.

I oddalił się.

Tymczasem haniebny odwrót już się zaczął. Żołnierze, którzy przybyli tutaj, chciwi krwi, łupów i sławy, złożyli w kozły strzelby, pozdejmowali ładownice, pokładli na ziemi wszystkie drobiazgi, jakie mieli przy sobie i ruszyli pieszo w powrotną drogę, zostawiając osiodłane konie. Zatrzymali tylko rewolwery, którymi odgrażali się chmarom małych Szejenów. Ci, harcując naokoło, zasypywali ich obelżywymi wyzwiskami i tumanami kurzawy.

Wojownicy, wprędce zapomniawszy głodu krwi, zajęli się zdobyczą. Ale nie było tak, żeby każdy grabił co chciał. Stojący Byk zajął się sprawiedliwym rozdziałem skarbów. Największy zachwyty budziły błyszczące ostrogi, wśród których było sporo złoconych.

Jeden Czerwony Sokół nie brał udziału w radosnym obchodzie tego bezkrwawego a sławnego zwycięstwa, będącego jego dziełem. Poszedł do namiotu Leniwego Wilka i usiadł z głową, nakrytą skórą. Wrzawa tańców, śpiewów, krzyków i śmiechów zagłuszała wszelkie słabsze odgłosy. Nie spostrzegł, że weszła Błękitne Oko. Podniósł twarz, prawie niewidoczną w cieniu” i zdziwił się, gdy spojrzała na niego z boleścią.

- O, Czerwony Sokole - rzekła - jeżeli kochasz białą dziewczynę tak bardzo, że nie możesz zdusić pustki w sercu, to jedź do niej. Cokolwiek złego napisała na papierze, to głos jej, gdy mówiła o tobie, dźwięczał inaczej. Od pierwszych słów poznałam, że się kiedyś zejdziecie. Wracaj do niej. Szczęście nie jest jak oswojony pies. Nie przyjdzie ci do nogi na gwizdnięcie.

- Jeżeli wrócę, będzie się ze mnie śmiała - odpowiedział Czerwony Sokół. - A wtedy z wielkiego bólu zapragnę śmierci.

- Nie umrzesz. Miłość bardzo boli, ale ciebie nie zabije.

- A, co ty o tym wiesz, dziewczyno?

- To wielki ból - rzekła przyciskając rękę do piersi. - Tu gdzieś między żołądkiem i sercem. I w gardle zasycha. Ale nie umrzesz od jej śmiechu. Tylko wrócisz do Szejenów i naprawdę przystaniesz do nas. Niech ona się z ciebie roześmieje, odleci cię reszta białej duszy.

- Dobrze mówisz. Ale teraz odejdz ode mnie. Ilekroć cię widzę, zaczynam myśleć o Maisry.

Zaraz następnego dnia wyruszył do Fortu Marstona. Nikt nie wiedział, dokąd się udał wielki czarownik. Myślano, że pojechał polować. Skręcił pozornie na zachód i dopiero gdy mu wigwamy znikły z oczu, skierował się na południe.

Nie mógł wiedzieć, co się tymczasem działo w wiosce. Nie widział, że Bill Tenney przyszedł do namiotu Leniwego Wilka i usiadł na ziemi z fajką w zębach. Bill miał zwyczaj dmuchać tak silnie, że cybuch z czerwonego kamienia rozżarzał się i buchał dymem obficie niż usta.

Podwinąwszy nogi, przemówił wolno i spokojnie:

- Chcesz Czerwonego Sokoła, Błękitne Oko, ale go nigdy nie dostaniesz. On się łatwo nie zmienia. Jak mu co raz zajdzie w serce, to już siedzi na wieczne czasy. Jego natura jest twarda, jak ten zielony żuk, którego nosi na szyi. O! on się nie zmienia. - Spójrz na mnie. Kawał drania ze mnie. Chciałbym wszystko łupić dla siebie, ale Rusty'emu nie zabrałbym niczego. Jego bym nie skrzywdził.

Podniósł wilczą głowę i patrzył na chmurę dymu w górze. Leniwy Wilk w okularach, zepchniętych wysoko na czoło, spoglądał na niego bez złościwości.

Tenney potrząsnął głową, jakby dziwiąc się samemu sobie.

- Nie, Rusty'emu nic bym nie zabrał, nawet choćbym mógł. Po części dlatego że go się boję; po części że jest taki - wspaniały.

I dziwił się temu co mówi, że się przyznaje do strachu przed innym człowiekiem. Czuł, że stał się inny niż był.

- Słuchasz, Błękitne Oko? - zapytał.

- Słucham - odparła spoglądając na niego z rozmarzeniem.

- Chciałem powiedzieć - ciągnął - że serce mnie ciągnie do ciebie i gdybyś mnie nie odepchnęła, przekonałabyś się, że potrafiłbym być dobry. Nasze dzieci miałyby tylko ćwierć krwi szejńskiej i w razie czego mogłyby przystać do białych. A jak nie, to by zostały na preriach z Indianami. Widzisz, że jestem przewidujący. Rozumiesz, o co mi chodzi? - No, więc chciałbym cię pojąć za żonę. Możemy się pobrać zwyczajem białych, albo Indian, albo na oba sposoby. Zastanów się i powiedz co myślisz.

Błękitne Oko podniosła głowę i uśmiechnęła się bardzo dziwnie. Spojrzała na ojca, a on rzekł:

- Zastanów się, dziewczyno.

Powiedział to z taką powagą, że dziewczyna zdziwiła się. Tenney, widząc to, rzekł:

- Popatrz na mnie. Nie chcę się równać z Czerwonym Sokołem. Nikt nie może się z nim równać. Tylko chciałem powiedzieć, że moja dusza jest lepsza od gęby. Może nawet jestem lepszy niż mi się zdaje. Bardzo to możliwe, bo - niech mnie diabli! jeżeli nie pragnę być lepszy! Wy, Indianie - nauczyliście mnie jednej rzeczy - nie pożądać żadnej rzeczy, która jego jest, oprócz skalpu. Nie wiem, czy dobrze powiedziałem.

Błękitne Oko zwróciła się do niego ze ślicznym uśmiechem, ale Bill wolałby, żeby ten uśmiech był mniej piękny, a za to bardziej świadomy jego osoby. Ale te śliczne oczy, niebieskie jak jej imię, nie tyle były ciekawe jego twarzy, ile duszy.

- Billu, ja kocham Czerwonego Sokoła. - Urwała. - Gdyby podniósł rękę, poleciałabym do niego. Nie chciałbyś takiej squaw, powiedz?

- - pytała zapłoniona.

Bill zamyślił się.

- Nie.

- Chcesz mnie za żonę - dodała. - Czy twoja miłość do mnie jest większa od przyjaźni, jakaj czujesz dla Czerwonego Sokoła?

Bill schylił głowę i znów zastanowił się bardzo głęboko. Tyle myśli tłoczyło mu się pod czaszką!

- Na Boga! - rzekł. - Drugiego takiego jak on nie ma na świecie! Chciał wyrznąć żołnierzy i Marstona zakatrupić, ale im darował, żeby mnie ratować. Kiedym mu dziękował, położył mi rękę na ramieniu i uśmiechnął się ze zdziwieniem. „Co oni znaczą w porównaniu z tobą, bracie?” - powiada. Mówił mi: „bracie”! On, prawy i szlachetny, brata się z takim jak ja. Na Boga! „Co oni znaczą w porównaniu z tobą, bracie?” - powiada do mnie i uśmiecha się ze zdziwieniem. A mnie zapiekło pod powiekami. Zrozumiałem, że drugiego takiego jak on nie ma na świecie. - „Bracie”! - powiada do mnie. I teraz ty mnie pytasz... Nie, jego więcej cenię. Ty nie narażałaś dla mnie życia i nie uratowałaś mnie od śmierci, tak jak on.

Po wzburzonej twarzy Billa ciekły strugi potu. Zdumiał się, że Błękitne Oko, uśmiecha się do niego serdecznie.

- Może kiedyś będę myślała inaczej - rzekła - dziś jednak zależy mi tylko na jego szczęściu. Ty możesz mu pomóc, Billu. Jedź za nim!

- Przecież on tu jest w obozie, tylko pojechał na polowanie.

- Mnie się zdaje, że pojechał zapolować - na człowieka - szepnęła. - Jedź co koń wyskoczy do Fortu Marstona. Może go tam znajdziesz. Nie wchodź mu na oczy, ale pędź do fortu. Kto wie, czy nie będzie potrzebował pomocy.

Bill Tenney zerwał się na równe nogi.

- Pojechał zapolować na człowieka? Na kogo?

- Miał dziwne oczy ilekroć wspominał majora Marstona...

XXXIII. RAZEM

Już noc schodziła na ziemię, gdy oczom Czerwonego Sokoła ukazały się na tle gasnącego; nieba potężne zarysy Fortu Marstona. Zsiadł więc i kazał ogierowi położyć się w kępie wierzb niedaleko strumienia. Wiedział, że Biały Kort nie ruszy się z miejsca do nowego rozkazu.

Sam rozebrał się, i skoczył do wody. Nurt rwał blisko brzegu. Musiał się dobrze natrudzić, żeby się nie dać znieść. Przypomniał sobie przygodę na Tulmaku, kiedy to Bill Tenney wyratował go razem; z Białym Koniem ze zradnej głębin. Wyszedł na brzeg i otrząsając się z wody, wciąż jeszcze myślał o Tenney'u.

Rozpaliwszy mały ogienek, nasypał nań z woreczka wonnej trawy, skąpał w aromatycznym dymie całe ciało. Czynił to z

uroczystym namaszczeniem. Po dokonanyu oczyszczeniu - na myśl o Maisry - naciągnął ubranie na jeszcze wilgotne ciało i poszedł do leżącego konia. Stał nad nim dłuższą chwilę. Namacał po ciemku sztywne, drżące uszy, przesunął dłonią po grzywie i twardej, aksamitnej szyi. Delikatne chrapy obwąchiwały go badawczo.

Teraz Rusty udał się prosto do domu Lesterów. Przed drzwiami szemrały głosy, niewiele donośniejsze od poszeptów wiatru. Sabin, nasłuchując, przyczał się w krzakach. Poznał głos majora Marstona. Po chwili z biciem serca rozpoznał głos ukochanej.

Maisry mówiła:

- Wiem, co mówią w mieście, ale ja się takimi rzeczami nie przejmuję, bo sama dużo cierpiałam. Nawet gdyby majorowi odebrali komendę, nawet gdyby pana usunęli z wojska, to by to dla mnie nie miało znaczenia. Co innego nas dzieli, majorze!

- Tak - odpowiedział po pewnej chwili, trochę chrapliwie major.

- On - tamten nas dzieli?

- Tamten - odpowiedziała.

Nagła nadzieja rozpała się w sercu Czerwonego Sokoła. Cofnął się nieco i pochylił głowę. Dalej nie chciał słuchać.

Niebawem major odszedł. Dziewczyna została pod ścianą, prawie niewidoczna w mroku.

Czerwony Sokół wstał. Podeszedłszy blisko, powiedział wyraźnym głosem:

- Przyszedłem na rozmowę - nie żeby cię porwać. Nie bój się.

Odpowiedziała ściana milczenia, pusta jak ściana domu. Podszedł jeszcze bliżej.

Głos mu wiązał w gardle:

- Nie przyszedłem skomleć u twoich nóg jak pies, bo wiem, że jesteś złą kobietą. Szejeńskie dziewczęta są lepsze. Gdyś mi odesłała zielonego żuka, gdy zrozumiałem, że mnie nie chcesz, byłem smutny. Gdyś przysłała przez Błękitne Oko list, w którym napisałaś, że zapomnieć nietrudno, próbowałem cię znienawidzić. Ale nie mam nieugiętego serca. Nie mogłem się zdobyć na nienawiść i nie mogłem się otrząsnąć ze smutku. Przyjechałem, zapragnąłem z tobą pomówić.

- Powiedz mi żywym słowem, że zapomnieć nietrudno!

Maisry przysunęła się do niego krokiem - można powiedzieć rozgniewanego mężczyzny. Stanąwszy tuż przed nim, zapytała:

- Czy Błękitne Oko powiedziała ci, że zapomniałam? Że łatwo zapomniałam?

- Ona nie chciała tego powiedzieć, bo się litowała nade mną. Powiedziała mi tylko, że mówiłaś o mnie z miłością w oczach, ale przeczytawszy list, zrozumiałem, że to nie była miłość, lecz śmiech.

- Czy wiesz, co napisałam? Czy mam powtórzyć? Napisałam, że cię kocham i że czekam na ciebie.

- Nie jestem ślepy. Czytałem słowa! - zawołał.

- To nie były moje słowa - odpowiedziała spokojnie.

Ten spokój, właśnie ten spokój zrobił na nim wrażenie. Nie mógł jej nie wierzyć. Zdawało mu się, że dotyka jej tysiącem rąk. Wytężając wzrok dostrzegł w mroku jej błyszczące źrenice. W oczach

tych była prawda - sama prawda. Wiedział o tym. Pamiętał, że Maisry nigdy nie kłamała.

- Manitou - zaczął się modlić słabym głosem - pisane słowa są głupim cieniem prawdy. Szczery głos wydobywa się z serca. Powiedz mi, że mogę jej uwierzyć!

- Rusty! - zawołała.

Siły go opuściły. Wyciągnął ręce i oparł na jej ramieniu. Nachylił głowę do jej głowy.

- Maisry! - szepnął. - Gdy słyszę swoje imię w twoich ustach, słabnę jak starzec. Zdaje mi się, że mnie przekłuwasz nożami. Nawet jeżeli mówisz tak, jak nie jest, niech tam - mów. Jestem szczęśliwy i - bezsilny!

- Czy mi wierzysz? - pytała.

- Mam dwóch braci, Tenney'a i Stojącego Byka. Wstyd mi, ale wierzę ci tak, jak im!

Maisry zaczęła się śmiać słodkim, drżącym śmiechem, od którego robiło mu się w duszy gorąco jak od płomienia.

- Rusty! - powtórzyła.

Przedtem stracił siły, teraz odszedł go rozum.

- Tak (dobrze - rzekł z wysiłkiem.

Przysunęła się tak blisko, że stali oparci o siebie mocno, mocno, mocno.

- Rusty!

- Ach, jak dobrze! - szepnął. - Zdaje mi się, że jesteś moją squaw, a ja twoim mężem.

- Tak się stanie - odpowiedziała.

- Wierzę ci - rzekł Rusty. - wierzę w ciebie. Ufam ci.

- To, co wyczytałeś w moim liście, było kłamstwem. Ja pisałam tylko, że cię kocham.

- Sza! - szepnął. - Mówienie nie znaczy nic. Na to nie ma słów. Nie osiodłam wiatru, nie wydmucham kwiatów z dłoni, nie wydzwignę gór na równinie i nie, wypowiem ci, co jest we mnie. - A i w tobie także. - Mam jeszcze do spełnienia jedno zadanie i wrócę do ciebie.

- Wracaj!

- Wrócę jak najprędzej. Jeszcze nas dzieli krew.; Zmyję ją i wrócę. Odsunął się od niej trochę, a ona podniosła twarz. Ale Rusty nie

zrozumiał, co to miało znaczyć. Dla Indianina pieśczoła kryje się w oczach i w głosie.

- Czekaj chwilę - rzekła Maisry przymykając oczy. - Chcę ci coś powiedzieć...

Chwilę milczała, lecz gdy otworzyła oczy i zaczęła mówić, już go nie było. Poskoczyła za nim parę kroków z cichym wołaniem. Ciemność kłębiła się jak woda.

Strach ogarnął Maisry. Rusty poszedł, a ona została sama. Miała uczucie, że chwieje się na nogach, że spada z wysokości w czarną otchłań.

Gdyby go przywołać...

Krzyknęła przeraźliwie: „Rusty”! Krew uderzała jej do głowy, serce waliło! jak młot. Udała przed sobą, że słyszy w oddali jego głos, ale wiedziała, że się łudzi.

Zza węgła wybiegł ojciec. Wpadł na nią po ciemku, zląkł się, chwycił ją za ramiona.

Matka upadła ciężko na kolana.

- Co się stało, Maisry? Dlaczego wołasz Sabina? Dlaczego tak krzyczysz? - Chodź do domu, kochanie! Daj rękę. - Jego nie ma. - Co ci się stało?

Wprowadził ją do izby. Matka zerwała się jak na alami, rozsypując po podłodze swoje szycie.

- Ach, Ryszardzie! - przeraziła się. - Ach, Boże! Co się stało? Co jej się stało?

- Stała - przed domem - po ciemku - i wołała Rusty’ego - objaśnił mąż. - Maisry, spojrzysz na mnie. Widzisz mnie, kochanie? - Proszę cię, Maisry, spojrzysz na ojca!

- Odstąp od niej, Dicku! - Marta szła do córki z wyciągniętymi rękami. - Ja ją utulę... Musisz się położyć, córuchno. Wszystko będzie dobrze.

- Nie chcę - rzekła dziewczyna. - Nie mów do mnie, mamo! Chcę być sama. Nie chcę, żeby...

Obróciła się do ojca i, żeby nie upaść, przytrzymała się jego ramienia.

- Maisry, mów! - zawołała. - To ci ulży. Powiedz wszystko. Wszystko jedno. - Kocham cię. Jeżeli nienawidzisz mnie z żalu o

Sabina, mów. - Proszę cię, powiedz otwarcie. - Nie milcz, bo to okropne. Nie duś w sercu...

Ojciec potrząsnął lekko Maisry za ramiona.

- Maisry! - szeptał. - Nie patrz na mnie tak strasznie. Dostaniesz Rusty'ego. Odszukamy go i powiemy mu wszystko. Sprowadzimy ci go z powrotem. Będiesz szczęśliwa. - Czy słyszysz? - Oboje ci współczujemy! Chcemy tylko twojego szczęścia...

Wyrwała im się, poszła do krzesła i usiadła.

Słyszała, jak matka mówiła:

- Przynieś gorącej wody, Dicku. Ja tu przy niej zostanę. - Ach, Boże miłosierny!

Cichymi krokami zaszła za krzesło córki i tu zaczęła załamywać ręce.

- Nie będę więcej krzyżeć! - odezwała się Maisry. - Rozmawiałam z Rustym...

- Tak, kochanie, tak! - potwierdziła drżącym głosem matka. - Tak, tak, rozmawiałas z nim. Naturalnie. Przyszedł z tobą pomówić.

Wiem, że był. - Nawet słyszałam jego głos. Wszystko będzie dobrze, tylko się nie martw.

- I nagle zniknął - ciągnęła Maisry. - Zniknął, jakby się rozpułnął w mrokach nocy. - Czy mi się przywidziało? Czy zwariowałam? Czy on naprawdę był?

- Był - naturalnie. Słyszałam jego głos. Wszystko dobrze. Maisry dotknęła swoich ust palcami.

- Ale gdyby to była prawda, to by mnie pocałował. A nie pocałował. A nie pocałował.

- Maisry, nie podskakuj tak, na miłość Boską! - błagała matka. - Nie oglądaj się za siebie. Tu nie ma żadnych duchów. Wszystko będzie dobrze. Tylko my jesteśmy, ojciec i ja, twoja biedna matka, która cię kocha nad wszystko!

Maisry miała przymknięte oczy.

- Dobrze, dobrze - rzekła. - Nic nie zrobię. Kobiety potrafią tylko czekać. I ja mogę czekać. Będę czekała, ale - wolałabym umrzeć!

XXXIV. MORDERCY

Major Marston, pamiętając, że trzeciego dnia o świcie ma się spotkać z Rustym nad rzeczką Culver, poszedł po rozum do głowy. Wiedział, że pojedynek będzie śmiertelny, ale nie godził się z tym, żeby on miał zostać na placu walki. Nie Obawiał się ani siły przeciwnika, ani jego sprawności, ale mówił sobie, że z fanatykiem trzeba być ostrożnym, bo to to samo, co szaleniec.

Ciemną nocą wyszedł z fortu, żeby się spotkać z trzema ludźmi, z którymi umówił się poprzedniego dnia. Potrzebował okrutnych pomocników i rzeczywiście gorszych typów by nie znalazł. Wiedział o nich od dawna i ich bezgraniczna nikczemność budziła w nim dziwne uznanie. Byli to bracia Lavierowie, znani z tego, że od dzieciństwa działali zawsze do spółki. Polowali, łowili zwierzęta i kradli w kompanii. Trzy razy wzięli sobie żony - Indianki z różnych plemion i trzy razy je porzucili. Razem robili sobie wrogów i razem

ich mordowali. Na pograniczu nie brakowało szumowin. Dan, Bob i Lew Lavierowie zaliczali się do najprzedniejszych przedstawicieli tej grupy. W duszach ich kojarzyły się najgorsze cechy białych i czerwonoskórych.

Major rozmówił się z nimi bez kłopotu.

Diabelska trójka czekała w umówionym miejscu pod drzewem.

Major zaczął swoje bez wstępu:

- O świcie wyprawiam się nad Culver. Żebyście na mnie czekali. Mam mieć pojedynek z Rustym Sabinem. Otóż, jak się tylko zjawi, naszpikujecie go ołowiem.

Czekał chwilę. Dan Lavier, najstarszy z braci, zapytał z młaśnięciem:

- Ile?

- Sto dolarów - odpowiedział major.

- Mało.

- Sto dolarów w złocie.

- To co innego. Dawać pieniądze.

- Mam z sobą tylko pięćdziesiąt. Resztę dostaniecie po robocie.

- E, czy to my głupi? - Dostaniemy od razu wszystko, albo nie będzie interesu.

- Chłopcy, ja bym was nie oszukał. Czy to nie wiem, że wsadzilibyście mi kulkę w łeb.

Bracia zaśmiali się szyderczo.

- Dobra - rzekł Dan. - No, to dawać pięćdziesiąt dolarów.

Major wyliczył mu na rękę pięć złotych dziesięciodolarówek.

Monety padały z brzękiem jedna za drugą. Major powiedział jeszcze kilka słów.

- Może bym się nie odważył na niego porwać - zauważył jeden z braci. - Ale nie będzie się spodziewał, to i nie ma strachu. - Adieu!

Major wrócił do fortu i spał jak dziecko. Ordynans, stosownie do rozkazu, obudził go, gdy jeszcze było zupełnie ciemno. Major ubrał się ciepło.

Mimo umowy z Lavierami mógł być zmuszony walczyć, a pewność ręki zależy w znacznej mierze od ciepła.

Koń był już osiodłany.

Wyruszył od razu szlakiem na północny-zachód. Miał trzy mile drogi.

Bill Tenney nie odważył się zajechać do Fortu Marstona. Okrążył osiedle z daleka tak ostrożnie, że sam niewidziany, wypatrzył Białego Konia, niosącego swego pana na umówione miejsce.

Tenney pociągnął za przyjaciелеm.

Los mu sprzyjał. Ale nie śpieszył się zaczepić Rusty'ego. Rozkoszował się świadomością, że jest poniekąd rzecznikiem przeznaczenia, że czuwa nad bezpieczeństwem wielkiego czarownika Szejenów.

W górze kanionu zbocze było łagodniejsze, łatwiejsze do przebycia.

Tenney zastanawiał się, co nim właściwie powoduje, bo nie mógł na tej eskapadzie zyskać nic wyraźnego. Błękitne Oko prosiła go, żeby pojechał za Sabinem, ale w zamian mógł się od niej

spodziewać li tylko przyjaźni. Jednym słowem mógł liczyć jedynie na własne zadowolenie.

Na myśl o tym dziwił się i potrzasał głową. Zawsze lubił brać, nigdy dawać. Jeżeli kogo śledził, to dla zemsty lub zapłaty. Tym razem jednak narażał się na niewiadome niebezpieczeństwo po prostu w nadziei, że Rusty Sabin podziękuje mu znów swoim miłym głosem. Uznanie Sabina było dla Billa szczęściem.

Pochłonięty tymi myślami, podążał w ślad za Białym Koniem. Ale w miarę jak się rozwidniało, musiał przystawać nieco z obawy, żeby Rusty nie obejrzał się i nie zobaczył, kto za nim jedzie.

Zauważył, w którym miejscu Biały Koń zatrzymał się i skoczył do kanionu. Gdy znalazł się tam, zobaczył w dole - przepaść. Nie, tędy nie mógł ryzykować na swoim mustangu, choć najlepszym ze stadniny Leniwego Wilka. Tu nawet górską kozica mogła się zawahać.

Już miał skręcić, gdy zobaczył, że Rusty na dnie doliny zsiadł z konia i idzie pieszo. Z drugiej strony zbliżał się major Marston, również pieszo - ze strzelbą w ręku.

Bill Tenney doznał gwałtownego bicia serca. W jednej chwili zeskoczył z konia i wycelował do majora. Ale coś wstrzymało mu rękę.

Dwaj nieprzyjaciele gotowali się stoczyć pojedynek. Major, postradawszy sławę, honor i dobre imię, miał oto stracić życie. Ale nie jemu, Billowi, przyczajonemu w bezpiecznej odległości, należało

wziąć to życie. Nie byłaż to sprawa Rustyego i jego patrona, potężnego bożka, Manitou?

Patrząc na szerokie ramiona, Wysmukłe ciało i długie, rude włosy Sabina, zaczął się uśmiechać. Czerwony Sokół stawił się na spotkanie w indiańskim ekwipunku. Z głowy spływał galowy tren z piór. Ciało, nagie do pasa, świeciło jaskrawymi farbami, olśniewającymi nawet na tak znaczną odległość.

Rusty wystąpił do walki, która mogła się dlań skończyć śmiercią. Umarłby Szejenem.

Major zatrzymał się w odległości sześćdziesięciu - siedemdziesięciu kroków od przeciwnika. Rusty również stanął. Stali tak chwilę ze strzelbami w pogotowiu.

Teraz major padnie!

Bill podniósł oczy, na pół pewny, że zobaczy rozłożystą sowę, zwiastunkę Manitou, w locie nad doliną. Ale nie zobaczył nic. Jeszcze się gapił, gdy w ciszy prawie jednocześnie, jak salwa, huknęły trzy wystrzały. Lecz dźwięk nie wzbił się z dna kanionu. Nie! dobiegł od strony przeciwległej krawędzi. Tenney zobaczył strzępki dymu i trzech ludzi w skórach, podnoszących się z za skały, za którą byli ukryci.

Czyżby morderstwo?

Bill spojrzał w dół. Sławny czarownik - bohater - uwielbienie jego serca i oczu - leżał jak długi twarzą do ziemi. Major nadbiegł kłusem.

Nad doliną rozległ się okrzyk trzech zbirów. Z dna odpowiedział triumfalny bas majora.

On był najbliżej Rusty'ego. Jego należało unieszkodliwić najprzód. Bill podniósł szybko strzelbę do ramienia i nacisnął spust. Major rzucił się w bok tanecznym skokiem i padł płasko za skałą. Z obawy przed kulami z góry nie odważył się wyjrzeć i strzelić na odwet. Przyłgnął do skały i tak został.

Trzej nieznajomi otworzyli ogień do Billa. Kule trzaskały o głazy. Bill schował się za pękniętą skałę, która mogła służyć doskonale za szaniec i za strzelnicę. Palnął od razu w pierwszy cel, jaki się nadarzył.

Czuł, że krew w nim zastyga.

Rusty nie mógł zginąć.

Tenney znów spojrzał na przyjaciela. Rzeczywiście rozciągnięte na ziemi ciało zaczęło się poruszać. Głowa uniosła się lekko. Po dolinie rozległ się cienki gwizd. Biały Koń porwał się cwałem. Ale... Bill wiedział, że trzech mordercy znów sypną kulami.

Nabijając strzelbę zobaczył nad głazem po drugiej stronie podnoszącą się głowę i ramiona. Opryszek celował. Bill strzelił z pośpiechem, na oślep. Czuł, że trafił. I nie omylił się. Wysoki drab w skórach podskoczył i runął w przepaść ze ściany kanionu ruchem pływaka, rzucającego się do wody. Ale w połowie upadku ciało rozprężyło się nagle i na dno kanionu zleciał bezwładny trup. Bill widział to i słyszał. Pozostali dwaj wrzasnęli i znów dwie kule trzepnęły w skały koło głowy Billa.

Byle tylko zaniechali rannego Rusty'ego, do niego, Billa, mogli pukać do woli.

Biały Koń przyklęknął obok pana. Rusty wdrapał się nań powoli, drobnymi ruchami z bolesnym wysiłkiem, czepiając się grzywy i osunął się bezwładnie na siodło. Biały Koń podniósł się ostrożnie z odwróconym łbem, jakby patrzył na ciężar, zwisający mu z grzbietu, i ruszył galopem, lekko i swobodnie jak wiatr. Czyżby Rusty miał się uratować?

Niestety! Z drugiej strony kanionu buchnął wrzask dzikiej uciechy i Tenney zobaczył, że Rusty zsuwa się ciężko z konia i już wisi tylko na rękach, uczepionych grzywy. Występ skalny skrył go przed oczami patrzących, ale nie mogło ulec wątpliwości, że za chwilę spadnie.

XXXV. CIĘŻKIE CHWILE

Major ryzykując, że dostanie kulę, pędził po swego konia, żeby ścigać Rusty'ego. Dwaj mordercy na górze wymykali się zza skały. I oni byli ciekawi, co się stało z rannym. Ale uważali, żeby się nie wystawić na cel. Bill Tenney zrozumiał, że jego miejsce jest przy Rustym.

Wskoczył na mustanga z iście szejeńskim wyciem i pognał skrajem klifu.

Zobaczywszy przed sobą niebezpiecznie stromą pochyłość, skierował na nią konia. Mustang wzdragał się trwożliwie. Dostał ostrogą i batem, aż krew trysła i za chwilę zjeżdżał z góry na dół

skokami i poślizgami, bokiem i prosto. Dwadzieścia stóp od dna zabrakło gruntu i koń i jeździec zwałili się w próżnię.

Ale koń był jak kot, a jeździec jak tygrys. Nim mustang zerwał się na nogi, Bill był już w siodle.

Leciał na ratunek.

Na ratunek? Nie, to mu nie przeszło przez myśl. Jeden człowiek, nawet taki junak jak on, nie mógł dać rady trzem zawodowym zabijakom. Sam nie mógłby powiedzieć, dlaczego tak gna. „Brata” nie mógł ocalić. Co najwyżej mogli umrzeć razem, żeby Rusty nie odszedł w zaświaty samotny.

Wypadł za występ skalny.

Rusty leżał na ziemi zgięty w pół. Koń stał nad nim. Na widok Billa podniósł łeb i zarżał donośnie, jakby wzywał ratunku.

Sabin wydawał się nieżywy. Leżał na boku z przymkniętymi powiekami, ze słabym uśmiechem na ustach. Bill pomyślał, że tak leżą umarli i - chwycił się za włosy.

Nagle spostrzegł, że rany Rusty’ego jeszcze krwawią. Było ich trzy - w ramieniu, w boku i w udzie. Krew płynęła obficie, a przecież z zabitych krew nie uchodzi. Serce przestaje bić i krew nie płynie.

Bill podniósł z ziemi ciało przyjaciela. Członki zwisały w dół. Bill poprawił ciężar i przy tym poruszeniu krew trysnęła z boku Rusty’ego i spłynęła ciepłą strugą po ciele ratownika.

- Boże! Boże! - rzekł Tenney. - Gdybym ja mógł przelać w ciebie, bracie, trochę mojej krwi!

Skala cofała się u podnóża ze dwadzieścia stóp w głąb, tworząc okap, zjeżony głazami. Tu mógł się schronić i opatrzyć rannego.

Biegł na ugiętych kolanach, stawiając nogi w ten sposób, żeby się nie potykać. Biały Koń szedł za nim z położonymi uszami. Sięgał łbem do pana, ale Billa był gotów kąsać. Weszli do jaskini.

- Piekielna jama! - rzekł Tenney.

Rzeczywiście pieczara, otwarta z trzech stron, nie była bynajmniej obronna. Tętent kopyt nadbiegających koni uciszał się na piasku, wzmagął na skałach.

Bill podarł na sobie ubranie, powiązał kawałki w bandażu, i przewiązał rany.

Rusty leżał na wznak, zupełnie bezwładny.

Huknął rewolwer i Billowi wydało się, że mu zagrzmiało w uszach. Poczł palący ból w plecach. Kula trafiła w łopatkę.

- Mam go! dał się słyszeć krzyk majora. - Teraz z nimi skończymy. Dalej, chłopcy, na nich!

Major pędził z zębami wyszczerzonymi w bezgłośnym śmiechu. Dwaj Lavierowie darli się jakby ze strachu. Ale Tenney wiedział, że to nie strach, lecz żądza mordy.

Ruszał się wolno. Ręce mu omdlewały. Kula musiała przeciąć ścięgna. I w plecach czuł słabość.

Usiadł, dźwignął się chwiejnie na kolana i - palnął w piersi; jednemu z napastników. Drab runął bokiem prosto pod nogi bratu, który padł na niego jak długi. Temu drugiemu Tenney roztrzaskał czaszkę kolbą strzelby.

Major wystrzelił już w plecy Billowi i także mógł walczyć tylko wręcz! Łupnął więc Billa lufą po głowie i pchnął go na skałę.

Innemu mózg by wyprysnął od takiego ciosu. Bill tyle tylko, że zobaczył morze światła i krew zalała mu twarz.

- Teraz ty, Sabin! - usłyszał ryk majora.

Potężnymi ramionami ogarnął mijające go nogi. Major zachwiał się i padł, ale na głowę Billa posypały się straszne ciosy.

Dziwna rzecz, że mu się od nich rozwidniło w oczach. Zobaczył, że Rusty unosi się na łokciu z bladym, bolesnym uśmiechem. Sabin usiadł. W ręku błysnęło ostrze wielkiego noża.

Major, wyrwawszy się wreszcie Tenney'owi, zamierzył się, żeby rozbić Rusty'emu czaszkę.

- Giń - piekielne nasienie!

Sabin wsparty na lewej ręce, wbił prawą nóż w ciało majora. Strzelba spadła, ale nie na głowę Rusty'ego. Uderzenie o skałę strzaskało zamek.

Major zachwiał się. Przewrócił na bok, próbując wyciągnąć nóż. Skutek był taki, że ostrze, pchnięte ukośnie rozplatało ciało jego szerzej.

Tenney widział, że major kona. Posunął się szybko w stronę Rusty'ego. Ten chciał usiąść prosto, lecz siły go nagle opuściły. Osunął się na bok. Bill patrzył bezradnie, bo jakoś nie mógł podnieść rąk.

Jeszcze przed chwilą mógł skrócić kark człowiekowi, teraz nie był zdolny nawet podtrzymać głowy przyjaciela. Upadł na kolana i zajrzał w jego blade oblicze.

W niebieskich szeroko otwartych oczach, pełnych niewymówionych słów, nie było ani cienia bólu. Patrzył na Billa z bezgraniczną wdzięcznością i miłością. Uśmiechał się serdecznie w twarz złodziejowi. Ale milczał. Przyjaźń ich obchodziła się bez słów.

- Maisry... - szepnął Rusty.

Bill wsunął mu pod barki słabe, drżące ramię i uniósł lekko. Ciężar nie był wielki. W swoim czasie Bill Tenney gardził ludźmi, którzy nie byli takimi siłaczami jak on. Ale tak było w odległej przeszłości, ciemnej i ubogiej, zanim się spotkał z Sabinem. Teraz rozumiał, że duch jest potężniejszy od ciała.

- - Mów... mów o Maisry - rzekł łagodnie Bill.

- Powiedz jej, że umarłem spragniony jej widoku - mówił Rusty.

- O, bo jestem spragniony! - Nigdy w lecie, podczas marszów nie byłem tak spragniony wody jak jestem spragniony) jej miłości. Jeżeli...

Zamknął oczy... Lekkie drzenie wstrząsnęło jego ciałem. W Billu zamarło serce. Był pewny, że przyjaciel go opuścił, że śmierć zjawiała się cicho, jakby światło błysnęło w fali.

Ale Rusty nie umarł. Nie otwierając oczu zapytał:

- Gdzie jesteś, bracie?

- Tutaj! - i Tutaj! - Nie trać tchu dla Maisry. Żadna kobieta nie jest tego warta. Nikt nie jest tego wart. Myśl o swoim Manitou.

Pomódl się do niego. Tyle razy cię poratował, to może jeszcze raz to zrobi.

Ale Rusty obstawał przy swoim.

- Wiesz, jak dobrze spojrzeć na niebieską wodę po długim marszu, kiedy konie się potykają, a ludziom zasycha w gardłach? Dla mnie takim wytchnieniem są jej oczy. Powtórz to jej, bracie!

Mówił tak nie otwierając oczu.

- Rusty, czy mnie słyszysz? - jęczał Tenney. - Wznieś modlitwę do Manitou.

- Nie potrzebuję się do niego modlić - odparł Sabin. - On jest tu blisko i widzi mnie. Słyszę szum w uszach - cóż to, jak nie szelest skrzydeł Wielkiego Ducha? - Ale powtórz wszystko Maisry. Słowa od umarłego muszą mieć większą wagę od zaszczytów plemiennych. Powiedz jej, że ją kochałem - ona też mnie kochała - a miłość dwojga ludzi z pewnością żyje nawet gdy umrą.

Powiedz jej...

Głowa opadła mu nagle całym ciężarem na ramię przyjaciela. Głos rozplynął się w westchnieniu.

Tenney położył ostrożnie na ziemi bezwładne ciało. Przycisnął twarz do piersi Rusty'ego. Nic. Serce nie bije. Czyżby umarł? Ale oczy ma zamknięte, a podobno umarli mają zawsze oczy otwarte.

Nagle usłyszał szmer. Dźwięk dobywał się z ust Rusty'ego Sabina - powolne, jęklive słowa bez znaczenia. A więc nie umarł!... Obłądana radość wyrwała się z ust Billa wielkim krzykiem.

Udało mu się jakoś przeciągnąć przyjaciela na lepsze miejsce, z dala od straszliwego pobojuwiska. Ułożył go na derkach końskich i usypał wezgłowie z piasku.

Rusty to zdawał się konać, to usypiać; ilekroć wracał do życia zaczynał mówić i pierwsze słowo było zawsze: - Bracie!

I życie znów uciekało.

XXXVI. POMOC

Psy znalazły tropy i po południu kapitan Dell natknął się w kanionie na trupa.

- Jednego Lavera mniej - rzekł i głośno podziękował Bogu, że uwolnił świat od łotra.

Psy biegły dalej. W otwartej pieczarze kapitan znalazł jeszcze trzy trupy. Nóż Rusty'ego leżał przy majorze. W pewnej odległości od jaskini leżał olbrzymi Bill Tenney, cały we krwi, z głową owiazaną strzępiastą szmatą.

Zobaczywszy kapitana Bill wstał i zagroził mu drogę ze strzelbą w rękach. Ale oficer zachował się przyjaźnie.

- Odkładam broń, widzisz, Tenney? Mów, co się stało? - Na Boga człowieku, co to, mord? Widzisz - mam z sobą dwudziestu żołnierzy. Opór nie zda się na nic.

- Mord, kapitanie, ano, mord! - zakrzyczał Tenney. - Major do spółki z Lavierami zamordowali Rusty'ego Sabina - najszlachetniejszego człowieka na świecie, człowieka, który nazywał mnie bratem!

Z miasta nadciągała szybko pomoc. Wieść rozeszła się lotem strzały. Siodłano z pośpiechem konie, ale pierwsza pognała na miejsce nieszczęścia Maisry. Szlakiem nadrzecznym leciały rącze mustangi, lecz Maisry

zostawiła wszystkie za sobą.

Nie miała nadziei, że zdąży uratować Rusty'ego, ale modliła się urywającymi słowami, żeby jeszcze mogła zdążyć zobaczyć ostatni błysk

życia w jego oczach.

Pierwsza z ratowników zjechała w kanion - pierwsza pogalopowała po rozpalonym piasku na dnie - pierwsza dopadła grupy żołnierzy, którzy stali przy rannych.

Ujrawszy Maisry Bill podniósł skrwawione ręce gestem poddania

i nadziei.

- Przyjaźń mu nie pomaga - rzekł - ale może miłość będzie mocniejsza.

Rusty Sabin nie poszedł za majorem. Przewyciężył śmierć, nie uległ morderczym ranom. Doktor, który przybył z fortu i badał go tak długo, że twarz rannego zieleniała z bólu, orzekł, że będzie żył. Ale nakazał, żeby go nie ruszać z miejsca przynajmniej przez dwa tygodnie.

Lesterowie, ojciec i matka posłali po dwa namioty. Maisry wzięła na siebie rolę głównej pielęgniarki. Ryszard Lester objął ogólne kierownictwo.

Rusty, leżąc na wznak na polowym łóżku, mówił do Maisry:

- Widzę twoją głowę na tle nieba, wśród błękitu, Maisry. Słodki to dla mnie lek. - Czy jesteś szczęśliwa?

Maisry uśmiechnęła się przez łzy. Nie mogła mówić.

- Gdzie Bill? - spytał Rusty.

Przyjaciel podszedł i pochylił się nad posłaniem rannego. Rusty wsunął rękę w dłoń Billa, a ten ścisnął ją lekko bez słowa...

Koniec